

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Opowiadania na czas przeprowadzki

Paweł Huelle

Opowiadania na czas
przeprowadzki

słowo/obraz terytoria

Rysunek na okładce oraz ilustracje / Piotr Kazigrotowski

Redakcja / Małgorzata Ogonowska

Korekta / Izabela Bilińska

Skład / Piotr Górski

Druk i oprawa / Drukarnia Wydawnictw Naukowych S.A., Łódź, ul. Żwirki 2

© Copyright by Paweł Huelle

© Copyright for this edition by wydawnictwo slowo/obraz terytoria, Gdańsk 1999

Wydawnictwo slowo/obraz terytoria, 80-244 Gdańsk, ul. Grunwaldzka 74/3

tel.: (058) 341 44 13, tel./fax: (058) 345 47 07

e-mail: slowo-obraz@terytoria.com.pl; www.slowo-obraz.terytoria.com.pl

ISBN 83-87316-48-2

Stół

I

– Stół, stół – krzyczała mama – nie mogę już tego wytrzymać! Ludzie mają meble, a tylko my coś takiego – i pokazywała ręką na nasz okrągły stół, przy którym codziennie jedliśmy obiad. – Czy to w ogóle można nazwać stołem? – pytała, załamując głos i ramiona. Ojciec nie odpowiadał na jej zaczepki i zamykał się w sobie, wypełniając pokój ciężkim milczeniem. W końcu stół nie był taki zły. Krótszą nogę podkładało się specjalnym klockiem, a sękaty fornir na blacie można było zakryć obrusem. Ten stół kupił w roku czterdziestym szóstym od pana Polaske z Zaspy, kiedy pan Polaske pakował tobołki i ostatnim pociągciem udawał się na zachód, do Niemiec. Ojciec dał wtedy panu Polaske parę wojskowych butów, które wcześniej wyhandlował od sowieckiego sierżanta za używany zegarek, a ponieważ te buty nie były pierwszej świeżości, ojciec dołożył jeszcze trochę masła z UNRRY, na co wzruszony pan Polaske zostawił ojcu oprócz stołu fotografię z rodzinnego albumu. Przedstawiała dwóch eleganckich mężczyzn w garniturach, którzy stali na Lange Brücke. Lubilem oglądać tę fotografię. Nie dlatego, że interesował mnie pan Polaske i jego brat, o których wiedziałem niewiele, ale dlatego, że za ich plecami, w tle, rozciągał się widok, jakiego próżno szukałem na Długim Pobrzeżu. Dziesiątki rybackich łodzi cumowało do kei Targu Rybnego, na nabrzeżu pełno było sprzedających i kupujących ludzi, a Motławą przepływały barki i parowe stateczki z długimi jak maszty kominami. Pełno tu było ruchu i życia, Lange Brücke wyglądało jak prawdziwy port i chociaż

wszystkie szyldy hoteli, barów i kantorów kupieckich brzmiały obco, to jednak był to widok pociągający. W niczym nie przypominał Długiego Pobrzeża, które odbudowano wprawdzie po wielkim pożarze i bombardowaniu, ale które świeciło pustką nikomu niepotrzebnych urzędów, czerwonych hasel zawieszonych na murach i zieloną nitką Motławy, po której pływała milicyjna motorówka i raz dziennie statek Wojsk Ochrony Pogranicza.

– To niemiecki stół – podnosiła głos mama – już dawno powinieś go porąbać na kawałki. Gdy pomyślę – ciągnęła już nieco spokojniej – że siedział przy nim jakiś gestapowiec i jadł po pracy węgorki, robi mi się niedobrze.

Ojciec wzruszał ramionami i wyciągał fotografię pana Polaske.

– Spójrz – mówił do mamy – czy to jest gestapowiec? – I opowiadał zaraz historię pana Polaske, który był socjaldemokratą i siedział trzy lata w obozie koncentracyjnym Stuthoff, bo nie zgadzał się z Hitlerem. Kiedy nasze miasto w roku trzydziestym dziewiątym włączono do Rzeszy, pan Polaske ostentacyjnie nie wywiesił flagi na swoim domu i wtedy go zabrali.

– W takim razie jego brat był gestapowcem – ucinając dyskusję mama i wychodziła do kuchni, a ojciec, niepokieszony stratą słuchacza, opowiadał o drugim panu Polaske, który zaraz po wojnie, z senatorem Kunze, pojechał do Warszawy prosić prezydenta Bieruta o gdańskich Niemców, żeby mogli zostać, podpisując deklarację lojalności.

– Wtedy – ciągnął swoją opowieść ojciec – prezydent Bierut nastroszył swój wąsik i powiedział delegatom, że socjaldemokracja niemiecka nigdy nie grzeszyła poczuciem histo-

rycznego rozsądku, że zdradziła swój klasowy instynkt już dawno, o czym mądrze i wyczerpująco napisał towarzysz Stalin. I jakiegokolwiek próby – tu prezydent Bierut zacisnął swoją robotniczą pięść i uderzył nią w blat biurka – są działalnością antypaństwową. Brat pana Polaske wrócił wtedy do Gdańska i powiesił się na strychu ich domku na Zaspie. Właściwie dlaczego to zrobił? – pytał głośno ojciec – przecież mógł pojechać do Niemiec, jak jego brat.

– Powiesił się – mama wchodziła właśnie do pokoju, niosąc dymiący półmisek – bo wreszcie ruszyło go sumienie. Gdyby wszystkich Niemców ruszyło sumienie, to wszyscy zrobiliby tak samo – dodała, stawiając na stole ziemniaki w mundurkach – wszyscy powinni się powiesić po tym, co zrobili.

– A Sowietci?! – wykrzykiwał ojciec, odrzucając na skraj talerza łupy – a Sowietci?

Wiedziałem, że zaraz zacznie się kłótnia. Mama bała się Niemców panicznie i nic nie było w stanie uleczyć jej z tego lęku, podczas gdy ojciec największy uraz czuł do rodaków Fiodora Dostojewskiego. Niewidoczna granica przebiegała teraz przez stół pana Polaske z Zasy i oboje byli nią rozdzieleni, jak wtedy, w roku trzydziestym dziewiątym, gdy kraj ich dzieciństwa, pachnący jabłkami, chałwą i drewnianym piórnikiem, w którym grzechotały kredki, rozdarto niczym sztukę płótna na dwie części, między którymi łyssała srebrna nitka Bugu.

– Widziałem – ojciec połykał białe mięso ziemniaków – widziałem... – Oczywiście chodziło mu o defiladę w miasteczku, gdzie obie armie spotkały się ze sobą. – Kurz wzbił się pod samo niebo – ojciec dokładał sobie skwarków –

a oni maszerowali równym krokiem obok siebie i śpiewali raz po niemiecku, a raz po rosyjsku, ale rosyjski słyhać było głośniej, bo Sowietci przysyłali na defiladę cały pułk, a Niemcy tylko dwie kompanie.

– Niemcy byli gorsi – przerwała mama – bo nie mieli w sobie żadnych ludzkich uczuć.

Nie lubiłem tych rozmów. Zwłaszcza kiedy toczyły się przy obiedzie i w gęsty zapach rosółu czy aromatyczny zapach sosu chrzanowego wkładał się huk armat albo stukot pociągu, którym wieziono ludzi na powolną lub natychmiastową śmierć. Nie lubiłem, kiedy kłócili się o takie rzeczy, bo zapominali wtedy o mnie i tkwiłem pomiędzy nimi jak zużyta i nikomu już niepotrzebna rzecz. Ostatecznie wszystkiemu winien był pan Polaske i jego stół. Tak myślałem, przelatykając ziemniaki w mundurkach albo leniwe pierogi. Gdyby nie ten stół, rodzice rozmawialiby ze sobą o filmie z Marilyn Monroe, urodzaju truskawek albo ostatnim wodowaniu w Stoczni Lenina, na które przybył premier Cyrankiewicz. Mogliby zresztą mówić o czymkolwiek innym, lecz stół pana Polaske upodobił się z czasem do ćmiącego zęba. Kiedy ból słabł i zdawał się przemijać, tym większa chęć brała ich, żeby dotknąć tego miejsca i wzbudzić pulsującą udrękę na nowo. Czy mogłem coś zrobić? Gdyby chodziło o krzesło, poradziłbym z pewnością. Ale stół – duży i okrągły, z rzeźbionymi nogami, tak bardzo ciężki, z dębowego drewna – stół pana Polaske z Zasy wydawał się zbyt masywny, aby go unicestwić bez niczyjej pomocy. Podejrzywałem, że pan Polaske zostawił go nam specjalnie, jakby wiedział o niewidzialnej granicy między moimi rodzicami. I jakby przypuszczał, że jego mebel, którego nie mógł zabrać do Nie-

miec, stanie się przyczyną nieustającej kłótni. Ojciec, niechętny zmianom, upierał się przy swoim, a mama coraz częściej przypalała bigos albo żeberka, wyszukując w niemieckim stole wciąż nowe usterki. Do kulawej nogi i spękanego forniru dochodziły zatem korniki, których sekretna robota, niesłyszalna w dzień, nocą nie dawała mamie spać. Rano była niewyspana i w złym humorze.

– Zrób coś – mówiła do ojca – nie mogę już dłużej tego wytrzymać!

– Jakie znów korniki? – pytał ojciec.

– Niemieckie – odpowiadała mama. – To niemieckie robaki. Niedługo zaatakują kredens i szafę, bo są nienasycone. Jak wszystko, co niemieckie – szeptała ojcu do ucha.

Jeśli pan Polaske chciał się zemścić, nie mógł znaleźć lepszego sposobu. Coraz częściej wyobrażałem sobie, że śmieje się gdzieś w Hamburgu albo Monachium i zaciera ręce. Masło z UNRRY zjadł w ciągu kilku dni, sowieckie buty wyrzucił po roku, a my męczyliśmy się z jego stołem jak z obcym domownikiem, który przeszkadza wszystkim bardzo, lecz którego nie można wyrzucić. Tylko dlaczego miałby się na nas mścić – zastanawiałem się chwilami. Nie zrobiliśmy mu przecież nic złego. Nie mieszkaliśmy nawet w jego domu, który zajmował teraz jakiś wysoki urzędnik partyjny. Czyżby życzył nam źle tylko dlatego, że byliśmy Polakami? Nie znajdowałem na to pytanie gotowej odpowiedzi. Ani na żadne inne związane z panem Polaske. Godzinami oglądałem fotografię, na której Długie Pobrzeże wyglądało jak prawdziwy port, i liczyłem kominy parowych statków ciągnących po Motławie. Tymczasem stół z każdym dniem wydawał się większy i pęczniał w zamkniętej przestrzeni pokoju do niemożliwych rozmiarów.

Aż wreszcie któregoś dnia stało się to, co stać się musiało. Kiedy mama postawiła na blacie wagę z zupą, klocek spod krótszej nogi puścił i stół zakotywał się jak raniony zwierz. Barszcz chlapnął ojcu na koszulę i spodnie.

– Ach! – mama z zachwytem klasnęła w dłonie – a nie mówiłam? Czyż nie przepowiadałam katastrofy?

Ojciec nie odezwał się ani słowem. Podłożył klocek, zjadł drugie danie, doczekał w milczeniu galaretki wiśniowej i dopiero po deserze, z papierosem w zębach, zszedł do piwnicy po piłę i metr. Za parę chwil, pochylony nad stołem, mrużąc raz jedno, to znów drugie oko, wyglądał wspaniale niczym frontowy chirurg przystępujący do operacji. Tu jednak zdarzyła się rzecz niesłychana. Ojciec, który miał dobrą rękę do napraw i przeróbek, nie mógł sobie poradzić ze stołem pana Polaske. A właściwie nie ze stołem, tylko z jego nierównymi nogami. Po każdym przycięciu okazywało się, że jedna z nich, zawsze inna, jest nieco krótsza od pozostałych. Opanowany furią doskonałości, a może niemieckiej pedanterii, ojciec nie dawał za wygraną: skracał i skracał stołowe nogi coraz bardziej, aż wreszcie naszym oczom ukazał się niecodzienny widok. Na podłodze obok mnóstwa spiłowanych kawałków drewna i morza trocin spoczywał blat stołu pana Polaske, bez nóg, jak wielka brązowa tarcza. Oczy mamy błyszczały ze wzruszenia, wzrok ojca ciskał gromy, ale nic nie mogło powstrzymać rozpoczętego dzieła. Jak w transie warcząca piła wdarła się teraz w blat, ojciec sapał i wzdychał, mama powstrzymywała oddech, by w końcu wykrzyknąć:

– No, nareszcie!

Stół pana Polaske nadawał się już tylko do spalenia.

Ojciec wynosił kawałki drewna do piwnicy, mama sprzątała trociny i tylko ja czułem przez skórę, że to jeszcze nie koniec i że prawdziwe kłopoty są dopiero przed nami.

Następnego dnia zjedliśmy obiad w kuchni. Było tu ciasno i niewygodnie, a zapach smażonych śledzi, gęsty jak chmura, wcale nie dodawał apetytu.

– Musimy kupić nowy stół – mówiła mama – może trochę mniejszy od tamtego, ale też okrągły. A potem nowe krzesła – rozmarzyła się zupełnie – z pluszowymi obiciami!

Ojciec milczał. Po obiedzie pojechaliśmy tramwajem do sklepu meblowego. Sprzedawca rozłożył ramiona, uśmiechnął się znacząco i powiedział, że jest to, co widać: stoły trójkątne.

– To najnowszy model – wskazał równoboczną figurę – eksperymentalny!

– A okrągłe? – zapytała mama. – Czy nie ma okrągłych?

Wtedy sprzedawca wyjaśnił, że tegoroczny plan centralny został już wykonany i okrągłe stoły będą, owszem, ale dopiero w styczniu albo lutym. Ojciec uśmiechał się zgryźliwie, bo mieliśmy akurat połowę maja. Mama natomiast chodziła między trójkątnymi stołami i dotykała ich blatów jakby z niedowierzaniem i lękiem. Światło, które wpadało do sklepu przez zakurzoną szybę, oświetlało jej kasztanowe włosy dyskretną aureolą, co dodawało mamie melancholijnego uroku. Kiedy wyszliśmy na ulicę, zażądała wszakże, aby pojechać do innego sklepu. Jak wielkie było jej rozczarowanie! Nad wszystkimi sklepami meblowymi w mieście niczym widmo zawisło fatum planu centralnego. Jedyne nietrójkątne stoły, wydobyte na jej kategoryczne żądanie z mrocznego magazynu, okazały się prostokątne, długi bardzo i wą-

ski, całkiem nieprzydatny do naszego pokoju. Nie wiedziałem, czy pan Polaske mógłby sobie to wyobrazić – po kilku godzinach bezskutecznych poszukiwań przyszlismy do domu zmęczeni, a jego stół tkwił między nami nadal jak ledwo widoczna drzazga.

– Ostatecznie – tłumaczył ojciec – można zamówić stół. Będzie droższy, ale – tu zawiesił znacząco głos i wzniosł palec jak kaznodzieja – wobec planu centralnego nie mamy innego wyjścia.

Czy było coś prostszego nad takie rozumowanie? Oczywiście, że nie, jednakże – jak okazało się wkrótce – z pięciu zakładów stolarskich w okolicy trzy były już zamknięte od dawna. Ich właściciele, zrujnowani domiarami, pracowali w państwowej fabryce, wykonując plan centralny. Czwarty – należący do wdowy po stolarzu z Wilna, Rupiejce – był właśnie w likwidacji. A piąty zakład przekształcił się w cichą manufakturę, gdzie wyrabiano piękne trumny, których produkcja – jak na razie – nie podlegała planowaniu centralnemu.

– Wszystko do czasu – powiedział ojciec po powrocie z miasta – ich także włączą w nurt historii.

A stołu nie było nadal. Pewne próby, podjęte przez ojca nieśmiało niczym ulotne i poetyckie improwizacje, już w samym zarodku skazane zostały na niepowodzenie. I tak deska do prasowania ustawiona na podwójnych skrzynkach, następnie prowizoryczny blat sklecony przez niego w piwnicy czy wreszcie ogłoszenie, które zamierzał umieścić w przedpołudniowej gazecie („Stół używany, zdecydowanie okrągły kupię”), nie znalazły cienia aprobaty w oczach mamy. Szczególnie ten ostatni wydał się jej okropny. Już

raz mieliśmy używany stół, no i proszę, co z tego wynikło! Ostatnią deską ratunku miał być więc pan Gorzki, który bez szyldu i zezwoleń możliwych i niemożliwych urzędów parął się stolarką pokątnie. Robił to po godzinach pracy, z materiałów ukradzionych w stoczni. Brał przy tym wysokie zaliczki i pił w każdą sobotę i niedzielę, jakby był szewcem, a nie stolarzem. Pan Gorzki często zasypiał przed domem na koślawej ławce, a że zdarzało się to w niedzielę, ludzie wracający z kościoła wytykali go palcami, nazywając masonem. W każdym razie przyjął od ojca zaliczkę i obiecał zrobić stół w ciągu tygodnia. Okrążyły, jak się patrzy. Mama ucieszyła się bardzo, a ojciec, który był legalistą, przeżywał teraz swój ciężki tydzień.

– Jeżeli wiem – pytał głośno co wieczór – że on zrobi nam stół z kradzionego drewna, to czy to jest w porządku? Czy to jest uczciwe?

Ale mama była pragmatykiem:

– Komu ukradnie? Wszystko jest państwowe. Wszystko!
– I zatoczyła ręką wielkie koło w powietrzu, jakby przemawiał przez nią Duch Dziejów.

Tenże sam Duch Dziejów przemówił jednak bardziej stanowczo przez pana Gorzkiego i oto, co się stało: stolarz nie skończył picia w niedzielę wieczorem, przedłużając swój błogostan do poniedziałku. Odnowił go we wtorek, podtrzymał w środę, podsycił umiejętnie w czwartek, aż wreszcie przeciągnął do piątku po północy, gdzie czekała już na niego spragniona sobota z niedzielą. Kiedy w poniedziałek – ten następny – udaliśmy się z ojcem do szopy pana Gorzkiego, położonej tuż obok stawu za browarem, przyjął nas, siedząc na klepisku, pijany w sztok, pośród butelek i roz-

rzuconych narzędzi. Z jego twarzy biła wisielcza melancholia pomieszana z ekstatyczną radością. Co chwila unosił głowę, zaśmiewał się gardłowo i wykrzykiwał wciąż to samo zdanie, jak katarynka:

– Ja wiem! Ja wiem!

Ojciec spurpurowiał, jakby to on sam wypił szklanekę spirytusu.

– Gdzie są moje pieniądze? – krzyczał – gdzie jest nasz stół? Proszę mi zwrócić zaliczkę! – zapał falsetem, łamiąc głos. – Natychmiast!

Ale nawet ja rozumiałem, że ojciec krzyczy wyłącznie dla zachowania przyzwoitości. Nie miało to już bowiem nic wspólnego z panem Gorzkim, który teraz, właśnie na naszych oczach, przeciął nici łączące go ze światem skutków i przyczyn.

Od tego czasu w naszym mieszkaniu pojawiał się pan Polaske. Pukał do naszych drzwi cichutko, witał ojca skinieniem głowy, po czym w milczeniu obchodził dookoła swój dębowy stół, teraz całkiem niewidzialny. Kładł na nim swoje podarunki – paczkę kawy, czekoladę, puszkę angielskiej herbaty – i wychodził niepostrzeżenie, tak aby nie spotkać mamy. Prezenty wyglądały dość dziwnie, wisząc w powietrzu nad podłogą, lecz zawsze, gdy wyciągałem po nie rękę, znikaly tak samo jak pan Polaske. Szybko i bez śladu. W spojrzeniu ojca nie znajdowałem rozstrzygnięcia dręczącej mnie wątpliwości – który mianowicie z braci przychodził do nas w odwiedziny? Ale nie rozmawiałem o tym z ojcem, który był coraz bardziej roztrąniony i być może wcale nie zauważał chwilowej obecności gościa w naszym mieszkaniu. Również fotografia z Długim Pobrzeżem niewiele mogła mi pomóc. Obaj panowie Polaske byli do siebie tak podobni, że nie odróżniłbym, który z nich

wyjechał do Niemiec, a który został w naszym mieście na zawsze, na brętowskim cmentarzu. Oczekiwałem więc rzeczy nadzwyczajnych i nieprzewidywanych. Do czego, na przykład, mogłoby doprowadzić spotkanie mojej mamy z panem Polaske? Albo pojawienie się nieoczekiwane gościa przy kuchennym stole? Lecz nic takiego nie nastąpiło.

Któregoś dnia ojciec przyszedł z pracy szczególnie podniecony.

– Mam! – krzyczał od progu. – Mam wreszcie stół!

Mama wyjrzała natychmiast przez okno.

– Nie widzę bagażówki – stwierdziła sucho.

I wtedy właśnie ojciec wyjął z kieszeni małą karteczkę i oznajmił, że trzeba pojechać do pana Kaspra, który robi stoły jak przed wojną – solidne i okrągłe, owalne lub w kształcie elipsy – wszystko na życzenie klienta. Tu tkwił sekret przedsięwzięcia: pan Kasper przyjmował tylko ludzi zaufanych, z polecenia. Ojciec wymachiwał karteczką w powietrzu jak biletem i dodał, że stolarz o nazwisku Kasper mieszka na Żuławach, po tamtej stronie Wisły.

II

Dom stolarza był niewielki. Tonął w zieleni starych wierzb i krzewów, jak drewniane pudełko z małym gankiem i fantazyjnymi oknami facjat. Staliśmy na podwórku, rozglądając się niepewnie, bo w obejściu nie było żywej duszy, nawet szczekającego psa. Wreszcie z ogrodu, który ciągnął się za domem, wyszła do nas kobieta w nieokreślonym wieku, o pomarszczonej twarzy.

– Do kogo? – spytała.

– Do pana Kaspra – uśmiechnął się ojciec. – Mamy interes do niego.

– On nie Kasper. On jest Kaspar – powiedziała kobieta.

– No tak – ojciec przestępował z nogi na nogę – więc mamy sprawę do pana Kaspara.

Kobieta patrzyła na nas podejrzliwie, a może tylko obojętnie, dość że nie powiedziała niczego więcej i staliśmy nadal, w gęstym i nieruchomym powietrzu południa, jak dwaj przybysze z obcego świata.

– Mam dla niego wiadomość – powiedział wreszcie ojciec. – Czy on jest w domu?

– W domu? – kobieta była oburzona. – Musicie iść drogą aż do spędu. On t a m jest! – I odwróciła się szybko, łopocząc połamami fartucha, jakbyśmy zupełnie przestali ją interesować. Obeszła narożnik domu i znikła gdzieś między krzewami.

– No to chodź – usłyszałem westchnienie ojca – musimy go znaleźć.

Ale w porównaniu z jazdą autobusem przez most pontonowy na Wiśle czy odkrytym wagonem kolei wąskotorowej, która wiozła nas przez groble, kanały i szpalery topoli, przeskakując zgrabnie żelazne mostki i ukryte śluzy, w porównaniu z tym wszystkim ostatni etap wyprawy po okrągły stół wydawał się drogą czyścową. Po kostki brnęliśmy w brudnym piachu, z którego unosił się gęsty kurz gryzący w gardle. Osiadał na wargach i języku, szczypał w oczy, zgrzytał między zębami, a prowadziły nas ślady racic.

– To już niedaleko – mówił ojciec – tą drogą pędzą bydło.

Lecz mnie było już wszystko jedno. Nawet widok wiatraka z kikutami skrzydeł, który stał przy drodze, bezużyteczny jak porzucone narzędzie, nie przyciągał mojej uwagi. Co

chwila omijaliśmy zwierzęce odchody i trzeba było uważać, żeby nie zanurzyć nogi w końskie albo krowie gównu. Było gorąco i gdyby nie ojciec, na pewno bym zawrócił.

W końcu dotarliśmy do placu, przy którym stał budynek przypominający bunkier. Cementowe ściany zabudowane w kwadrat nie miały właściwie okien i tylko pod samym dachem, płaskim jak decha, biegł rząd niewielkich świetlików. Żółty i odrapany szyld głosił, że stoimy przed barem „Pod Świnią”. We wnętrzu, chłodnym i mrocznym, siedziało przy kulawych stolikach kilku nadwerężonych mężczyzn.

– Piwa nie ma – krzyknął otyły barman – wszystko już wyżłopali!

Wirujące smugi tytoniowego dymu z ostrym zapachem potu, moczu i skwaśniałego alkoholu otaczały nas jak mgła. Ojciec tłumaczył barmanowi, kogo poszukujemy, a ja przyglądałem się twarzom mężczyzn. Były ogorzałe, pocięte bruzdami i z tym samym wyrazem, trudnym do określenia – zapatrzone w niewidzialny punkt.

Pan Kaspar siedział w samym kącie baru, prawie niewidoczny w półmroku, i palił ogryzek cygara. Na jego stoliku nie było pustego kufła, leżała za to kartka papieru, po której wodził kopianym ołówkiem, pozostawiając na niej fioletowe linie. Ojciec, pochylony, wy dostał z kieszeni karteczkę, położył ją na blacie jak bilet wizytowy i szeptał panu Kasparowi do ucha opowieść o stole. Kreślił przy tym w powietrzu fantazyjne linie, przecinał je i łączył, unosił się na palcach i siadał wolno na ławę, a jego rozmówca słuchał w milczeniu, dopalając cygaro.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, role się zmieniły. Pan Kaspar opowiadał, ciągnąc na sznurku prosiaka, o dzisiejszym spędzie – nieudany, jak zwykle gdy przyjeżdżali urzędni-

cy i kontrolerzy. Właśnie dlatego pan Kaspar nie sprzedał świni i czekał w barze nie wiadomo na co, może na koniec świata, a może na lepsze czasy, aż zobaczył nas i od razu poczuł, że idziemy do niego.

Minęliśmy opustoszały wiatrak, a pan Kaspar mówił dalej, że kilka dni temu śnił mu się dorosły mężczyzna z chłopcem, którzy pukają do jego drzwi i mają dla niego dobrą nowinę. To przecucie, dzisiaj właśnie spełnione, wprawiło go w doskonały nastrój, cóż bowiem piękniejszego może spotkać człowieka w takich czasach? Ojciec dyskretnie spoglądał na zegarek, czas płynął nieubłaganie, a ostatni wagon kolejki wąskotorowej odchodził za godzinę z sąsiedniej wsi.

– Niech się pan nie przejmuj – stolarz chwycił ojca za rękę – czymże jest nasze życie wobec wieczności? Małą chwilką, pyłkiem tylko!

Ojciec nie odpowiedział, a pan Kaspar rozwijał swoją myśl dalej:

– W tym pyłku, choć taki mały on jest i słaby, tkwią jednak tajemnice przeznaczenia. Bo dokąd idziemy? I skąd?

– Tak – ojciec opuścił głowę – to wszystko jest dosyć tajemnicze. Ale – zawahał się przez chwilę – czy robi pan ten stół? To dla nas bardzo ważne.

Stolarz zaplątał się w sznurek i pewnie dlatego nie odpowiedział ojcu natychmiast. Prosiak kwiczał żałośnie, pan Kaspar rozplątywał zamotane sploty, a wokół nas uniosła się gęsta chmura kurzu, który opadał powoli, wirując w promieniach popołudniowego słońca. A w chwilę potem, już przed domem, między krzakami czarnych porzeczek i gęstymi zarostami piwonii, zaczął się niezwykły ruch. Kobieta o pomarszczonej twarzy wyносиła talerze i sztućce, a pan Kaspar, jakby

nie słyszał pytania ojca albo zapomniał o celu naszej wizyty, ustawiał wiklinowe fotele wokół kamiennego stolika; i zanim ojciec zdążył powiedzieć cokolwiek, na przykład: „bardzo nam przykro, ale musimy już jechać”, siedzieliśmy nad rosółem, w którym pływały wielkie złote oka, i nad sztuką mięsa; a kiedy zjedliśmy i to, pan Kaspar przyniósł z piwniczki dzban, z którego nalewał do grubych szklanek jałowcowe piwo o ciemnej barwie i mocnym, aromatycznym zapachu.

– Cała sztuka – powiedział, unosząc szklankę do oczu – polega na tym, aby nie dodać zbyt dużo tych kuleczek. I żeby zebrać je w odpowiedniej porze, wczesnym popołudniem, kiedy nagrzane są od słońca i puszczają sok.

Patrzyłem, jak ojciec ciągnie cienisty napój długimi łykami i jak jego twarz, zawsze poważna i nieco zachmurzona, rozjaśnia się teraz, wypogadza i nabiera niezwykłego blasku. Zaraz też obaj panowie zaczęli snuć wspomnienia. Ojciec opowiadał o tym, jak w roku czterdziestym piątym przyплыł do Gdańska Wisłą, starym kajakiem, bo nie miał żadnych dokumentów i bał się kolejowych dworców i miejsc, gdzie chodziły sowieckie patrole. Natomiast pan Kaspar mówił o długiej podróży w wagonie kolejowym, która skończyła się niedaleko stąd, kiedy niemieccy dywersanci wysadzili tory i trzeba było znaleźć jakieś miejsce na postój. Opowiadał, jak szedł przez puste wsie, gdzie skrzypiały otwarte okiennice i uchylone drzwi, wabiąc go cicho: „Kaspar tu! Kaspar chodź!”. Ale on nie mógł się zdecydować, bo za sobą zostawił miasto, najpiękniejsze na świecie, miasto kościołów i synagog, łagodnych wzgórz i sosnowych borów otaczających przedmieścia, miasto jego dzieciństwa, młodości i wojny, które teraz znalazło się pod bolszewicką władzą.

– A jest to władza szatana – zamyślił się pan Kaspar. – Kraina ciemności i srogiemu ucisku.

Dzban był już pusty. Kobieta o pomarszczonej twarzy zabrała go na chwilę do domu.

– Tylko jak długo będzie to trwało? – pytał ojciec. – Jak długo można to wytrzymać?

Pan Kaspar odebrał napełnione naczynie i nalał znów piwa pachnącego jałowcem do szklanek. W powietrzu unosiła się przedwieczorna mgiełka, jaskółki z wizgiem krążyły pod okapem, a ojciec, jakby zapomniawszy o wąskotorowej kolejce i stole, mówił, że Pan Bóg chyba dawno przestał interesować się nami, skoro możliwy jest taki właśnie świat.

– O, nie! – zachnął się pan Kaspar. – Nie znamy dnia ani godziny. A swoją drogą – zapytał – czy świat zasłużył sobie na lepszy los?

Po tym pytaniu, w które niczym brzęczenie muchy wkraśli się wątpliwości i niejasne cienie, ledwie widoczne, a przecież wyraźne, w postaci nagłych zmarszczek na czole mojego ojca, zaszumiały liście i przez ogród przeszedł lekki powiew od rzeki. Pan Kaspar nie od razu polubił krainę, gdzie płaska jak stół ziemia nie ma końca, a długie rzędy topól i wierzb umykają prostymi liniami w nieskończoność. Którejś wiosny sztorm przełamał zapory, obalił śluzy i morze wdarło się aż tutaj, pod dom pana Kaspara.

– Niech pan sobie wyobrazi – opowiadał, pochylając się nad ojcem – że zarzuciłem z okna wędkę i wyciągnąłem... no, niech pan zgadnie, co?

– Suma! – krzyknął ojciec. – W tych kanałach muszą być wielkie sumy!

– Wyciągnąłem siedmiokilowego dorsza! – z zachwytem

wspominał pan Kaspar. – A gdy woda stała dłużej, mogłem sieciami ciągnąć śledzie!

Rozcierałem smak gorzkiego piwa na podniebieniu, bo dano mi spróbować dwa albo trzy łyki, i czułem, jak jałowcowe bąbelki zaczynają krążyć w mojej głowie. Niepostrzeżenie opuściłem werandę i zapuściłem się w gęstwinę ogrodu. Chodziłem po zarośniętych łopianami ścieżkach, a mocny zapach piwonii wirujący w powietrzu był dla mnie jak przedsmak gorącego lata.

– Myyy, pierwsza brygaaada! – głos ojca ulatywał wysoko ponad drzewa.

– Strzeeeecka gromaaada! – zawtórował mu pan Kaspar i dalej śpiewali już razem: – Na stos! – rzuciliśmy! – nasz życia los! – na stos! – na stos!

Następnie obaj panowie pociągnęli rozmarzonymi głosami za Niemen, a kiedy przebyli już tę rzekę w bród, z chrzęstem broni i łopotem sztandarów, wzniesli zdrowie marszałka Piłsudskiego i usłyszałem trzask tłuczonego szkła. Po chwili ujrzałem ich obu na szerokiej alejce między jabłoniemi. Szli wolnym krokiem w stronę rzeki.

– Oczywiście, pomogę panu, choć nigdy tego nie robiłem – mówił ojciec – dlaczego nie?

– Tak, tak – odpowiadał stolarz – zawsze czekam do zmierzchu, bo to nie jest prosta sprawa. Trzeba uważać!

– Oczywiście, trzeba bardzo uważać – powtórzył jak echo ojciec.

Na niebie wschodziła czerwona tarcza księżyca, kiedy zniknęli w dużej szopie obsadzonej gęsto krzakami forsycji i leszczyny. Usiadłem niedaleko nad wodą i patrzyłem na zebro zwodzonego mostu. Jego opadłe ramię jak nierucho-

my dźwig przecinało rzekę, a niżej, wśród tataraku i trzciny, zobaczyłem wrak barki. Był wbity w brzeg jak potężny klin i nawet teraz, w blasku księżycy, widziałem karłowate brzozy i olchy, które porastały dziób i nadbudówkę. Żaden dźwięk, nawet najmniejszy plusk wody, nie mącił spokoju nad rzeką. Powietrze stało nieruchome i znów przypomniałem sobie pana Polaske, który wchodził do naszego mieszkania niepostrzeżenie, szukając niewidzialnego stołu. Czy mógł zrobić to teraz, kiedy byliśmy z ojcem u pana Kaspara nad rzeką Tują? Ostatnia wąskotorówka odjechała już dawno, a mama dzwoniła pewnie od sąsiadki na pogotowie, milicję i do szpitali, aby potwierdzić najgorsze przeczucia. A jeśli spotka go na schodach, w ciemnej klatce, gdy w długim płaszczu przejdzie obok niej, milczący i zamyślony. To nie byłoby jeszcze najgorsze – myślałem. – Oby nie spotkała go tylko w mieszkaniu!

Tymczasem z szopy nie dochodziły żadne dźwięki, a przez zamknięte okiennice nie wydostawał się najmniejszy promyk światła. Dopiero po chwili zauważyłem, że z niewielkiego komina, prosto w granatowe niebo, sączy się siwa nitka dymu. Czekałem, aż warkot piły lub stukot młotka rozedrze ten namiot ciszy, ale zamiast odgłosów pracy powietrze przeszło nagle dziwny wrzask. Nigdy nie słyszałem czegoś równie okropnego. Ni to jęk, ni pisk świdrował przenikliwie ciszę, by nagle po paru sekundach umilknąć.

Byłem sparaliżowany. Stałem na brzegu, patrząc w czarne kontury szopy, i nie mogłem ruszyć się z miejsca, jakby tam, w środku, pomiędzy ojcem a panem Kasparem zdarzyło się coś, czego nie mogłem sobie nawet wyobrazić. Wreszcie, wiedziony niejasnym przeczuciem, podszedłem do szopy

i uchyliłem cicho drzwi. Ujrzałem przez szparę postać pana Kaspara w białym fartuchu poplamionym krwią. Unosił w dłoniach wielki tasak i kiedy usłyszałem mojego ojca, który powiedział głośno: „nie, nie, to chyba nie tak!”, topór uderzył w coś miękkiego, co leżało na stole, a wtedy krew tryśnęła na wszystkie strony i pan Kaspar, wycierając dłonie i twarz z czerwonych plam, powiedział: „tak, rzeczywiście chyba nie wszystko spłynęło jak trzeba”.

Ogień buzował w wielkim piecu, który miał kilka żelaznych drzwiczek, ojciec podrzucał do paleniska grube polana, a pan Kaspar odłożył tasak i z nożem w dłoni rozcinał teraz czerwone i różowe płyty mięsa wiszące na hakach. Obok, na podłodze z desek, leżał świński łeb. Otwarte oczy prosiaka patrzyły na mnie pytająco, a obaj panowie płukali kawałki mięsa w miednicach, niektóre wsadzali do kamiennych garnków, inne nacierali jakimś proszkiem, po czym wieszali je na żelaznym pręcie, który znikał w czeluściach wysokiego pieca.

– Do rana powinniśmy zdążyć – powiedział pan Kaspar, odkładając długi i szeroki nóż – całe szczęście, że przyjechał pan dzisiaj, bo moja żona nie znosi takich widoków.

Ojciec odłożył na chwilę robotę, wytarł dłonie i z kryształowej karafki, która stała na półce, nalał do kieliszków rubinowego płynu. Był ciemniejszy niż krew i bardziej gęsty, widziałem to przez uchylone drzwi, kiedy przechylali kieliszki.

– Pana żona jest małomówna – powiedział ojciec, wycierając usta – i ma dziwny akcent. Pomorski, a jednak inny.

– Zauważył pan to? – stolarz zabrał się znów do roboty. – Zauważył pan jednak!

I zanim ojciec wsadził do pieca następny ruszt, pan Kaspar zaczął mówić szybkimi zdaniami, że oni śnią mu się po nocach, że widzi ich jak na jawie, gdy w czarnych kapotach przekraczają bramy obozów, gdy w tych czarnych kapotach zdążają prosto do nieba, a tam, w górze, otwierają się wrota i Pan Bóg wita ich z uśmiechem. Bo któż miałby mu być miłszy niż oni, którzy uprawiali tłustą ziemię w pocie czoła i z miłością, oni, którzy przekopywali pracowicie kanały, budowali śluzy, stawiali wiatraki, śpiewali psalmy i hymny i nigdy, pod żadnym pozorem, nie chcieli brać broni do ręki?

– Oni? – zapytał nieśmiało ojciec, przymykając drzwiczki pieca. A wtedy pan Kaspar westchnął cicho i mówił o menonitach, po których nie został prawie żaden ślad, i o domu, do którego wszedł kilkanaście lat temu, myśląc, że będzie pusty jak pozostałe, w czym jednak się mylił, bo na strychu, w najgłębszym kącie i po dwóch dniach dopiero, zobaczył dwoje świecących oczu, i to były właśnie jej oczy, menonickie, ostatnie na tej ziemi i pierwsze, jakie ujrział nad rzeką Tują.

– Ach tak – powiedział mój ojciec – teraz rozumiem.

W garnku bulgotała wrząca woda, stolarz płukał w miednicy oczyszczone jelita, a nad szopą, ogrodem, rzeką i kanałami unosił się wielki księżyc. Stałem w drzwiach, patrząc na kryształową karafkę z rubinowym płynem, na płaty mięsa zawieszane na haku, a pan Kaspar, po chwili ciszy, dalej ciągnął swoją opowieść, jak to zapatrzył się w te oczy i natychmiast wiedział, że one go rozumieją, choć jeszcze przez długie miesiące potem nie potrafił jej wytłumaczyć, skąd właściwie przybywa i dlaczego tak długo jechał pociągiem na zachód. Nie potrafił jej opisać swojego miasta wśród

wzgórz i sosnowych lasów, w którym kopuły kościołów przeglądały się w obłokach, bo ona – tu pan Kaspar odstawił miednicę i sięgnął po worek z kaszą – bo ona знаła tylko jedno miasto, to, do którego pływali stąd łodzią na targ; całkiem inne – ciągnął dalej – spalone wtedy i zrujnowane.

– Mimo wszystko – powiedział ojciec, przytrzymując kieszkę, którą wypełniał stolarz – ruiny wyglądały niesamowicie. Kiedy wpłynąłem kajakiem na Motławę i zobaczyłem je z daleka, pomyślałem, że to księżycowe miasto.

Pan Kaspar pokiwał głową, zawiązał kieszkę cienkim sznurkiem i właśnie wtedy, gdy zamierzał coś odpowiedzieć, może o ruinach, a może o ostatnich mennonickich oczach, ojciec podniósł wzrok i zobaczył mnie stojącego w drzwiach szopy.

– On jeszcze nie śpi?! – krzyknął ze zdumieniem. – Która to już godzina?

Ale pan Kaspar uspokoił go ruchem ręki, odstawił miednicę, poprosił, żeby ojciec pilnował ognia, bo nic tak nie psuje wędzonki jak nierównomierny dym i ruszył przez ogród, prowadząc mnie ścieżką do domu.

– A stół? – zapytałem nieśmiało. – Co ze stołem?

Pan Kaspar odpowiedział, że wszystko będzie dobrze i na wszystko przyjdzie odpowiedni czas.

Daleko, od strony rzeki, zadźwięczała harmonia. Kilka głosów zawodziło ochryple: „*A ty мене pożałujesz, a ty мене pocałujesz!*”.

– To Ukraińcy – wyjaśnił stolarz, kiedy staliśmy już przed werandą – z tamtej strony rzeki. Piją, śpiewają, smutno im. A czy ty wiesz, dlaczego im smutno? – zapytał niespodziewanie.

Nie wiedziałem. Staliśmy przed domem, patrząc jak długie cienie drzew kładą się na ścieżkach ogrodu.

– To przez ten księżyc – usłyszałem głos pana Kaspara. – Zawsze, kiedy jest pełnia, Ukraińcy z kołchozu piją i śpiewają. Nawet zimą. A któregoś razu przeszli przez lód na tę stronę i podpalili szopę. To było dawno, dziesięć lat temu – mówił coraz ciszej pan Kaspar – tylko księżyc wydawał się większy, jak zawsze kiedy leży śnieg.

Chciałem opowiedzieć panu Kasparowi o naszym stole inaczej niż ojciec, który na pewno nie wspominał o braciach Polaske z Zasy, ale stolarz odszedł prędko, niknąc między drzewami jak cień.

Kobieta o pomarszczonej twarzy zaprowadziła mnie do pokoju na poddaszu i pokazała przygotowane łóżko. Ale ja wcale nie chciałem spać. Kiedy tylko usłyszałem kroki na schodach, podszedłem do okna i otworzyłem je szeroko. Księżyc był już po drugiej stronie domu i jego poświata wydawała się słabsza, lecz mimo to dach szopy, drzewa i jasna wstążka rzeki z opadłym ramieniem zwodzonego mostu były widoczne jak na dłoni. Tylko wrak barki zniknął gdzieś za zakrętem wśród tataraku i trzcin. Ukraińcy rozpalili na drugim brzegu ognisko. Widziałem ich figurki uwiłajające się wokół światła i żałowałem, że nie mogę tam iść, bo ich piosenka, śpiewana mocnymi głosami przy harmonii, długa, rozciągała i wpółrozumiała, groźna i łagodna zarazem, była dziwnie pociągająca.

I nagle zapragnąłem wiedzieć wszystko. Dokąd płynie rzeka Tuja? Gdzie było miasto pana Kaspara? Dlaczego menonici nie chcieli nosić broni? Czy rzeczywiście wszyscy poszli do nieba? Zapomniałem zupełnie o panu Polaske, mamie i okrągłym stole, po który jechaliśmy przez most pontonowy na Wiśle.

Kiedy usiadłem na łóżku, mój wzrok padł na szafę z rzeźbionymi nóżkami. Otworzyłem drzwi i pośród męskich marynarek, spodni, koszul i krawatów, które należały pewnie do pana Kaspara, znalazłem kapelusz, jakiego nie widziałem jeszcze nigdy, nawet na starych fotografiach. Był czarny, z ogromnym rondem, a jego filcowe brzegi układały się pod palcami miękko i bez oporu. Stałem przed lustrem i widziałem w niewyraźnej poświacie odbicie swojej twarzy, której nigdy nie przyglądałem się z taką uwagą jak teraz, twarzy ukrytej w cieniu czarnego ronda, jej ledwo widocznym oczom i ustom, rozpuszczonym jakby w szlifowanym zwierciadle. Coraz większy był za to kapelusz, a wraz z nim rosłem i ja; aż wreszcie, kiedy byłem już tak wysoki jak ojciec i szeroki w ramionach jak pan Kaspar, szedłem przez księżycowy ogród do rzeki i przez drewnianą kładkę wkraczałem na pokład barki. Zwodzony most unosił swoje ramię, a ja, stojąc za kołem sterowym, prowadziłem statek przez zakola rzeki, odnogi kanałów, śluzy i przepusty, aż wreszcie wpływałem na Motławę i przybijając do Długiego Pobrzeża, w tłumie masztów, kominów i chorągiewek, prosiłem Ukraińców o wyładunek. Worki ze zbożem, okrągłe sery, kosze pełne jabłek i śliw, beczki, w których pływały ryby, sztuki płótna pachnące latem i ziołami, kilkufuntowe beczułki z masłem – wszystko to wędrowało z luków na nabrzeże. Ukraińcy zawodzili smętnie przy pracy, a ja, chociaż nie rozumiałem do końca słów pieśni, w której pan Potocki „*pesi syn, zaprodał Polszu, Litwu i wsiu Ukrainu*”, słuchałem tych słów jak znajomego refrenu, w którym wyrażała się nieukojoną tęsknota i gniew.

Czerń kapelusza odbita w zwierciadle odzyskała wreszcie głębię i ostrość, kiedy ujrzałem nagle płomień świecy, a nad

szerokim rondem pojawiła się pomarszczona twarz kobiety. Stała za mną z lichtarzem w dłoni, a poły jej szlafroka opadały do kostek jak obszerna suknia. Dopiero po chwili, nie odwracając wzroku od zwierciadła, zobaczyłem łzy: spływały jej po policzkach jedna za drugą; pomyślałem, że pewnie wzruszyły ją słowa piosenki dobiegające z tamtej strony rzeki, od ogniska. Lecz to nie było to. Delikatnym ruchem zdjęła mi z głowy kapelusz i obracała go w dłoniach. Nie wiedziałem, kiedy weszła do pokoju i jak długo obserwowała mnie przy lustrze. Czy mogła widzieć mnie na barce?

Świeca odstawiona na podłogę migotała chybottliwym płomieniem, a milcząca kobieta o pomarszczonej twarzy, wpatrzonej w czerń kapelusza, stała obok mnie, zajęta myślami, do których nie miałem dostępu. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na szklanej powierzchni lustra, po czym zobaczyłem, jak odchodzi, trzymając czarne rondo w obu dłoniach.

Zdmuchnąłem świecę. Wykrochmalona pościel przyjęła mnie łagodnym chłodem, a mimo to palił mnie żar, jakbym stał przy piecu w szopie, gdzie pan Kaspar i ojciec, zajęci nielegalnym ubojem, zapomnieli o bożym świecie i o tym, że czas upływa.

Z kobietą o pomarszczonej twarzy nie zamieniłem ani jednego słowa. Także następnego dnia rano, gdy obaj panowie, smakując wędzonki, próbując kiszki, rozwodząc się nad zaletami polędwicy, omawiali szczegóły zamówienia: średnicę blatu, wysokość nóg, kolor forniru.

Nie powiedziałem ojcu o czarnym kapeluszu, gdy jechaliśmy wąskotorową kolejką wzdłuż rzeki Tui, mijając zarośnięte kanały i nieczynne śluzy. Ani wówczas, gdy niebieskim autobusem mknęliśmy przez most pontonowy na Wiśle, ani

też wtedy, gdy na przedmieściach Długich Ogrodów zamajaczyły ceglane wieże kościołów.

Ojciec rozwijał z zatłuszczonego papieru pachnącą jałowcem szynkę, mama ze zwilżonym ręcznikiem na głowie leczyła migrenę, a ja, patrząc na ich zagniewane twarze, gdy ciskali w siebie słowami „obowiązek”, „stół”, „lekkomyślność”, „okazja”, myślami byłem przy kobiecie o pomarszczonej twarzy: czułem, że nigdy jej nie zapomnę i że ona nie zapomni mnie nigdy.

Tydzień później nieznajomy kierowca zastukał do naszych drzwi i obcy mężczyźni wnieśli do pokoju stół pana Kaspara. Był okrągły, z orzechowym fornirem i wzbudził absolutny zachwyty mamy. Swary i kłótnie poszły w zapomnienie, a obiad tego dnia ciągnął się długo, jakby odwiedziła nas babka Maria.

A kiedy dojrzały już na naszej ulicy kasztany, a ja, ślęcząc nad pierwszymi literami elementarza, poznawałem losy Ali, która ma kota, i pochylony nad stołem pana Kaspara czytałem pierwsze zdanie: „To jest fabryka”, do naszych drzwi zastukał pan Polaske. Był nieśmiały, opowiadał, jak znalazł nasz adres i jakie trudności miał z wizą i urzędnikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Usiadł przy stole pana Kaspara, wyjął kawę, kakao, czekoladę, puszkę herbaty angielskiej, opowiadając o podróży i o tym, jak bardzo jest szczęśliwy.

– Czy zje pan z nami obiad? – zapytała mama, ale pan Polaske śpieszył się do hotelu. Dziękował, przepraszał i wyszedł prędko, żegnany przez ojca w drzwiach.

– Nie zauważył stołu – powiedział ojciec.

Ale ja nie byłem tego taki pewny. Prezenty, jakie zostawił, nie zniknęły tym razem niepostrzeżenie. Przerzuciłem kart-

Opowiadania na czas przeprowadzki

ki elementarza. Ala szła do szkoły. Tata szedł do pracy. Mama gotowała obiad. Hutnicy wytapiali stal. Górnicy wydobywali węgiel. Lotnik szybował nad ojczyzną. Wisła płynęła do Bałtyku. Kobieta zabrała czarny kapelusz. Mennonicy poszli prosto do nieba. Pan Polaske sprzedał stół, a pan Kaspar zrobił nowy.

– Co ty czytasz?! Czy on czego nie zmyśla? – zapytała mama.

– Tak, tak – ojciec zapalił papierosa i położył dłoń na blacie, po którym ślizgało się światło – wszystko to jest zmyślane. Dosłownie wszystko!

Patrzyłem na smugę dymu niknącą pod sufitem. Czas płynął odtąd inaczej i tylko ja wiedziałem dlaczego.

Winniczki, kałuże, deszcz

Frankowi Rossetowi

Na początku był deszcz. Padał od kilku dni i nieopodal kościoła Zmartwychwstańców woda wyżłobiła głębokie kanały, którymi płynęły z lasu patyki, żdźbła trawy i małe szyszki. Lubilem stać w tym miejscu. Woda bulgotała na kamieniach wypłukiwanych z drogi, strumyki łączyły się ze sobą w jeden wartki potok, który spływał dalej w dół ulicą Gomółki, przecinał następnie Chrzanowskiego i wreszcie rozlewał się w ogromne kałuże po obu stronach jezdni. Wzgórze za kościołem spowijała mgła, z gałęzi sosen i świerków spadały ciężkie krople i wszystko, także dachy domów i szczyt drewnianej dzwonnicy, tonęło w jednostajnym szumie.

Co roku zapach lata przychodził od strony morza. Bryza niosła ze sobą woń rozwieszonych sieci i smak soli, który czuć było na wargach, a teraz lato ukazywało swoje odmienne, być może ukryte oblicze. Nad ziemią krążyła niewidoczna zawiesina, w której panował żywioł płodności. Zapach pleśni, grzybów, żywicy i nieznanych ziół unosił się nad kałużami jak gęsty wywar, powracał z każdą falą deszczu, wypełniał ogrody i ulice, a rozbuchana zieleń zdawała się lada chwila rozsadzić zwilgotniałe mury kamienic, z których od lat odpadał tynk, ukazując czasami strzępy niezrozumiałych napisów.

Wyjmowałem z kieszeni przygotowane drewnienka. Najpierw na wodę spływała „Santa Maria”, potem „Magellan”, „Kapitan Grant”, „Nautilus”, między nimi przemykał niszczyciel „Burza” z czasów ostatniej wojny, a wreszcie, na zakończenie wodowania, puszczałem do strumyka okręt flagowy „Trynidad”, którego nazwa nie pochodziła ani z ksią-

żek, ani z opowieści marynarzy. „Trynidad” wyrażał nieokreśloną tęsknotę za ciepłem tropikalnych mórz, za blaskiem hiszpańskiego złota, a także zapachem mandarynek, które co parę lat pojawiały się w naszym mieście przed Bożym Narodzeniem, kiedy do portu zawijał statek z Grecji albo Portugalii.

Gdzieś w gąszczu zieleni majaczyła czasami plama sutanny. To proboszcz z ogromnym parasolem schodził z domu na wzgórze do kościoła. Otrzepywał krople deszczu, machając jak ptak czarnymi skrzydłami, zatrzymywał się na schodach, patrzył w niebo i na drogę, ale nasze spojrzenia nie krzyżowały się ze sobą.

Statki płynęły coraz szybciej, woda niosła je poprzez wiry, przez wodospady i spienione katarakty, biegłem więc za nimi w dół aż do miejsca, gdzie potok rozlewał się szeroko, nie syczał już i nie bulgotał, a moja armada wpływała na szerokie i spokojne wody. Kałuże miały tu barwę ciemnej zieleni i tylko czasem, gdy niebo zaciągało się mocniej niż zwykle, ta zieleń przechodziła w brąz i wtedy jasne kadłuby „Santa Marii” czy „Nautiliusa” odcinały się od tła jak poziome, widoczne z daleka kreski.

Brodziłem po kałużach jak Bóg pochylony nad światem. Wyspy, zatoki, przylądki, cyple i sekretne przesmyki zmieniały swój kształt nieustannie. Niejednokrotnie znajoma z atlasu linia norweskiego fiordu czy kształt szwedzkiego wybrzeża pojawiały się tutaj jakby odrysowane z pamięci, by w parę chwil potem ulec tajemniczym przemianom. Łądy rozpadały się w okamgnieniu, szkiery i mielizny znaczyły nowe szlaki żegluggi, a w miejsce dawnych archipelagów powstawały nowe, o liniach tak fantastycznie powikłanych, że ich finezji i subtelnego piękna nie oddałyby żadna mapa. Pośród nich odnajdywałem

teraz okręty. Niektóre kołysały się na wodzie, inne osiadały na mieliznach i tylko „Trynidad”, jakby w jego nazwie zawierało się wezwanie do najdalszej podróży, pomykał środkiem rozlewiska, tam gdzie niewidoczny prąd znosił kadłub okrętu ku krańcom świata. Było to miejsce niebezpieczne. Woda huczała na cementowym progu i wszystko, nawet małe kamienie i grudki żółtej gliny, wsysał potężny wir kanalizacyjnej studzienki. Jej żeliwny dekiel zanurzony pod wodą prowadził do podziemnego świata. Tam, gdzie nie dociera blask dnia i gdzie labirynt pieczar i oślizgłych ścian, wypełniony szumem i sykiem, przypomina piekło. Woda chlupotała w kaloszach, a ja w ostatniej chwili wyławiałem „Trynidad”, ratując przypadkowych podróżnych przed katastrofą. Czasem był to złocisty żuk wczepiony w kadłub, czasem pająk lub mrówka; zanosilem więc niedoszłych rozbitków na suchy ląd i wędrowałem pod górę, pod sam kościół, gdzie z rozpiętym nad głową parasolem przechadzał się między drzewami proboszcz, odmawiając brewiarz.

Byłem samotny i szczęśliwy. Mój ojciec też był samotny, lecz na pewno nie był w tym czasie szczęśliwy. Nadrabiał miną, podśpiewywał przy goleniu, trzymał dziarski krok, z uśmiechem odkłaniał się sąsiadom, lecz zawsze kiedy wychodził rano z płócienną torbą, w której znajdowało się śniadanie i pomarańczowa kamizelka, zawsze kiedy wychodził do pracy na dworcu, gdzie zamiatał długą miotłą perony i schody, widziałem w jego oczach jakby cień melancholii albo zdumienia pomieszanego ze smutkiem, że oto właśnie od kilku tygodni nie siedzi już nad ogromną deską z planami statków, nie kreśli na kalce skomplikowanych linii, nie zapisuje tam swoich uwag, cyfr, pierwiastków i kwadratowych nawiasów, tylko macha tą czarną miotłą, zbiera na

blaszaną szufelkę niedopałki i ogryzki, a wiatr wydyma jego pomarańczową kamizelkę jak żagiel rozbitka.

– Mogłeś to jednak podpisać – mówiła mama co rano, a wtedy ojciec wymachiwał rękami, krem do golenia przyskałał do garnka z mlekiem, lecz jego słowa o tym, że cyfry i obliczenia nie znają kilku języków, bo język matematyki jest tylko jeden, prosty i jasny jak myśl Kartezjusza, jego gniewne słowa o ludziach, którzy znają tylko terminy wodowania, nie znają jednak praw fizyki, te słowa mojego ojca jakoś nie docierały do mamy, spływały po niej jak woda, odbijały się niczym okrągłe piłeczki, czyniąc go jeszcze bardziej samotnym i opuszczonym.

– Ten wał korbowy trzaśnie po dwudziestu milach – usiłował jeszcze tłumaczyć, ale było to beznadziejne; mamie przecież nie chodziło już teraz o żaden wał, lecz o tę szczególną ostentację, z jaką ojciec zamiatał dworzec. Po co to robił? Po co kusił los? Przecież to jawne wyzwanie dla ludzi, którzy go wyrzucili „z wilczym biletem!” – tak mówiła, dokładając do kuchennego pieca sosnowych szczap – i oni mu tego nigdy nie zapomną, oni nie zapominają takich rzeczy! – A wtedy ojciec opowiadał, jak miło jest na dworcu, kiedy zawiadowca macha czerwonym lizakiem, kiedy zapowiadają pociągi przyjeżdżające z kraju nad morze i kiedy rozmawia z robotnikami dworca towarowego, robotnikami z rampy, którzy dokładnie wiedzą, jakie towary za dzień lub dwa pojawią się w sklepach, bo wszystko – lodówki, maszynki do mielenia mięsa, czeskie odkurzacze, jugosłowiańskie meble, perskie dywany z NRD – bo wszystko to przechodzi przez ich ręce i mogą o tym gawędzić godzinami, w natchnieniu, oczekując na kolejny transport.

– Nigdy jeszcze nie widziałam czeskiego odkurzacza – krzyczała mama – i nie widziałam inżyniera, który chwali się taką pracą! – I zanim ojciec zdążył wyjść z domu, mówiła jeszcze, że niepotrzebnie przyjechali do tego miasta, niepotrzebnie wywozili popołudniami gruz z ruin i niepotrzebnie odbudowywali je jak tysiące innych ludzi, ze śpiewem i entuzjazmem, skoro teraz ojciec nie może w tym mieście znaleźć odpowiedniej pracy i wszędzie, gdzie się pojawi, rozkładają ręce i mówią: „proszę wybaczyć, ale z pańskimi poglądami...”, jakby wał korbowy miał coś wspólnego z jakimikolwiek poglądami.

Ojciec już w wyjściu odpowiadał, że praca na dworcu jest wspaniała i że w ogóle nie ma czym się przejmować, bo kiedy skończą budować ten statek i popłyną na próbę, wtedy okaże się, kto miał rację, wtedy prawda wypłynie na jaw, bo prawda zawsze wypływa na powierzchnię, jak oliwa.

– Jaka prawda? – pytała mama, ale on nie słyszał już tego; szedł z pochyloną głową przez podwórko, przeskakiwał kałuże, płócienna torba zwisała mu z ramienia, a ja czułem, że jest jeszcze bardziej samotny niż poprzedniego dnia i że nadrabia miną, bo przecież peron dworca nie jest planem kadłuba czy maszynowni, a miotła nie zastąpi mu nigdy czarnego grafionu, którym zaznaczał wszystkie te swoje cyfry i obliczenia.

Byliśmy więc samotni, choć każdy inaczej. On, w pomarańczowej kamizelce, takiej samej, jaką nosili śmieciarze, kreślił miotłą po peronie schematy tłoków, wyloty zaworów, wały korbowe i wloty paliwa, a ja, nad deszczowym strumieniem, podróżowałem na krańce świata aż do miejsca, gdzie czarna dziura wsysała z potokami wody wszelką materię.

Czy tak mogło wyglądać wejście do Hadesu? Wiedziałem, że świat cieni ukryty przed okiem śmiertelników posiada sekretne wejścia, owe furtki znane nielicznym śmiałkom, ale czy droga do królestwa Persefony wiodła akurat tędy? Czy gdybym był Odysem albo pieśniarzem z Tracji, mógłbym, odchyliwszy klapę kanalizacyjnej studzienki, wejść prosto nad brzegi Styksu? Na takie pytanie mogłaby odpowiedzieć jedynie babka Maria, która podczas zimowych wizyt czytała mi mitologiczne historie; ona jedna dałaby się zaprowadzić nad wielkie kałuże i na pewno podziwiałaby wir, w którym znikają niesione przez wodę stworzenia. Nie było jej jednak przy mnie, nie było jej nawet w naszym mieście, mieszkała od nas daleko, więc brodząc po rozlewisku sam, zdany byłem zaledwie na domysły, niepewność i milczące spojrzenia proboszcza.

Gdyby Pan Jezus spędził trzy dni po swoim pogrzebie właśnie w Hadesie, gdyby jednym gestem poskromił Cerbera, a potem spotkał tam... nieszczęśliwego Syzyfa – tak, wówczas mógłbym zapytać proboszcza o sekretne wejście do świata podziemi. Ale zdanie z *Credo*, które przypomniałem sobie, stojąc nad studzienką kanalizacyjną, owo lakoniczne i tajemnicze zdanie wymawiane w czasie każdej mszy: „i zstąpił do piekieł, a trzeciego dnia zmartwychwstał”, nic bliższego o piekle tym nie mówiło i nie wskazywało raczej, by miało ono coś wspólnego z Hadesem i rzeką zapomnienia. A jednak, mimo to, zobaczyłem Jezusa w płynącej wodzie: w białych szatach, z uniesioną dłonią i obnażonym bokiem, na których znać było ślady gwoźdźcia i rzymskiej włóczni, płynął łodzią Charona na drugą stronę wśród mgieł i wirujących widm. Widok ten wydał mi się szczególnie pięknym.

ny i porywający. Ale jeszcze większy zachwyty wzbudziła we mnie scena z Syzyfem:

Jezus podchodził do niego bezszelestnie i pomagał toczyć głaz na górę, a kiedy wreszcie Syzyf krzyknął zdumiony: „udało się! udało!”, Jezus wychodził z mgły-obłoku i mówił donośnym głosem, tak żeby go wszyscy słyszeli: „Syzyfie! Twoje winy zostały ci odpuszczone!”. Potem Jezus przechodził dalej, aż do Hesperyjskiego Sadu, gdzie wśród nachylonych gałęzi, złotych jabłek i lekkiego wietrzyku przechadzali się poeci, a pomiędzy nimi mój dziadek Karol, który wprawdzie nie pisał wierszy, ale miał duszę poety i na pewno wędrował z innymi cieniami wśród wysokich traw, spokojny i szczęśliwy.

Woda płynęła dalej, nieustannie, odbijając ciężkie od deszczu obłoki, a ja brodziłem w zielonych kałużach, krążąc wokół kanalizacyjnej studzienki; brodziłem tak długimi godzinami, patrząc jak na powierzchni wody odbijają się oprócz drzew i nieba moje własne myśli, te, których nie mógłbym wyjawiać księdzu proboszczowi i które zachowywałem dla babki Marii jak największy sekret. Głos proboszcza brzmiał surowo, gdy na lekcjach religii opowiadał o fałszywych prorokach, wymyślonych bogach i nieistniejących królestwach, natomiast jej głos był miękki i ciepły, gdy opowiadała historie Odyseusza albo wyprawy Argonautów, a przy tym rozwijała je tak, jakby zdarzyły się niedawno i jakby ich śmigłe okręty przepływały naszą zatokę niejedną raz, tnąc wiosłami wodę i wydymając purpurowe żagle. Rzeka zapomnienia mogła więc mieć początek właśnie tu, niedaleko kościoła Zmartwychwstańców, toteż pochylony nad parującym roz-

lewiskiem puszczałem moje okręty coraz bliżej niebezpiecznego miejsca, aż bulgoczący wir pochłonął wreszcie „Nautiliusa” i „Burzę”, wessał „Santę Marię” i „Magellana”, połknął „Kapitana Granta” i tylko „Trynidad”, mój okręt flagowy, który miał kiedyś dopłynąć na Antyle w poszukiwaniu hiszpańskiego złota i zapachu mandarynek, tylko „Trynidad”, którego nazwa brzmiała egzotycznie jak napis na zagranicznym znaczku pocztowym, tylko „Trynidad” wyszedł z tych prób zwycięsko.

Wracalem do domu w stanie natchnienia. Zapach wilgotnej ziemi, zapach błota i mułu unosił się nad wodami i krążył jak niewidoczny ptak coraz wyżej i wyżej, obejmując wreszcie płachtą niewidzialnych skrzydeł port, zatokę, stocznię i wieże kościołów, a ja zatrzymywałem się przy niektórych domach, tam gdzie spod warstwy tynku wylaniał się napis „*Butter – Milch – Brot*” albo „*Tabakenhandlung*”, patrzyłem na zardzewiałe markizy, na kręte żeliwne barierki zakończone kolcami w kształcie płomyków świec, zatrzymywałem się przy zarośniętych ogrodach, gdzie w gąszczu chwastów i ogromnych liści łopianu ukrywały się drewniane figurki krasnali, łabędzi i długowłosych księżniczek, patrzyłem na zzieleniałe od mchu altanki, porośnięte glicynią albo dzikim winem, lekko przeskakiwałem kałuże, omijałem słupki hydrantów i myślałem o dziadku Karolu, który nie lubił przyjeżdżać do naszego miasta, myślałem o moim ojcu, który z kolei pokochał to miasto, i myślałem o sobie, że jestem pomiędzy nimi jak ktoś na skrzyżowaniu dróg obok kamiennego drogowskazu, na którym woda, piasek i wiatr zatarły dawno wszystkie litery.

– Mój Boże, co ty robiłeś? – mówiła mama. – Gdzie ty się włóczysz godzinami? – ale były to pytania retoryczne.

Suszyłem nogi przy kuchennym piecu, przeglądałem roczniki „Morza” z modelami żaglowców, ojciec powracał z dworca zmęczony i małowówny, jedliśmy zupę ziemniaczaną, na drugie danie jedliśmy ziemniaki z kalafiozem, czasem jedliśmy także deser, a potem ojciec szedł do pokoju, włączał „Beethovena” albo „Pioniera”, zasypiał przy dźwiękach muzyki albo popołudniowego dziennika; wiedziałem, że kiedy się obudzi, mama znów będzie go wypytywać o ten nieszczęsny wał korbowy i jego podpis, a raczej brak podpisu na projekcie, a wtedy on będzie się złościł, będzie chodził po pokoju wielkimi krokami, wymachując ręką jak kaznodzieja, będzie podnosił głos i ściszał go aż do szeptu, bo wszystko już przecież wytłumaczył – pośpiech dyrektorów, termin wodowania, ten cały szum wokół budowy „Marszałka Żukowa” niewarty funta kłaków, bo statku nie da się zbudować szybciej niż to możliwe, to samo z projektami rojącymi się od błędów, o czym nikt jednak nie chciał słyszeć, dużo mówiono za to o przyjaźni i podejrzanych elementach, które widać nie chciały tej przyjaźni i opóźniały szybki marsz w cudowny wiek XXI.

– Beze mnie – mówił ojciec na zakończenie przemówienia i często dla poprawienia humoru wyciągał pudło z fotografiami, a wtedy zaczynała się chwila osobliwa, bo przy stole pojawiał się dziadek Karol w mundurze porucznika cesarsko-królewskiej artylerii, obok niego stał baron von Moll w sztylpach i z szablą, którą wbił właśnie w ziemię, obaj trzymali kufle z pianistym piwem, za ich plecami widniała lufa ogromnego działa, a oni uśmiechali się jak dwaj pano-

wie na kuracji w badzie, którym zagrano akurat marsza Radetzky'ego, aż do następnej fotografii, gdzie dziadek Karol stał już sam na tle spalonych domów, z dystynkcjami nadporucznika i patrzył na nas już nie tak wesoło jak poprzednim razem, pewnie dlatego, że z barona von Molla została tylko bryła bezkształtnego mięsa, choć może i dlatego, że nie trzymał już w dłoni kufła piwa, a za jego plecami płonęło miasto.

– To Gorlice – mówił ojciec – rok 1915, rok ofensywy austriackiej w Karpatach Wschodnich. A to twój dziadek z prezydentem Mościckim – podawał następne zdjęcie – już w wolnej Polsce, kiedy otwierają fabrykę koło Tarnowa.

Patrzyłem na dziadka Karola, który we fraku i cylindrze stał obok prezydenta i chociaż nie trzymał w dłoni kufła z piwem, jego oczy były uśmiechnięte, tak samo jak na zdjęciu z babką Marią, kiedy wychodzili z lwowskiej katedry, on we fraku, ale bez cylindra, a ona w białej sukni i w białym kapeluszu, z bukietem konwalii w prawej dłoni. Jej twarz, pozbawiona zmarszczek, w pełnym słońcu lwowskiego popołudnia, nie była tą samą twarzą, którą znałem z zimowych wieczorów w naszym mieszkaniu, kiedy czytała mi o wędrówkach Odysa albo pięknej Helenie z książki Parandowskiego. Ale zapach konwalii towarzyszył jej zawsze, nieodmiennie, jakby nosiła ten bukiet przez całe życie ukryty w swojej torebce.

Ojciec zamyślał się nad fotografiami. Ich brązowy cień działał na niego melancholijnie. Nigdy nie obejrzał wszystkich do końca, wzdychał, chował je do pudła.

– Następnym razem – mówił cicho i wychodził do kuchni, gdzie palił papierosy i popijał przez cały wieczór herbatę.

Mama ścieliła łóżka, deszcz bębnił o szyby, a ja myślałem o twarzach z fotografii, szczególnie tych nieznanych, których nie opisano kaligraficznym pismem po drugiej stronie pożółkłych kartoników. Mężczyzna w białym fartuchu, który podawał piwo dziadkowi Karolowi i baronowi von Moll, uśmiechał się do mnie porozumiewawczo, jakby słyszał ich rozmowę, jakby wiedział, o czym gadali przed karczmą na Górnych Morawach. Kobieta w czarnym toczku i woalce stojąca za prezydentem Mościckim patrzyła znów na mnie pytająco, jakbym odgadnąć miał jej dalsze albo wcześniejsze losy. Mężczyzna ze stopni lwowskiej katedry był nieokreślony i daleki, pewnie znalazł się tam przypadkowo i oglądał ślub babki Marii i dziadka Karola tak, jak ogląda się w kościele przypadkowe śluby, choć mógł być również spóźnionym gościem, jednym z tych, którzy spóźniają się zawsze i wszędzie, nawet na własny pogrzeb.

Zasympałem, widząc te nieznanome twarze, które znikaly powoli w ciemności podobnie jak okręty w czeluściach kanalizacyjnej studzienki. Wokół tego miejsca krążyłem nawet we śnie; brodziłem w ciemnozielonej wodzie, przykładalem ucho do niewidzialnej kaskady, wsłuchując się w nieustanny szum, bulgotanie i plusk, i coraz to powstrzymywał mnie przed tym wzrok proboszcza, czujny i uważny, jakby tam, po drugiej stronie, ukrywała się siła, której nie należało poruszać.

Ani ojciec, ani tym bardziej ja, pochylony nad otworami żeliwnej klapy, której nie miałem odwagi podnieść, nic a nic nie wiedzieliśmy o tym, że zbliża się do nas sezon winniczków, że idzie ku nam wielkimi krokami.

Któregoś dnia ujrzałem ojca u wylotu ulicy. Szedł wolno, z opuszczoną głową, torba zwisała mu z ramienia jak pusty

worek i kiedy podbiegłem do niego, żeby zapytać, o czym rozmawiał dzisiaj z robotnikami na rampie towarowej i czemu wraca dzisiaj tak wcześniej z dworca, powiedział:

– Nie będę już więcej zamiatał peronów – ale nie było to wyznanie gniewne czy bohaterskie, nie, ojciec mówił głosem raczej bezbarwnym lub smutnym. I kiedy mijaliśmy kasztany, które w upał dawały przyjemny chłód i wytchnienie, a tego dnia szumiały kroplami deszczu w liściach, więc kiedy mijaliśmy te drzewa, ojciec opowiadał o dwóch mężczyznach, którzy pojawili się rano na dworcu i oświecili zawiadowcę, kim ojciec naprawdę jest, po czym kategorycznie stwierdzili, że jako inżynier nie może tam pracować, bo przecież to jawna prowokacja, „prowokacja wymierzona w postępek i zdobycze, prowokacja zmierzająca w określonym kierunku”; zawiadowca wziął wtedy ojca do siebie i śmiał się rozbawiony: „ależ mnie pan nabrał! – podskakiwał na krzesło – ależ z pana dowcipniś! – chichotał – no, przykro mi bardzo, ale tu nie może pan pracować, sam pan rozumie, inżynierze...”; i ojciec wyjaśnił mi – wchodziliśmy już wtedy do bramy kamienicy – że w ankiecie personalnej Polskich Kolei Państwowych napisał: „robotnik niewykwalifikowany”, co było nieprawdą, lecz usprawiedliwioną, bo przecież jako inżynier nie znalazłby nigdzie pracy.

– Skoro tak – mama przybrała ton przedsiębiorczy – emigrujemy do Ameryki! Tam też produkuje się statki i niekoniecznie takie jak „Marszałek Żukow”!

I kiedy głos mamy krążył wokół paszportów, wiz i pieniędzy, kiedy zastanawiała się, jak zdobyć to, co było nie do zdobycia bez odpowiednich wpływów i protekcji, nie mówiąc już o biletach na transatlantyk, który zawieźć nas miał

prosto do Nowego Jorku pod Statuę Wolności, ojciec wy-
dawał się jeszcze bardziej opuszczony i samotny niż na
dworcu.

Podobnie jak on nie miałem ochoty płynąć do Ameryki;
nie chciałem zamieniać mojej ulicy wysadzonej kasztanami
na Statuę Wolności czy drapacze chmur, nie pragnąłem żuć
gumy, grać w baseball i oglądać filmów z Myszka Miki, za
którymi wcale nie przepadałem. Toteż tym bardziej garną-
łem się do niego, szukałem z nim kontaktu i stąd też spę-
dzaliśmy długie godziny nad płachtami papieru, na których
pewną ręką rysował mi kadłub krążownika „Spalato”, syl-
wetkę pancernika „Kaiser Max” albo fregaty „Radetzky” –
najczęściej te właśnie okręty, bo służył na nich ojciec babki
Marii, Tadeusz, mechanik Cesarsko-Królewskiej Marynarki
Wojennej Austro-Węgier na Adriatyku.

– „Spalato” – mówił ojciec – pięćdziesiąt pięć metrów dłu-
gości, osiem metrów szeroki, wyporność: trzy i siedem dzie-
siątych, do tego wyrzutnie torpedowe i działa Kruppa, po-
patrz tylko jakie! – I wyciągał z pudła fotografię pradziadka
Tadeusza stojącego w mundurze elewa-inżyniera na pokła-
dzie „Spalato”, prawdopodobnie gdzieś w Trieście albo Poli,
i obejmującego, z jednej strony, pana Ferdynanda Karolkę,
także elewa, a z drugiej, mechanika, Juliusa von Petravica,
co brzmiało dość osobliwie, bo „von” nie pasowało do „Pe-
travic”, nazwiska przecież chorwackiego.

– Tym statkiem – popadał w rozmarzenie ojciec – popły-
nęli kiedyś do Indii z kontradmirałem Manfronim, chyba
w 1889 albo 1890. Trzeba będzie to sprawdzić – dodawał
i wyciągał z pudła kolejną fotografię: pradziadek Tadeusz
nie miał tu już na sobie munduru CK Marynarki Wojennej,

ale wyjściowy surdut, i patrzył na nas uważnym, głębokim spojrzeniem. Na dolnym marginesie widniał wklęsły napis pociągnięty srebrzanką: „*Atelier Artistique Photographique – Stella*”. Byłem zachwycony kształtem tych liter, podobnie jak dwugłowym orłem Monarchii, także wklęsłym i srebrnym. „Lwów, 3-go maja 1911-go” – czytałem wolno, a wtedy ojciec pokazywał pocztówkę z widokiem politechniki, gdzie były elew wykładał mechanikę i fizykę, gdzie został profesorem, a z czasem tajnym radcą dworu. I zaczynałem go widzieć, jak w tym swoim surducie przemierza Wały Hetmańskie, jak mija pomnik Sobieskiego i jak na siwe, krótko przycięte włosy i klapy surduta opadają mu wolno kwiaty akacji; i widziałem go coraz wyraźniej w tym dziwnym, nieznanym mi mieście, które nazywało się Lwów, Lemberg lub Lwiv, miście, które miało politechnikę, teatr, dworzec kolejowy, ale nie miało portu ani stoczni, i zrozumiałem nagle, dlaczego ojciec zaraz po drugiej wojnie przyjechał do Gdańska, dlaczego zapisał się na politechnikę i studiował budowę maszyn okrętowych.

Mama wysyłała listy do Warszawy, do biur, urzędów i konsulatów, ale odpowiedź jakoś nie nadchodziła. Tymczasem ojciec przeglądał codziennie rano gazetę, czytał nekrologi, prognozę pogody i ogłoszenia drobne, i właśnie tam, w dziale krótkich anonsów, pośród ofert sprzedaży używanej pralki, zimowego płaszcza z karakułami i rozsady begonii, natrafił na trop winniczków, które czekały na nas od początku tego lata.

– Wysokie ceny skupu – powiedział któregoś razu, uśmiechając się tajemniczo, po czym włożył marynarkę i wyszedł z domu. A kiedy po dwóch godzinach wrócił, jego uśmiech

rozświetlił mieszkanie, jakby nagle przestało padać i jakby wszystkie chmury nad naszym miastem i zatoką przepędził wiatr. – Jutro zabieramy się do pracy – oświadczył. – I jeśli mi pomożesz, zarobimy trochę pieniędzy.

– To obrzydliwe – ucięła krótko mama. Nie chodziło jej o pieniądze, tylko o ślimaki ukryte w trawie i liściach, które mieliśmy zbierać. – Jak można to brać do ust!

– Chyba nie można – przytaknął ojciec – jeśli się nie jest Francuzem. – I tłumaczył z zapalem, że winniczki, za które dostaniemy pieniądze, pojedą prosto do Paryża, a tam, odpowiednio przyrządzone, trafią na stół jako przysmak, jako wyszukana zakąska, bo Francuzi to naród wybredny i byle czego do ust nie biorą, jak – nie przymierzając – my, a zwłaszcza Rosjanie.

Tak powiedział i następnego dnia, w kaloszach, w deszczowych płaszczach i z koszykami w dłoni, poszliśmy do lasu, mijając kościół Zmartwychwstańców. A kiedy proboszcz pokiwał nam ręką i krzyknął: „Dobrego grzybobrania!”, ojciec odpowiedział mu: „Bóg zapłać!” i w chwilę potem pochylił się nad kitą paproci, by z mokrej trawy wydobyć pierwszego winniczka. Obracał go delikatnie w palcach, oglądał kształt muszli i czulek, po czym włożył ślimaka do koszyka wyścielonego liśćmi i ruszył dalej jak ktoś, kto przez całe życie nie zajmował się niczym innym. Idąc za nim, czułem, że wkraczam w inny świat. Bez żalu porzuciałem strumienie i kałuże, a także miejsce, gdzie pod wodą kryła się sekretna furtka do podziemi, bez żalu porzuciałem okręty i Cesarsko-Królewską Marynarkę Wojenną Austro-Węgier na Adriatyku, bo od tego momentu, gdy ojciec włożył do koszyka pierwszego winniczka, znalezione pod krzakiem paproci tuż za kościo-

łem Zmartwychwstańców, nie miałem wątpliwości, że to, co robimy, nie jest zwykłym zarabianiem pieniędzy.

Odtąd codziennie wieczorem ojciec rozkładał na stole ogromną mapę z napisem „*Freistadt Danzig*” i znaczył na niej palcem koła, mówiąc: – Tu jeszcześmy nie byli – podczas gdy ja sylabizowałem nieudolnie: – Stolzenberg, Luftkurort Oliva, Nawitzweg, Glettkau, Langfuhr – i ze zdumieniem odkrywałem, że te dziwne nazwy znaczą po prostu Pohulankę, Oliwę, Dolne Młyny w Brętowie, Jelitkowo czy Wrzeszcz, a potem spostrzegalem, z jeszcze większym zdumieniem, że niektóre z nich były silniejsze od wojny, przesiedleń i pożarów, zmieniając swoje brzmienie tylko nieznacznie i jakby powierzchownie, jak Ohra – na Orunię, jak Brosen – na Brzeźno, jak Schidlitz – na Siedlce. Lecz w największe zdumienie w tej ślimaczej geografii wprawiały mnie miejsca, których nazwy nie zmieniły się w ogóle, które trwały przy swoich imionach jak starzy ludzie przy utartych ścieżkach. I kiedy szliśmy z ojcem przez pocięte rozpadlinami wzgórza Emaus, skąd widać było zatokę i statki oczekujące na redzie, lub kiedy wyławialiśmy winniczki z gęstwin opackiego parku w Oliwie, myślałem o tej opowieści, w której zamiast zatoki występuje lustro Tyberiadzkiego Jeziora, a zamiast opackiego parku – ogród pełen oliwek.

– Czy sądzisz, że mógł tędy przechodzić? – zapytałem ojca, a wtedy on, zamyślony głęboko, oderwał wzrok od liści, trawy i winniczków, i mówił spokojnym głosem, że wszystko jest możliwe; nasze zmysły wprowadzają nas w błąd i szydzą niejednokrotnie z poczucia zdrowego rozsądku, tak więc nie należy zanadto im ufać, równie dobrze można widzieć coś, co nie istnieje, jak nie widzieć czegoś, co właśnie istnieje.

– A zatem – konkludował, unosząc palec w górę – są rzeczy, o których nawet nam się nie śniło i które przerastają naszą wyobraźnię, a które niewątpliwie istnieją wokół nas, tyle że bez naszej wiedzy.

Nie zadowalała mnie ta odpowiedź. Pragnąłem, by ojciec odrzekł „tak” albo „nie”, to byłoby dużo prostsze. Nie rozumiałem, dlaczego nasze oczy miałyby wprowadzać nas w błąd, podobnie jak słuch i dotyk, i dlatego, gdy schodziliśmy ze wzgórza Emaus piaszczystą drogą wzdłuż wysokich lip, zapytałem pełen wątpliwości, czy to, co widzimy i słyszymy, i czego dotykamy naszymi rękami, istnieje zatem naprawdę: czerwone dachy domów, stare drzewa, szum deszczu czy fioletowy płaszcz zatoki, który rozciągał się daleko pod naszymi stopami za linią dźwigów i stoczniowych suwnic.

Ojciec pochylił się nad ścieżką, uniósł w palcach winniczka i mówił, przyglądając się muszli:

– Dowieść tego nie można. To nie jest matematyczne równanie. Ale rozumiesz – ślimak powędrował do koszyka i poczułem dłoń ojca na ramieniu – że istnieje ktoś, kto dba, abyśmy nie błędzili. Kto wskazuje drogę.

– Bóg? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział cicho i w tym jego stwierdzeniu tyle było pewności, to jego krótkie „tak” było do tego stopnia proste, jasne i oczywiste, że nie pytałem już więcej, jakby nad wzgórzami Emaus i nad całym naszym miastem roztoczyło się nagle niewidzialne spojrzenie, które nie pozwalało nam błędzić, a sprawiało, że wszystko wokół nas było cudownie prawdziwe – winniczki, liście, kałuże i kropla wody spływająca po przeciwdeszczowym płaszczu mojego ojca.

Popołudniami zachodziliśmy do zielonej budy, gdzie pan Kosterke, kuśtykając na drewnianej nodze, ważył ślimaki, zapisywał coś kłopotliwym ołówkiem na zatłuszczonych arkuszach, kazał ojcu składać podpis i wypłacał nam pieniądze. Pięćdziesiątówki z rybakim ciągnącym sieci, monety z podobizną Tadeusza Kościuszki, a czasem nawet czerwony banknot z twarzą robotnika wędrowały do kieszeni ojca, ja zaś przypatrywałem się panu Kosterke, który miał nos tak samo zadarty jak Tadeusz Kościuszko, mówił twardym, niemieckim akcentem i pachniał machorką i spirytusem. Po transakcji, gdy ślimaki znalazły się już w specjalnej skrzyni wymoszczonej trawą i liśćmi, ojciec przysiadł na koślawej ławce, częstował pana Kosterke papierosem i zaczęli wtedy rozmawiać o pogodzie i skupie ślimaków, po czym rozpedzali się, przeskakiwali granice państwowe i celne, zakładali filie największej w Europie Środkowej firmy skupu winniczków, przeliczali ogromne sumy, zdobywali wciąż nowe rynki, a na koniec otwierali fabrykę ślimaczych konserw o poetyckiej nazwie „Laura”, bo tak miała na imię żona pana Kosterke, z którą prowadził przed wojną sklep kolonialny na rogu Hubertusburgerallee.

– Gdzie była ta ulica? – pytał ojciec – chyba nie widziałem jej na moim planie – a wtedy pan Kosterke mówił o skrzyżowaniu przy wyjeździe z miasta i o sklepie, w którym sprzedawał kolonialne artykuły z całego świata. Opowiadał o żonie i córkach, i o tym, że został teraz sam ze swoją drewnianą nogą, tę prawdziwą stracił w roku czterdziestym szóstym, kiedy wlaźł na niemiecką minę i pewnie dlatego nie wyjechał do Niemiec, bo nie zdążył na ostatni pociąg, a potem nie chciał już jechać, żeby nie stracić przypadkiem drugiej,

zdrowej nogi, i było to wszystko bardzo trudne, kiedy mówiono, że on, Kosterke, jest Niemcem, a przecież był gdańszczaninem, tylko gdańszczaninem, i po polsku mówił prawie tak samo dobrze jak po niemiecku.

– Hubertusburgerallee – zamyślał się ojciec – to piękna nazwa, tak, będę szukał tej ulicy – a wtedy pan Kosterke przynosił, kuśtykając, z głębi budy butelkę spirytusu i dwa kieliszki i obaj wypijali za swoje zdrowie, jak dwaj mężczyźni od dawna ze sobą zaprzyjaźnieni, a ja patrzyłem na ich twarze wykrzywione w ostrym grymasie, patrzyłem, jak zakąszają kiszonym ogórkiem wydobytym ze słoja, w którym pływał koper, liść wiśni i płatek czosnku, i wiedziałem już, że nigdy nie wyjedziemy do Ameryki po wolność i pieniądze, bo dzięki ślimakom mieliśmy przecież co jeść, a przecinając wzgórze Emaus, myszkując w dolinie Strzyży czy przemierzając pagórki oliwskiego lasu, byliśmy z ojcem prawdziwie wolnymi ludźmi.

– Sezon ślimaków niedługo się już skończy – powiedział kóregoś razu pan Kosterke – i ja wrócę do butelek i makułatury, a pan, inżynierze?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Może zacznę budować łódź żaglową – powiedział, obracając w dłoni pusty kieliszek – i popłyniemy w daleką podróż? To dla mojego syna byłoby lepsze od szkoły. Kanał Kiloński, La Manche, a potem Biskaje, Gibraltar – wyliczał jednym tchem – Morze Śródziemne, Egejskie i na koniec Itaka! Opłyniemy Itakę i wtedy wrócimy do domu, a panu, panie Kosterke, przyślemy pocztówki z Hamburga i z Marsylii. Co pan na to?

Były kupiec kolonialny z Hubertusburgerallee patrzył na nas w milczeniu. I nagle, jak za dotknięciem niewidzialnej

dłoni, pasma czasu w rozrzedzonym powietrzu drewnianej budy zaczęły krzyżować się ze sobą i ciemne wnętrze sklepu wypełniło się zapachem kawy, cynamonu, imbiru, muszkatu, zapachem goździków i mozelskiego wina, a pan Kosterke na nowo miał swoją prawdziwą nogę i stał za lśniącym konturem z dębowego drewna, stał, paląc papierosa marki Vineta z Danziger Tabak Monopol Aktiongesellschaft, podczas gdy mój ojciec, po drugiej stronie lady, palił cygaretkę Okassa Zarotto kupioną w składzie Kummera w Zielonej Bramie, palił więc cygaretkę z wrocławskiej fabryki Halpausa i pytał pana Kosterke: „Jak tam interesy?”, a wtedy kupiec kolonialny odpowiadał, że nie tak jak dawniej, bo odkąd brunatne koszule opanowały ulice w naszym wolnym mieście, odkąd brunatne koszule opanowały Senat i politykę zagraniczną, odkąd więc brunatne koszule prowadzą wojnę celną z Polską, interesy nie idą najlepiej. Gulden spada na łeb na szyję i chyba on, Kosterke, otworzy sobie konto w jakimś polskim banku w Gdyni, co wprawdzie nie jest do końca legalne, ale jest korzystne, bo złoty polski stoi mocno i ani drgnie, zupełnie jak frank szwajcarski. Ojciec obracał w palcach piaskowe pudełko Okassa Zarotto z podobizną pięknej kobiety, która spoglądała na niego; jej obnażone ramię, jej klasyczny profil i łuki brwiowe, a także pukle czarnych włosów, zwieńczone kwiatem orchidei, były jak tajemnicze i uwodzicielskie tchnienie lewantu, i kiedy pan Kosterke, zniżywszy głos, opowiadał o dygnitarzach NSDAP, którzy, jak prezydent Senatu Wolnego Miasta, Rauschnig, wycofali swoje pieniądze z gdańskich banków i ulokowali je w polskich, po tamtej stronie granicy, kiedy oburzony pan Kosterke opowiadał o socjaldemokratkach pobitych na wiecu przez brunatne koszule i o chrześcijańskich

demokraty zamkniętych w więzieniu, kiedy mówił, już całkiem szeptem, że nadchodzi ciężki czas dla Żydów i Polaków, i dla wszystkich porządnych ludzi, ojciec chłonał oczami grecki profil kobiety, smukłą szyję i gładkie policzki, tak jakby medalion z jej podobizną nie był nadrukiem na piaskowym pudełku Okassa Zarotto, tylko miniaturą pędzła Mehoffera, tą samą, która wisiała we lwowskim mieszkaniu przy Ujejskiego nad biurkiem pradziadka Tadeusza i wyobrażała jego młodo zmarłą żonę z węgierskiej rodziny Shegivi.

– Tak, tak – odzywał się ojciec – nadchodzą ciężkie czasy, ale czy kiedyś były rzeczywiście lepsze?

Zapach imbiru, muszkatu i goździków, zapach tureckiego tytoniu ulotnił się niepostrzeżenie, podobnie jak niebiesko-żółta paczka papierosów Vineta i piaskowe pudełko Okassa Zarotto, a pan Kosterke, znów o drewnianej nodze, pochylał się nad ojcem i szeptał mu do ucha sekretne informacje:

– Najwięcej ich jest na cmentarzach, tych zarośniętych i nieczynnych, to są cmentarne stworzenia, mówię panu! I nawet wiem dlaczego. Tam krzewy i liście mają specjalny smak, bo ciągną z ziemi trochę lepsze soki, winniczki to czują, proszę pana, i dlatego, zanim skończy się sezon, powinniście zebrać ich najwięcej właśnie tam.

Krople deszczu spływały po dachu budy, pan Kosterke odstawił butelkę spirytusu za ladę, a mój ojciec słuchał opowieści o cmentarzach i winniczkach jakby z niedowierzaniem, aż wreszcie przytaknął grzecznie i powiedział, że musimy już iść, bo robi się późno. W jego spojrzeniu odnajdywałem zdumienie pomieszane z irytacją.

– Co wygaduje ten stary! – powiedział, gdy wracaliśmy do domu. – Ślimaki żyją tam, gdzie jest zielono, to wszystko!

Ale następne dni wprawiły nas w zupełne pomieszenie. Wracając z Dolnych Młynów przez Brętowo, zahaczyliśmy o skraj starego cmentarza, gdzie wśród zarośniętych nagrobków z niemieckimi napisami, wśród potrzaskanych figur aniołów i zmurszałych krzyży oplecionych rdestem natrafiliśmy na prawdziwe królestwo ślimaków. Trzeba było uważać, aby nie rozdeptać skorup ukrytych w wysokiej trawie, i wystarczało uchylić gałąź dzikiego bzu albo kaprifolium, aby odnaleźć całe ich rodziny, całe klany winniczków, sklejonych ze sobą po trzy albo cztery tułowia, jakby obawiały się samotności lub jakby odprawiały jakieś miłosne misterium.

Wypełniliśmy nimi po brzegi nie tylko nasze koszyki, ale i zapasowy worek z szarego płótna. Ojciec milczał, a kiedy pan Kosterke wypłacał nam czerwone banknoty z twarzą robotnika, powiedziałem, że winniczki są chyba wysłannikami świata podziemi.

– Co ty wygadujesz! – rzekł z pewnym rozdrażnieniem ojciec. – Skąd ci taka myśl przyszła do głowy?

Lecz gdy następnego dnia, przechodząc niedaleko politechniki, weszliśmy, zresztą jakby niechcący, na zarośnięte alejki cmentarza, na którym chowano kiedyś Niemców, a teraz chowali się tam tylko pijacy i kloszardzi, i zaraz potem, wśród płaczących wierzb, grabów, czerwolistnych buków i świerków, znaleźliśmy jeszcze więcej winniczków niż w Brętowie, ojciec nie wytrzymał:

– Rzeczywiście, jest w tym coś dziwnego. Ale czy ma to jakiś związek ze śmiercią?

Nie umiałbym odpowiedzieć na to pytanie. Świat ślimaków był milczący i niedostępny, ich drogi zaś, znaczone srebrną nitką, zdawały się szczególnie tajemnicze. Czy rzeczywiście to, iż przebywały właśnie tu, na cmentarzu, wiązało się jakoś na przykład z Hugonem Tollerem, zmarłym w roku 1938, siedemnastego października, we Wrzeszczu? Albo z jakimś doktorem Merzem, muzykiem i dyrygentem, który odszedł do wieczności pod sam koniec wojny, zanim jednak spłonęło Głównie Miasto, a domy, spichrze i kościoły obróciły się w proch? Nie, nie umiałbym na to odpowiedzieć, toteż spytałem ojca, co to właściwie znaczy „odejść do wieczności”. Czy jest to połączenie z Bogiem? I gdzie jest to miejsce, które nazywamy wiecznością? Nad nami, tam w górze? Czy raczej na dole? A może po prostu gdzieś wokół nas jest ta wieczność, tylko że nie widzimy jej, tak samo jak nie widzimy powietrza, które nas otacza i którym, nawet o tym nie myśląc, oddychamy?

Ojciec układał winniczki w koszykach.

– Wiem tylko, że istnieje Bóg i że wszyscy boimy się śmierci – powiedział po chwili namysłu. – A cała reszta, cała reszta to tylko przypuszczenia.

– A czy ty też obawiasz się śmierci? – zapytałem.

– Ja też – odpowiedział.

– A jak to jest, kiedy się umiera?

Ojciec nie odpowiedział od razu. Ale wyraźnie chciał coś wyjaśnić; wahał się tylko długo, namyślał, jakby trudził się nad ułożeniem równania z kilkoma niewiadomymi.

– Tajemnicą jest ruch, rozumiesz? Ruch cząstek, ciał. Tam, gdzie go nie ma, nie ma też życia. Więc śmierć jest ustaniem wszelkiej zmiany, jest całkowitym zaprzeczeniem ruchu pod każdą postacią. Rozumiesz?

Skinąłem głową, a ojciec, brodząc w wysokiej po kolana trawie, mówił dalej, że śmierć oznacza stan, w którym ustaje wszelki ból i wszelkie cierpienie, a więc z pewnego punktu widzenia może być przez niektórych ludzi rzeczą pożądaną. Jako stan absolutnego spokoju i ciszy, którego nie potrafimy sobie nawet wyobrazić.

Ale ja wyobrażałem sobie tę ciszę. Widziałem ją. Jak wielką płachtę rozpiętą nad naszym miastem, nad zatoką i wzgórzami, płachtę, pod którą śpi dziadek Karol, pradziadek Tadeusz i jego młoda żona, elew Karolka, baron von Moll i trzeci mechanik von Petravice, kobieta w czarnym toczku i woalce, która stała za prezydentem Mościckim, także mężczyzna ze stopni lwowskiej katedry, ci, których nie znałem i nie mogłem znać, wszyscy zatopieni w ogromnej ciszy, wśród której powolnym ruchem pełzły przed siebie winniczki, te z ciemnymi i jasnymi muszlami, wyciągając przed siebie czułki, by wychwytywać nimi głosy umarłych.

Z dnia na dzień ojciec stawał się coraz bardziej milczący. Może dlatego, że sezon skupu dobiegał końca, a może z powodu sąsiadów, którzy zwiedzili się już o naszym zajęciu i wymieniali między sobą niezbyt mądre uwagi. W każdym razie ostatniego dnia, a był to dzień świętego Jana, ojciec zdradzał oznaki zadowolenia.

– Kończymy ze ślimakami – powiedział – niech teraz martwią się o nie Francuzi.

A kiedy chodziliśmy w okolicach Biskupiej Górki, przetrząsając krzaki i zdziczałe alejki parku, gdy po raz ostatni szukaliśmy ślimaków pośród liści i trawy, ojciec mówił, że przez

wszystkie te dni zarobiliśmy sporo pieniędzy i nie musimy martwić się o następny miesiąc.

– Mógłbym to robić przez cały rok – powiedziałem – mógłbym tak z tobą chodzić zawsze, a gdyby zabrakło winniczków, moglibyśmy zbierać zioła i suszyć je, a potem sprzedawać chorym ludziom.

– O tak – uśmiechnął się szeroko – to dobry pomysł. Jeśli znów zabraknie nam pieniędzy, na pewno tak zrobimy.

I aby zarobić na ostatnią ślimaczą wypłatę, aby przynieść tego wieczoru kilka czerwonych banknotów i położyć je przed mamą na stole, uwijaliśmy się wśród krzaków jak prawdziwi łowcy, nurkując w gęste tunele zieleni, mokre i wilgotne od początku tego lata, tak że nie zauważyliśmy nawet, jak nadszedł zmrok, a wraz z nim godzina zamknięcia sklepu.

– To nic – powiedział ojciec – wypuścimy je w takim razie na wolność.

Zanim jednak postawił koszyk na ziemi, zobaczyliśmy rzecz niezwykłą. Dziesiątki winniczków wypełzało spod krzaków i opuszczało na naszych oczach swoje kryjówki, udając się w tym samym kierunku – na szczyt wzgórza. Było ich coraz więcej, już nie dziesiątki, ale setki.

– Popatrz tu – krzyknął ojciec. – I tu, i jeszcze tu – ekscytował się jeszcze bardziej – one idą jak na parady!

I rzeczywiście, ślimaki jeden za drugim, unosząc pracowicie czułki, pełzły drogą na szczyt, jakby tam wyznaczono im miejsce spotkania. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem, chodźmy – powiedział ojciec – musimy zobaczyć, dokąd one wędrują.

Poszliśmy wzdłuż pełzającej linii ślimaków. Wyglądała niesamowicie. Im bliżej wzgórza, tym więcej winniczków do-

łączało bocznymi ścieżkami do pulsującej drogi, która u wylotu polany była już całkiem pokryta poruszającymi się skorupami.

– Jak węgorsze na Morzu Sargassowym – usłyszałem szept ojca – w tym kryje się jakaś tajemnica.

Ale to, co ujrzeliśmy na szczycie, zaskoczyło nas jeszcze bardziej. Na środku polany wyrastał z ziemi olbrzymi kamień, taki sam, jakich wiele rozrzucił po wzgórzach lodowiec. Wznosił się stromymi bokami na wysokość człowieka i przypominał kształtem łzę, którą uronić mógł jedynie jakiś mityczny stół. Ostrożnie, niemal na palcach, tak aby nie rozdeptać żadnego ślimaka, podeszliśmy do głazu, a tam stanęliśmy jak wryci, jakbyśmy sami zamienili się w kamienie.

– Boże, co one robią? – powiedział cicho ojciec.

Ślimaki próbowały, jeden przez drugiego, wdrapać się na kamień, próbowały przywrzeć tułowiem do szarej stromizny i wpełznąć na jej szczyt; daremnie jednak: miały przeciw sobie gładką powierzchnię pionowej niemal ściany i siłę grawitacji, która ściągała je w dół. Spadały więc w trawę, w kłębowisko poskręcanych ze sobą tułowi i muszli, które zgrzytając i szeleszcząc, przypominały to wzbierającą, to znów opadającą falę. Żaden ze ślimaków nie wdrapał się wyżej niż do połowy kamienia, a ślady tych wspinaczek w postaci srebrnych nitek śluzu zdawały się pokrywać powierzchnię bazaltu jak szczelny, choć cienki i przezroczysty pancerz.

Zahipnotyzowani tym ślimaczym kłębowiskiem, nie zauważyliśmy nawet, że przestał padać deszcz, i że z czarnych plam krzaków i zarośli zaczęły wyfruwać świetliki. Latały nad całą polaną, a kiedy wreszcie oderwaliśmy wzrok od kamienia, naszym oczom ukazał się widok wirujących

ogników, które krążyły w ciemności coraz szybciej w rytm nieznaney muzyki.

– Nigdy nie wejdą na ten kamień – powiedział ojciec, wskazując na ślimaki. – A my nie dowiemy się, dlaczego muszą tam wchodzić. Gdyby któremuś z nich powiodła się taka sztuka, coś musiałyby się zmienić.

– Co? – zapytałem cicho.

– Nie wiem. Ale coś musiałyby się stać.

– Z czym? – zapytałem jeszcze ciszej.

– Być może ze światem. Tego nie wiem – mówił ojciec, opróżniając koszyki. Ale lepiej stąd chodźmy, nie trzeba im przeszkadzać.

I kiedy schodziliśmy ze wzgórza z pustymi koszykami, i później, gdy nad miastem pojawił się już księżyc, a my, jadąc nocnym tramwajem, mijaliśmy pomnik Sobieskiego i politechnikę, zauważyłem w jego spojrzeniu cień melancholii, ten sam, który pojawiał się w jego oczach, gdy oglądał stare fotografie albo rysował na kartkach papieru sylwetki cesarsko-królewskich jednostek bojowych. I zrozumiałem wtedy, że nigdy nie będziemy już zbierać ślimaków, ani też nie wrócimy w rozmowie do polany i wysokiego kamienia, bo na tym, co ujrzeliśmy, kładła się milcząco pieczęć tajemnicy.

Nie oznaczało to jednak, by następne dni upłynęły wyłącznie pod znakiem kałuży i deszczu. Ojciec snuł się po domu i znów przeglądał ogłoszenia prasowe, mama dalej pisała listy, na które nie było odpowiedzi, a ja, gdy tylko znalazłem w ogrodzie winniczka, zrobiłem mu specjalny wybieg ogrodzony czterema ceglami i pod krzakiem porzeczeki usiłowałem zgłębić jego ślimacze sekrety. Codziennie rano witałem

go świeżym liściem, codziennie ślęczałem w ogrodzie, długo obserwując zachowanie ślimaka i jego ruchy, i nie znając jego języka, owego systemu sygnałów płynących na niewidzialnych falach, które odbierał swoimi czułkami, codziennie przemawiałem do niego moim własnym językiem, w nadziei, że wreszcie zrozumie przynajmniej parę słów. I rzeczywiście, po pewnym czasie ślimak reagował na mój głos i nie chował się już do muszli, gdy kładłem go sobie na dłoń, ale to było wszystko, co udało mi się osiągnąć. Był całkiem obojętny na moje starania i świat uczuć winniczków pozostał niezgłębiony.

Pierwsze dni szkoły nie zmieniły wiele w naszych kontaktach. Tak samo jak przedtem przynosiłem mu liście sałaty i próbowałem nawiązać z nim rozmowę. Aż wreszcie którejś nocy spadł ulewny deszcz, a nad samym ranem chwycił ostry przymrozek. Zbiegłem po schodach kamienicy jak szalony i popędziłem przez oszroniony ogród. Ale było już za późno. Pod krzakiem porzeczeki białe lustro zamarzniętej kałuży zamknęło się nad ślimakiem jak szklane wieko trumny. Odgarnąłem szron z przezroczystej tafli. Tam w dole, jak w kryształowej kuli, spoczywał mój więzień. Był nieruchomy. Martwy. Po jego muszli ślizgał się promień słońca: schodził w głąb kolistego labiryntu coraz niżej i niżej, wirował coraz szybszym ruchem po linii spirali, aż wreszcie niknął w punkcie, którego nie mogło już dostrzec oko.

Nie powiedziałem nikomu o tej stracie. Zresztą dorośli mieli teraz inne sprawy na głowie. „Marszałek Żukow” popłynął na zatokę i w czasie próby pękł wał korbowy. Ojciec wrócił do pracy przy desce, a mama robiła porządki w szafie i szufladach, jak zawsze gdy babka Maria zapowiedziała swój przyjazd.

Winniczki, kałuże, deszcz

Słońce roztopiło lód, a silny wiatr od morza, który niósł zapowiedź jesiennych sztormów, osuszył wszystkie kałuże w okolicy. Znowu krążyłem wokół kanalizacyjnej studzienki, widocznej nareszcie, w świetle wrześniowego słońca. Patrzyłem na kościół Zmartwychwstańców, na drewnianą dzwonicę, na czerwone dachy domów, aż w końcu z żeliwnej kłapy zacząłem zgarniać zbity, kruszący się piach. Stopniowo ukazywały się pod nim litery, które tworzyły napis: „*Kanalisation von Danzig*”. Nareszcie mogłem podnieść tę klapę i mogłem zajrzeć w głąb, ale teraz nie było to już potrzebne.

Przeprowadzka

Ojciec zamówił pana Bieszke na sobotę na wczesne popołudnie. Ale pan Bieszke odwołał swój przyjazd. Niespodziewanie wypadły mu chrzciny, gdzieś w okolicach Kartuz, na które musiał pojechać z całą rodziną. Dlatego przeprowadzka została odłożona do poniedziałku i w pokoju na piętrze, gdzie mieszkaliśmy od początku, działy się rzeczy okropne. Mama przepakowywała kartony i walizki i była zła, że musi to robić jeszcze przez dwa dni. Ojciec był zły, bo mama była zła. W ten sposób byli źli na siebie, a przy okazji – na mnie. Dlatego wolałem trzymać się od nich z dala i większość czasu spędzałem w ogrodzie. Nie pamiętam już, czy byłem z tego powodu nieszczęśliwy. Chyba nie. Do kolacji mogłem robić właściwie wszystko, na co miałem ochotę. Zabronione były, jak zawsze, tylko dwie rzeczy. Wychodzenie za bramę ogrodu do parku i zabawa na tarasie, skąd przez oszklone drzwi można było zajrzeć do Wielkiego Pokoju. Park znałem dobrze. Jego największą atrakcją stanowiły zdziczałe klomby, zarośnięty staw, nieczynna od lat kaskada, skąd nie spływała ani jedna kropla wody, i kamienny cokół, na którym kiedyś, chyba bardzo dawno temu, stał pomnik króla lub księcia. W gąszczach pokrzyw wały się rozmaite przedmioty. A to zardzewiała wanna z wielką dziurą, a to korba do zapalania motoru, to znów połamany fotel z wyprutą tapicerką i obnażonymi sprężynami. Były też inne rupiecie, których przeznaczenie wydawało się niejasne lub zapomniane. Ale tym razem park jakoś mnie nie pociągał. Może dlatego, że znałem go już dobrze? Co innego taras i Wielki Pokój! Tam działy się sprawy o wiele bardziej ulot-

ne i tajemnicze, do których ojciec ani nawet pan Skiski, nasz sąsiad na piętrze, nie zawsze mieli dostęp.

W Wielkim Pokoju mieszkała pani Greta, dawna właścicielka domu. Pan Skiski nie lubił widać tego słowa, bo zamiast „właścicielka” mówił „dziedziczka”, chichocząc przy tym złośliwie. Mój ojciec nazywał ją po prostu panią Hoffmann. Natomiast mama nie mówiła o niej inaczej niż „ta stara Niemra”, i nie brzmiało to przyjaźnie. Widywałem ją bardzo rzadko. Unikała nas jak mogła i my unikaliśmy jej także.

– Nie wolno ci tam chodzić – ostrzegła mama – ona nie rozumie po polsku.

– Tak, tak – dodawał ojciec – nie trzeba jej przeszkadzać.

Nie widząc pani Grety często, słyszałem ją jednak codziennie. Prawie każdego popołudnia siadała do fortepianu i przez dwie, trzy godziny dom rozbrzmiewał muzyką.

– Dziedziczka kłapie na forteklapie – machał ręką pan Skiski.

– Znów niemiecka muzyka – wdychała mama.

– Po prostu gra – wzruszał ramionami ojciec. – Co w tym złego?

A ja lubiłem jej muzykę. Lubiłem zwłaszcza przed zaśnięciem, gdy ojciec gasił lampę i w naszym pokoju panował półmrok. Dźwięki fortepianu rozplýwały się wówczas w powietrzu i czułem na sobie ich aksamitny dotyk. A kiedy pani Hoffmann przestawała grać, odczuwałem żal, jakby mi czegoś brakło.

Nie, nie pragnąłem wcale poznać pani Grety. O czym właściwie mielibyśmy rozmawiać? Pragnąłem tylko poznać to, co jest w środku. A więc znaleźć się kiedyś w Wielkim Pokoju. I zobaczyć ją, jak gra.

Obchodziłem dom bardzo wolno. Najpierw minąłem stary klon obrośnięty jemiolą, potem przeszedłem wzdłuż za-

bitych deskami okien oficyny, aż wreszcie znalazłem się na tarasie, twarzą do szerokich, przeszklonych drzwi. Czasami pani Greta otwierała je i stojąc lub przysiadłszy na drewnianym stołeczku, patrzyła na ogród. Spoglądała wówczas na przypory kamiennego muru, na pędy dzikiego wina albo na kwiaty glicynii i w łagodnym słońcu jej siwa główka przypominała spłoszonego ptaka. Ale takie rzeczy zdarzały się tylko latem. Teraz drzwi były zamknięte, a na kamiennych płytkach tarasu, które przypominały szachownicę, pod moimi butami szeleściły żółte liście.

Przytknąłem czoło do szyby. W Wielkim Pokoju panował półmrok i niewiele mogłem zobaczyć. Jako tako widać było właściwie tylko stół, znajdujący się najbliżej drzwi, całkowicie zastawiony masą przedmiotów. Mój wzrok, gdy przywykł do szarego światła, natychmiast zaczął błądzić w tej gęstwinie, wyławiając z niej rozmaite kształty. Były tam srebrne i mosiężne lichtarze, stosy grubych książek i nut, luźne kartki papieru, porcelanowe puzderka i figurki, szklane naczynia, kawałki materiału na ubranie, szpulki z nićmi, kamionkowe doniczki, para rękawiczek, dzieciinne grabki, damskie kapelusze, filizanki na spodeczkach i bez spodeczków, przyciski z laki i brązu, maleńkie popiersie jakiegoś mężczyzny, srebrna cukiernica, kilka fotografii oprawionych w ramki, wreszcie budzik z wielkimi dzwonekami, młoteczką i urwaną wskazówką. Wszystkie przedmioty miały jednak zamazane kontury i rozplywały się jak w nieostrej soczewce. W każdym razie najwięcej było książek i nut. Spiętrzone, przypominały zburzone miasto z wąwozami ulic, z wąskimi przejściami między jedną ścianą a drugą.

Zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, czekałem więc teraz, aż zjawi się pani Greta, zasiądzie do fortepianu i zacznie grać. Jeśli nie było jej w Wielkim Pokoju, robiła coś pewnie w kuchni. Ale do kuchni nie można było zajrzeć. Miała okna wysoko, a i te zaklejone były pakowym papierem. Tak, tego wnętrza nie widział nawet nikt z dorosłych. O ile do Wielkiego Pokoju, na krótko i tylko w wyjątkowych wypadkach, zdarzało im się jeszcze zachodzić, o tyle progu kuchni nie przekroczyli nigdy. Pozostałe pomieszczenia w ogóle nie wchodziły w grę. Dwa pokoje, sypialnia i łazienka, podobnie jak te na piętrze, zamknięte były na kłódki i opieczętowane przez urzędników. Nie otwierano ich, odkąd sięgałem pamięcią; ich stropy w każdej chwili groziły zawaleniem. Pani Greta musiała więc siedzieć w kuchni. Gdyby szklane drzwi tarasu nie były zamykane od wewnątrz, mógłbym je uchylić i przez niewielką szparę wślizgnąć się do Wielkiego Pokoju. Mógłbym obejrzeć wszystko dokładnie i wyjść, niezauważony przez nikogo. Lecz gdyby przyłapała mnie na tym? Na pewno pomyślałaby, że jestem złodziejem. I kiedy rozważałem, czy pani Hoffmann poszłaby ze skargą do mojego ojca, kiedy zastanawiałem się, jak brzmi słowo „złodziej” po niemiecku, w Wielkim Pokoju rozblęsnęło światło i między ogromnym łóżkiem, szafą i fortepianem, które wyłoniły się niespodziewanie z półmroku, ujrzałem jej niewielką, nieco pochyloną do przodu postać. Nie podeszła – jak na to liczyłem – od razu do fortepianu. Postawiła szklankę z herbatą na okrągłym stoliku i usiadła obok, w głębokim fotelu. W chwilę później poczułem nieprzyjemny dreszcz. We wnętrzu Wielkiego Pokoju działo się coś dziwnego. Coś, czego nie mogłem zrozumieć. I nie chodziło tu o język niemiecki.

Pani Greta, popijając herbatę, wyraźnie z kimś rozmawiała. Nie był to przecież monolog. Zadawała pytania, wygłaszała uwagi, kręciła głową, gestykulowała nawet rękami i kłóciła się chyba, bo parę razy usłyszałem podniesiony głos. Tylko z kim rozmawiała? W Wielkim Pokoju nikogo oprócz niej nie było. Kto normalny rozmawia z powietrzem? – pomyślałem. Może jest wariatką? Tak, nie było to wykluczone, ale nie było też wcale takie pewne. Spotkałem kiedyś wariatkę na ulicy Armii Czerwonej: pluła na przechodniów, wygrażała im, była obdarta i brudna, a z ust ciekła jej ślina. Pani Hoffmann natomiast miała na sobie jasną bluzkę, spiętą pod szyją bursztynową broszką, i czarną spódnicę, a jej siwe i niezbyt długie włosy nosiły wyraźne piętno dłoni fryzjera, choć poza targiem w Oliwie i kościołem Cystersów nie odwiedzała żadnych miejsc w mieście. Tak więc po chwili, gdy przyłożyłem ucho do szyby i łowiłem jej pojedyncze słowa, naszły mnie nowe wątpliwości: może ona jednak rozmawia z kimś, kogo widzi, a kogo tylko ja nie mogę zobaczyć? Tym bardziej że rozmowa wyraźnie się ożywiła. Pani Hoffmann, wymachując rękami, żarliwie coś tłumaczyła, i robiła to tak, jakby ta druga osoba nie mogła tego zrozumieć. Może jednak udawała tylko? Lecz przed kim? I po co? Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Ale obraz tej starej kobiety, mówiącej długimi zdaniami w nieznanym mi języku, obraz pani Grety, siedzącej w fotelu i rozmawiającej z kimś tylko przez nią widzianym, był tak niezwykły, że nie potrafiłem stamtąd odejść, nie potrafiłem nawet oderwać od niej wzroku.

Nagle rozmowa ucichła. Pani Greta, nie gasząc światła, wyszła ze szklanką do kuchni, po czym wróciła szybko i usia-

dła przy fortepianie. Nie wiem, jakim sposobem mnie dostrzegła: na dworze zapadał zmierzch, a światło z żyrandola było przecież dość silne. W pewnej chwili podniosła się szybko z taboretu, podeszła do szklanych drzwi i jeszcze prędeej je otworzyła.

– A ty cso tu hobisz? – zapytała.

– Ja?... – próbowałem coś powiedzieć – ja tylko przecho-dziłem tędy.

– Głodny jesteś?

– Nie, proszę pani.

– A hehbaty chcesz? Chcesz! – odpowiedziała prędko za mnie. – To tu poczekacz masz, *gut?* – i wyszła do kuchni.

Jej kroki odbijały się echem w długim korytarzu, a ja sta-łem w Wielkim Pokoju i odkrywałem wiele niezwykłych rzeczy. Na przykład obrazy: wszystkie były bardzo ciemne i bardzo stare, i mnóstwo było na nich koni, dorożek i tram-wai konnych – wokół kościoła Marii Panny, przy studni Neptuna i pod Więzienną Wieżą. Albo fortepian: w jego orzechowym drewnie biegły ozdobne litery składające się w napis, który z trudem odcyfrowałem – „*Gerhard Richter und Sohnen. Danzig 1932*”. W bibliotecznej szafie stały z kolei rzędy opasłych tomów o złożonych grzbietach, po których ślizgało się światło. Mnie jednak bardziej interesowały wy-pchane ptaki – jeden biały, a drugi bajecznie kolorowy – oraz żmija w słoju z ciecżą. Była też mała kolekcja fajek i porcela-nowych cybuchów z obrazkami. Kiedy wszystkie już obej-rzałem, mój wzrok padł na otwartą książkę, która leżała obok pustego wazonu. Dwie kolorowe ilustracje wyobrażały syl-wetki kobiety i mężczyzny. W niczym jednak nie przypomina-ły one ojca i mamy. Zamiast skóry, a raczej pod skórą,

której tu nie było, kłębiły się zwoje żył, kiszek, naczyń, mięśni i kości. W pewnym sensie nie byli więc nadzy i nie czułem się zawstydzony. Patrzyłem raczej na te dwie postaci z ciekawością pomieszaną z obrzydzeniem. Jeżeli miałem przed sobą ludzi, musiałem w środku wyglądać podobnie.

Kiedy nadeszła pani Greta, zamknąłem książkę. Ona, tymczasem stawiając na stoliku tacę z herbatą, szarlotką i konfiturami powiedziała:

– *Geburtstag* mamy. To takie szwiento. Hozumiesz?

Odpowiedziałem, że nie, a kiedy jadłem już ciasto, zapytała:

– Ty lubisz, jak ja gham, phawda?

– Tak – odpowiedziałem – lubię. Ale skąd pani wie?

– Ja widze po twoich oczach.

Zdziwiło mnie to. Przecież nigdy nie patrzyłem jej prosto w oczy, nie spotkałem jej nawet w ogrodzie ani na schodach. Więc pewnie ona sama miała ochotę na muzykę i chciała, żebym przy niej został. Ale kiedy tylko zagrała pierwszy akord, który w Wielkim Pokoju zabrzmiał mocno i czysto, odwróciła się do mnie na taborecie ze śrubą i zapytała:

– A któhą ty melodie lubisz najbahdziej?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie znałem przecież żadnych tytułów. A zanucić niczego bym nie potrafił. Mogłem jedynie mówić w ten sposób: „Niech pani zagra tę melodię na dobranoc. Tę, przy której tak dobrze zasypiam. Albo tę, kiedy padał śnieg, a moja mama stała przy oknie i zawołała mnie, żebym też patrzył, jak wielkie płatki zasypują powoli park, aleję i ogród. Albo jeszcze tę, przy której ojciec naprawiał radio i która mieszała się ze wszystkimi radiostacjami świata”. Mogłem więc poprosić panią Hoffmann o „melodię wieczorną”, „melodię płatków śniegu” albo

„melodię radiostacji całego świata”, ale najbardziej pragnąłem usłyszeć „melodię czerwcowego wieczoru”:

Ojciec i mama byli pewni, że już śpię. Siedzieli na łóżku, okryci prześcieradłami i pili wino ze smukłych kieliszków, śmiejąc się co chwila. Potem, gdy butelka była już pusta, ojciec gwizdał cicho na szyjce i znowu się śmiali, bo ten dźwięk miał przypominać syrenę transatlantyku, którym zamierzali popłynąć kiedyś w podróż poślubną, ale nie popłynęli, i w ogóle żadnej podróży poślubnej nie odbyli. I wtedy właśnie, przez uchylone na taras drzwi, zaczęły dochodzić z Wielkiego Pokoju dźwięki fortepianu. Pani Hoffmann grała jakąś wolną, smutną melodię, a ojciec wziął mamę w ramiona i tańczyli po całym pokoju, cicho, na palcach, żeby mnie nie zbudzić, a ja widziałem spod przymkniętych powiek ich wirujące sylwetki, patrzyłem na opadające wolno białe skrzydła prześcieradeł, aż w końcu zgasło światło i niczego już nie widziałem, ale muzyka płynęła dalej, wpadała przez otwarte okno naszego pokoju, a wraz z nią mocny, gęsty zapach piwonii z ogrodu.

– Nie wiem, jak to się nazywa – powiedziałem wreszcie. – Pani grała to kiedyś latem.

– No dopsze, to ja zagram po kawalku, a ty mi powiesz wtedy, jak poznasz.

Skinąłem głową i pani Hoffmann zaczęła grać. Chociaż nie była to „melodia czerwcowej nocy”, słuchałem jej z zachwytem i żałowałem, kiedy wkrótce się urwała – gdy pani Greta zdjęła nagle ręce z klawiatury.

– Ja widze, że to nie jest to, co chciałeś. A czy ty wiesz, co te haz ghałam?

– Nie.

– *Tannhäusera*, uwehtuhę.

– Tanhojzera...

– Tak.

– Takiego kompozytora?...

Pani Greta spojrzała mi w oczy, po czym wstała od fortepianu, wyjęła z biblioteki książkę i poleciła przysunąć do instrumentu jeszcze jeden taboret. A kiedy usiedliśmy już obok siebie, otworzyła książkę na obrazku z zamkiem. Byli tam rycerze, piękne panie, pieśniarze, konie, chorągwie i obronne wieże.

– To zamek landghafa Tuhyngii – powiedziała.

I tak zaczęła się jej opowieść.

Ja przewracałem stronicie książki, a pani Hoffmann objaśniała następne obrazy i grała kolejne partie *Tannhäusera*. A kiedy mieliśmy już za sobą grotę Wenus, pojedynek pieśni i lament Elżbiety, kiedy doszliśmy do pielgrzymów i drewniany kij zakwitł zielonymi pędami, kiedy palce pani Greta biegały po klawiszach, a ona mówiła: „tehaz uważaj, wchodzą thomby! a tehaz hogi i oboje!”, rzeczywiście słyszałem trąby, oboje i rogi, choć dźwięki płynęły przecież tylko z fortepianu Gerhard Richter und Sohnen.

– Czy to wszystko prawda? – zapytałem już w ciszy. – To się rzeczywiście zdarzyło?

Wtedy pani Greta wyjęła album z fotografiami. I zobaczyłem obrazy podobne do tych z książki, a jednak nieco inne. Na dużej scenie, wśród bukowych drzew, stali mężczyźni przebrani w historyczne stroje, trzymając pochodnie w dłoniach.

– *Die Kunst* – powiedziała. – To tylko sztuka. Oni szpiewali to, co ja ghałam. „*Begluck darf du nicht, o Heimat!*” To byli przedstawienia w *wald* – opeha, hozumiesz? W Copot. A tu stoi mój monsz.

Na fotografii widniał wysoki mężczyzna w jasnym, pasiastym garniturze. Stał na tle kaskady i stawu obok innego mężczyzny, w czarnym garniturze. Obaj uśmiechali się i wyglądali na przyjaciół.

– Ależ to jest nasz park! – powiedziałem. – Kaskada, schody... I nawet widać dach za drzewami.

– Tak – powiedziała pani Hoffmann – to był park. A mój monsz był muzyk i kompozytor. Ten długi pan to Maks. On tu wtedy przyjechał z Wiednia. *Tannhäusera* śpiewacz. Oba już nie żyją. A to – pokazała inną fotografię – jest Erikson. To był Nohweg z Oslo. I śpiewał w następnym sezon Hageny w *Gotterdammerung*. To był wspaniały głos!

– A gdzie jest Goterdamerung? – zapytałem. – Też gdzieś w Sopocie?

Pani Greta przyniosła wtedy jeszcze inną książkę, pokazała mi jeszcze inne obrazy, po czym znowu zasiadła do fortepianu i zagrała marsza żałobnego Zygryda, przy którym ciarki chodziły mi po plecach. A potem zagrała jeszcze „*Steuerman lass die Wacht*” i „*Gesegnet soll Sie schreiten*”, i „*Wach auf, es nahet gen der Tag*”, aż wszystko zaczęło mi się mieszać w głowie. Parsifal chodził po parku nad wyschniętym stawem, mąż pani Hoffmann przy strasznym wrzasku Walkirii i Nibelungów ścigał po scenie opery leśnej w Sopocie Hageny, Erikson stał na tarasie domu pani Grety i z pochodnią w dłoni śpiewał „*Begluck darf du nicht, o Heimat!*”, a marynarze z Latającego Holendra wracali od strony Oliwy, drogą z Sopotu, i śpiewali „*Heil! der Gnade Wunder Heil!*”.

Wszystko to było niezwykle i porywające. I piękne – jak park na starej fotografii. Słuchałem pani Grety z wypiekami na twarzy, a ona grała wciąż nowe kawałki, już bez opowia-

dania i pokazywania obrazów z książki, i oboje byliśmy w jakimś dziwnym nastroju, w jakimś transie chyba, bo nie usłyszeliśmy kroków mojego ojca ani nie spostrzeegliśmy go, kiedy stanął za naszymi plecami, też jakby zauroczony tą muzyką, a może tą sceną, którą zobaczył w Wielkim Pokoju pani Hoffmann: ona pochyłona przy fortepianie i ja, niczym zahipnotyzowany, wpatrujący się w nią lub w jej palce. Urzeczony był zresztą może jeszcze czymś innym, w każdym razie stał za nami dobrych parę minut, nim położył mi dłoń na ramieniu i powiedział spokojnie:

– Musimy już iść.

Pani Hoffmann uderzyła mocny, wieńczący akord i odwróciła się w stronę ojca.

– O, pan Szifbaumajster! A my tu sobie thochę ghamy. Nie gniewa się pan chyba, co?

– Nie, nie gniewam się – powiedział ojciec. – Ale musimy już iść. Dobranoc pani Hoffmann.

– *Guten Nacht*. Dobhanoc panom, dobhanoc.

Gdy wróciliśmy do pokoju na górę, mama długo nie mogła się uspokoić. Dlaczego tam poszedłem?! Przecież prosiła tyle razy! I co ona z nim robiła, ta stara Niemra?

Ojciec próbował się za mną wstawić:

– Grała mu Wagnera. To wszystko.

Ale w mamę wstąpił zły duch:

– Niemcy! Niemcy! Niemcy! – mówiła coraz głośniej. – Zawsze ci Niemcy! Budują autostrady i maszyny, mają najlepsze na świecie samoloty i najlepsze piece do palenia ludzi. Niemcy grają Wagnera i zawsze czują się doskonale, zawsze są zdrowi i mają dobre apetyty!

Nigdy jeszcze nie widziałem mamy w takim stanie. Krzyżała na ojca, że niepotrzebnie przywiózł ją do tego miasta, że zrobił to chyba tylko po to, aby przez pięć lat mieszkała pod jednym dachem z Niemką.

– Dlaczego ona stąd nie wyjechała?! Dlaczego nie uciekła jak inni?

– Uspokój się – próbował wpłynąć na mamę ojciec. – On nie powinien tego słuchać.

Ale zły duch nie opuszczał mamy:

– Dlaczego nie powinien? Kiedyś wreszcie musi się dowiedzieć! – I zaczęła głośno wywoływać różne imiona, imiona dobrze jej znane, ukochane, i przy każdym imieniu odchyłała jeden palec, najpierw lewej, a potem prawej ręki, a kiedy odchylone były już wszystkie, płacząc wykonywała ten gest jeszcze wiele razy od nowa, bo zabitych było znacznie więcej niż palców u rąk, a nawet u rąk i stóp razem wziętych.

Tymczasem ojciec, nie mogąc już tego wytrzymać, prosił, żeby przestała, wykrzykiwał, że to nie on ostatecznie wywołał tę wojnę, nie on przesunął granice, nie on odbierał miasta jednym i dawał je drugim, a ja stałem pomiędzy nimi, rozdarty na dwie części, i widziałem ich ciała, widziałem postać mężczyzny i kobiety jak na barwnej ilustracji, niczym dwie pulsujące i żywe rany.

Ojciec zamilkł wreszcie, po czym wyjął z szafki proszek i podał go mamie razem ze szklanką wody. Mama doszła w końcu do siebie i pogodziła się z nim, a jednak, mimo to, gdy zasypialiśmy już w łóżkach, słowo „Niemcy” długo jeszcze krążyło po pokoju jak ptak obudzony w ciemności.

Przeprowadzka

W poniedziałek rano pan Bieszke przyjechał pod sam fronton domu. Ładowaliśmy cały nasz dobytek na platformę, a konie strzygły uszami, jak zawsze przed drogą. Wreszcie lipową aleją ruszyliśmy w dół, pomiędzy rzędami starych drzew. Patrzyłem na wysuszony staw, na kaskadę, z której nie spływała ani jedna kropla wody, i na pokrzywy, gdzie kryły się przedmioty o niejasnym bądź zapomnianym przeznaczeniu. Dom pani Greta Hoffmann stawał się coraz mniejszy, aż wreszcie zniknął wśród drzew jak brązowy punkt z czerwoną kropką dachu. Kopyta plaskały o bruk. Konie pana Bieszke parskały wesoło, a on sam śpiewał kaszubską piosenkę, która chodziła mu po głowie pewnie jeszcze od chrzcina: „*Chcela me so wypyc z tej malutczci buteleczi!*”. Minęliśmy most i zajezdnię tramwajową. Zaczynały się tu kasztany i ulica świętego Huberta. Nowy dom, jeszcze nieotynekowany, stał już niedaleko. Kiedy wszedłem do mojego pokoju, poczułem zapach świeżej farby, wapna i klepek parkietu. I wtedy znów pomyślałem o tamtej melodii. Pani Greta nie zdążyła mi jej zagrać. Na pewno była to melodia miłosna. Ale czy napisał ją Ryszard Wagner? Za ścianą, w drugim pokoju, przesuвано meble. A ja pomyślałem, że nigdy się już tego nie dowiem. I nie dowiem się także, z kim rozmawiała pani Greta Hoffmann w *Geburtstag*, gdy podglądałem ją przez szklane drzwi Wielkiego Pokoju.

Wuj Henryk

Wuj Henryk był żołnierzem Armii Krajowej i za powstanie warszawskie odznaczono go Krzyżem Virtuti Militari. Kiedy taki sam order przyznano Leonidowi Breżniewowi za wybitny wkład w wyzwolenie naszej ojczyzny, wuj Henryk wystąpił z organizacji kombatantów i pisał do jej zarządu sężniste memoriały. Nie znałem ich treści, mogłem się jednak domyślać, że było w nich wiele goryczy i gniewu. A jednak mimo przegranego powstania, mimo przegranej wojny i trudnego życia, wuj Henryk zachowywał się jak dżentelmen i oficer i nigdy nie słyzałem z jego ust narzekań na materialną stronę egzystencji czy polityczną sytuację kraju. Miał swoją własną filozofię, którą dzisiaj określić mogę mianem sztuki przetrwania w skrajnie niesprzyjających warunkach.

– Człowiek musi być silny – powiadał – a ta siła, mój chłopcze, ma tylko dwa źródła: ciało i duszę.

Rzeczywiście, wuj Henryk nie palił, uprawiał biegi i szwedzką gimnastykę, jeździł na nartach i rowerze, każdej zaś niedzieli, bez wyjątku, chodził na mszę i przystępował do komunii. W pewnym sensie przypominał rotmistrza J. K. Blunta z Południowej Karoliny i jeśli tamten zwykł o sobie mówić „*Je suis Américain, catholique et gentilhomme*”, to wuj Henryk mógłby tę słynną dewizę z powodzeniem stosować do siebie, tyle że w miejsce *Américain* musiałby wstawiać *Polonais*. Oczywiście, rotmistrz Blunt był postacią literacką i utrzymywał się, jak to ujmował, „z własnej szpady”, wuj Henryk natomiast, człowiek z krwi i kości, mieszkał w starym ceglany m domu niedaleko stacji kolejki elektrycznej

i posiadał kawałek ogrodu, w którym hodował gruszki, czerśnie i renklody. Na pewno też nie miał białej broni ani żadnej innej, zważywszy na epokę, w jakiej wypadło mu żyć. Mimo to, a może właśnie dlatego, wuj Henryk sprawiał wrażenie, że wszystkie ćwiczenia fizyczne i duchowe, którym oddawał się z takim zapamiętaniem, służyły jednemu tylko celowi: utrzymaniu gotowości. Jako człowiek czterdziestosiedmioletni pełen był krzepy i pogody ducha i w każdej chwili stanąć mógł w szeregu. Nie sądziłem, by taki moment miał jeszcze kiedykolwiek nadejść, gdy jednak patrzyłem na jego wysportowaną sylwetkę, na jego jasne i przenikliwe spojrzenie, z łatwością wyobrażałem sobie wuja Henryka z powstańczą opaską na ramieniu, wydającego rozkazy podczas obrony ratusza w naszym mieście. Był niezwykle opanowany, powściągliwy w mówieniu i prędko w działaniu. Należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy od pierwszego gestu i słowa wzbudzają w człowieku całkowite zaufanie. Za takim dowódcą każdy żołnierz poszedłby w ogień.

A jednak nasze stosunki nie układały się najlepiej. Choć podziwiałem go szczerze za czyny powstańcze i chociaż wuj Henryk wielokrotnie okazywał mi sympatię, trzymałem się od niego raczej z daleka. Nie potrafiłem jakoś sprostać jego oczekiwaniom i zawsze coś wychodziło nie tak. Kiedy na urodziny przyniósł mi hantle i zachęcał do ćwiczeń, podniosłem je zaledwie kilka razy, po czym, znudzony monotonią tego zajęcia, odłożyłem je w kąt. Innym znów razem ofiarował mi sprężyny do rozciągania, abym codziennie rano i wieczorem rozwijał mięśnie rąk; tym razem z kolei okazało się, że trzem sprężynom w żaden sposób nie dam rady –

potrafię rozciągnąć zaledwie dwie, a i to nie do końca, i wuj Henryk był wyraźnie rozczarowany.

– Zbyt prędko się zniechęcasz – powiedział wówczas – daleko w ten sposób nie zajedziesz.

Nie wiedziałem, dokąd właściwie miałbym zejść, podnosząc hantle i rozciągając sprężyny, wiedziałem jednak aż nadto dobrze, że moja chuderlawość i fizyczna nijakość bardzo wuja zasmucają.

– Trzeba być zahartowanym, chłopcze – powtarzał wiele razy. – Trzeba być przygotowanym na trudy, a ty nie potrafisz nawet porządnie zrobić mostku czy stójki!

Jeszcze gorzej skończyła się próba ewolucji na trzepaku, specjalnie przystosowanym przez wuja do tego rodzaju ćwiczeń. Po kilku podciągnięciach, kiedy podbródek mój sięgnął drążka i gdy usiłowałem wykonać przewrót, żelazna rurka wyślizgnęła się z moich dłoni i upadłem na trawę jak ciężki, bezwładny worek. Wszystkie drzewa, podobnie jak ziemia i niebo, zawirowały wokół mnie, wuj Henryk szepnął: „Mój Boże, coś takiego!”, po czym stojąc nade mną, lustrował mnie spojrzeniem, w którym coraz mniej było nadziei. Jej płomyk nie przestał się jednak tlić w jego duszy; mimo wszystko nie uznawał mnie za skończonego łamagę, całkowicie straconego dla świata prawdziwych mężczyzn. Świadczyły o tym nasze piesze wyprawy.

Dwa albo trzy razy do roku wuj Henryk przygotowywał marszrutę – po czym zaopatrzeni w kompas, mapę, prowiant, śpiwory i masę innych rzeczy ruszaliśmy w drogę. To właśnie za sprawą wuja Henryka poznałem zapadłe kąty Kaszub, gdzie gospodarze zapalali wieczorami naftową lampę, gdzie używano jeszcze kieratu, wypiekano domowy chleb

i opowiadano, twardym i chropawym językiem, o diabelskich sprawkach, o upiorach i wampirach, które tu nazywały się – dźwięcznie i melodyjnie – wieszczymi. Słodki zapach sianokosów, chłodny dotyk wody, widok jezior rozrzuconych między wzgórzami, woń rozwieszonych sieci, pagórki, pod którymi ukrywają się zapadłe zamki książąt, strumienie, rzeki, grzywy lasów, diabelskie kamienie i samotne gospodarstwa – wszystko to składało się na cudowną i prawdziwą krainę, którą przemierzaliśmy drogami, nocując w stodołach, stogach siana albo pod gołym niebem przy ognisku. Wuj Henryk nauczył mnie łowienia ryb, posługiwania się kompasem, marszu na orientację, wznecania ognia bez użycia zapalek, a wieczorami, kiedy na granatowym niebie pojawiły się gwiazdy, objaśniał ich ruchy i pokazywał znaki zodiaku. W ciągu dnia robiliśmy zazwyczaj ponad dwadzieścia pięć kilometrów, ja jednak nie narzekałem na ciężar plecaka, na spiekotę czy deszcz i wuj Henryk potrafił to docenić. Którejś nocy, gdy leżąc w śpiworach przy ognisku, wsłuchiwalismy się w trzask palonych badyli i chlupot fali dobiegający znad jeziora, powiedział nagle:

– W porządku, mój chłopcze. Za dwa albo trzy lata zabiorę cię ze sobą w Tatry.

Nie byłem do tej pory w Tatrach, a myślałem, że będziemy wędrować co najmniej trzy tygodnie po nieznanymi szlakach, że przemierzymy pasma górskie o wiele większe i wyższe niż pagórki Kaszub, że usłyszymy szum skalnych potoków i zobaczymy pstrągi połyskujące w słońcu, już sama ta myśl była mi nagrodą. Zacząłem nawet żałować, że tak słabo przykładałem się do hantli i sprężyn, że tak beznadziejnie wypadłem na trzepaku, bo przecież w tym jednym zdaniu wuja Henryka

tkwiła nie tylko obietnica wspólnej wyprawy na południe, lecz również cicha, ukryta akceptacja. A ta była coś warta.

Nigdy jednak nie poszliśmy razem w Tatry. Dwa lata zmieniły wiele. Chodziłem już do liceum, czytałem *List jasnowidza* Rimbauda, a jego wiersze wzbudziły w moim sercu płomienny bunt. Postanowiłem zostać poetą i umrzeć. Żeby chociaż za Polskę czy wolność narodu! Nie, ja chciałem umrzeć jak poeta przeklęty – jak bluźnierca, wyrzutek, opuszczony przez wszystkich i zapomniany, najlepiej w oparach alkoholu, tytoniowego dymu, w jakimś zapluty barze albo podejrzanym hotelu. Świat mojego dzieciństwa, ten świat, w którym pierwszomajowe pochody mieszały się z pielgrzymkami do świętych miejsc, obrzydł mi zupełnie. Pałem cygara, chodziłem na wagary, a nocą, rzecz jasna: przy świecach i butelce wina, pisałem wiersze, by potem, gdy wybiorę już śmierć, zostały po mnie w uchylonej szufladzie biurka. Ojciec i mama uważali, że zwariowałem i że trzeba iść ze mną do lekarza.

– Do lekarza? – grzmiał wuj Henryk. – Do lekarza!! Tu trzeba pasa i dyscypliny! Popatrzcie tylko na jego oczy. Czy to jest spojrzenie zdrowego chłopca? To są oczy nałogowego onanisty! Młody człowiek powinien uprawiać sporty, powinien brać zimne kąpiele, słowem, hartować się! Tak, moi drodzy, hartować ciało i duszę! A on co? Od roku się nie spowiadał... No proszę – wuj Henryk rozłożył ramiona w geście dezaprobaty – to już zupełny brak szacunku!

Wuj nie wyjaśnił wprawdzie, wobec czego albo kogo zdradzałem ten brak szacunku, słyszałem za to wyraźnie, jakie rady daje rodzicom. Trzymać krótko, kontrolować każdy krok, badać każdą myśl i w ten sposób przywrócić zbłąkaną owcę sta-

du. Jednego wszakże wuj nie przewidział – że następnego dnia ucieknę z domu, skutkiem czego wszystkie te zalecenia staną się nieaktualne. Bo kiedy wróciłem po kilku dniach, głodny i wyczerpany, bez grosza przy duszy, jak syn marnotrawny, ojciec wziął mnie w objęcia i ze łzami w oczach powiedział:

– Jeżeli chcesz, zostań poetą. Tylko wróć do szkoły! Bardzo cię o to prosimy.

O dyscyplinie, zimnych kąpielach i spowiedzi świętej nie było już mowy. Chodziłem na lekcje, dalej pisywałem wiersze, a cygara, owocowe wino i świece (bez których nie może się przecież obejść prawdziwy poeta) wyjmowałem wtedy, gdy rodzice wychodzili na koncert albo do kina. A jeśli nie popełniłem jednak samobójstwa, to dlatego, że nie byłem dostatecznie zadowolony ze swych wierszy. Cóż z tego, że starałem się, jak mogłem, skoro bluźnierstwa i wyzywanie losu nie miały tej siły i świeżości, które nagłą śmierć czynią oryginalną. A umierać bez blasku, nieefektownie, wydawało mi się pomysłem niezbyt szczęśliwym. Po kilku miesiącach, chyba na wiosnę, Rimbaud odpłynął swoim statkiem daleko. Nie szukałem go więcej i nie pisałem już wierszy. Przestałem również pragnąć śmierci.

Następnych kilka lat nie należy do tej opowieści. Wspomnę tylko, że wuj Henryk zniknął po prostu z mojego horyzontu; widywałem go jedynie czasami z okien kolejki miejskiej, jak krzątał się w ogrodzie koło swego domu, i raz do roku na imieninach ojca, gdy przychodził złożyć mu życzenia – jak zawsze sprężysty, ogorzały, pełen godności i umiaru. Nie wypytywał mnie już o stopnie i ćwiczenia sportowe. Byłem studentem, a przy tym sam, z własnej woli, jeździłem często w góry. Czasem jedynie obejmował mnie na moment

swoim badawczym spojrzeniem i wtedy czułem, że znów miałby mi wiele do zarzucenia. Jakby nadal widział we mnie podejrzanego chłopca i jakby przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło. Nie miałem jednak o to do niego żalu. I nawet na myśl mi nie przychodziło, że mógłbym jeszcze kiedykolwiek wyruszyć z nim na wspólną wędrowkę.

A jednak stało się inaczej. Pewnej zimowej nocy, a właściwie w grudniowe popołudnie, gdy zmierzch nadszedł prędko, ktoś niespodziewanie zapukał do naszych drzwi. Był to wuj Henryk we własnej osobie. Miał na sobie lekką puchową kurtkę i narciarskie spodnie (mniej więcej takie, jakich używano w latach sześćdziesiątych na Ornaku), na ramionach – fiński plecak na wiklinowym stelażu, w rękach trzymał spięte z kijami narty, reszty zaś jego stroju dopełniała wełniana czapka z norweskim wzorem i starego typu skórzane buty narciarskie, ze ściętymi nosami i krzyżującymi się rzemykami.

– Jest świeży śnieg! – huknął od progu. – Nie wybierzesz się, chłopcze, na małą przejażdżkę?

– Na „małą”, to znaczy na jaką? – zapytałem.

Wuj Henryk już był w kuchni, zacierał ręce i prosząc o gorącą herbatę, rozłożył na stole sztabową mapę.

– Moglibyśmy iść tutaj – jego palec wędrował od wzgórza 121 przez Kamienną Polanę, Brzozową Aleję, Dolinę Sambora i Głowicę aż do starej kuźni – ta trasa ma swoje zalety. Zważywszy jednak na dzisiejsze warunki klimatyczne – jego palec zataczał nowy krąg – równie dobrze możemy wybrać się tędy. – Tym razem minął szusem Szwedzką Groblę, następnie wziął łagodny zjazd ku Dolinie Ewy, Prochowym Duktem śmignął obok Diabelskiego Kamienia i szerokim

łukiem przedostał się przez wzgórze do Jaworowej Doliny w okolicach Sopotu. Stąd, mniej więcej na wysokości Opery Leśnej, sunęliśmy już cicho do pierwszych uliczek, gdzie secesyjne wille i pałacyki tonęły w głębokich czapach śniegu. Wreszcie palec wuja zatrzymał się na stacji kolejowej w Sopotcie. – Ostatni pociąg do Wrzeszcza – spojrzaj na przygotowaną zawczasu karteczkę – mamy o godzinie zero piętnaście. No i co na to powiesz, chłopcze?

– Wprost nadzwyczajne, wuju – odpowiedziałem.

I tak rozpoczęła się nasza wyprawa.

Deski przypięliśmy na skraju lasu, po czym, podchodząc pracowicie drogą wśród ośnieżonych sosen, świerków i buków, patrzyliśmy na oświetlony stok narciarski, tam gdzie w kontury wzgórz wcinają się wieżowce i gdzie ludzkie postaci sunęły to w górę, to w dół.

– Ten wyciąg przypomina mi tramwaj – powiedział wuj Henryk. – Przystanek w jedną i przystanek w drugą stronę! Czy to jest w ogóle narciarstwo? Jak oni jeżdżą! – zatrzymał się na chwilę. – Podoba ci się taki styl?

Staliśmy na szczycie. Pod nami rozciągał się stok z wyciągiem, dalej, już w granatowej ciemności, rysowały swoje garbate linie wzgórze, a między nimi połyskiwały światła miasta i zatoki. Małe figurki narciarzy spływały w dół zakosami, a potem niczym mrówki zbierały się w dole i jedna za drugą, jak na defiladzie, sunęły po linii wyciągu wolno w górę.

– Kto z nich wykona prawidłowo chrystianię? Kto umie telemarkę? – znów usłyszałem głos wuja Henryka. – Tak, zaginęła już klasyczna sztuka jazdy. Oni tego nie potrafią. To przypomina pingwiny na ślizgawce, ale nie narciarstwo.

Byle więcej, byle szybciej! Chodź, chłopcze! – zwrócił się do mnie. – Na szczęście mamy tu jeszcze inne wzgórze!

I pomknęliśmy w dół po przeciwległym stoku, nieoświetlonym, ciemnym, wzbudzając tumany pyłu, które opadały za nami wolno jak we śnie.

– I rrrraaz! – krzyczał wuj Henryk, wykonując chrystianię. – Iii dwaaa! – zahaczył kijkiem o śnieg i brał wiraż. – Iii trzyyy! – wybił się sprężyście na małej muldzie i frunął w powietrzu wychylony do przodu dobrych dziesięć metrów. – I heej! – zatrzymywał się wreszcie u podnóża góry pięknym, klasycznym telemarkiem z przykłękami, a miliony białych drobin wyrzuconych w górę tym ostatnim wirażem otaczały teraz sylwetkę wuja i czyniły go niewidzialnym na parę sekund, po czym opadały wolno w dół, jak obłok, z którego wyłaniają się niespodziewane kształty.

Pędziłem za nim, wypatrując przetartej ścieżki, ale na muldzie, gdzie wuj wykonał skok, moje narty skrzyżowały się i runąwszy bezładnie w miękkie śnieg przeokoziółkowałem kilka razy.

– Nic ci się nie stało? – wuj złapał nartę, która mi uciekła, i pochylał się nade mną troskliwie. – Nogi w porządku?

A ja, leżąc w puszystym śniegu i patrząc w gwiazdy, poczułem się nagle bardzo dziwnie, bo czas, zatoczywszy koło, cofnął się w tej chwili: miałem wrażenie, jakbym właśnie spadł z trzepaka obok ceglanego domu, gdzie rosły czereśnie, gruszki i renklody, i natychmiast poczułem w ustach smak kurzu, który unosił się nad Wrzeszczem kilkanaście lat temu, a był to smak brukowanych ulic, zarośniętych ogrodów, chodników z ubitą ziemią, wędzonych ryb w zatłuszczonej gazecie, dymu z parowozów i smaru tramwajowych

zwrotnic; był to smak kurzu pierwszomajowego pochodu, gimnastycznej sali i dnia pierwszej komunii, i nie pamiętam już, co było w nim silniejsze, a co słabiej uchwytnie: aromat czarnych porzeczek z ogrodu wuja Henryka czy zapach owego smaru z tramwajowej zwrotnicy.

– Za wcześnie się pochyliliś – wuj pomógł mi wstać, a kiedy przypinałem nartę, demonstrował prawidłową postawę skoczka. – Tuż przed progiem ciało musi być luźne, a potem, mój chłopcze, w ułamku sekundy powinieneś sprężyć wszystkie siły; wtedy możesz być pewny, że skok się uda.

Ruszyliśmy dalej Samborową Doliną. Mróz tężał z minuty na minutę, pod deskami skrzypiał sypki śnieg, a z naszych nosów buchały obłoki pary. Za wielkim dębem skręciliśmy nieco w prawo. Patrzyłem, jak wuj Henryk wyrzuca przed siebie narty, jak pracuje ramionami, i byłem pełen podziwu dla jego umiejętności. Gdybyśmy rozegrali bieg do Oliwy albo do Matemblewa, na pewno dotarłby tam szybciej niż ja. Ale on nie narzucał zbyt wielkiego tempa i nie mówił tym razem o duchu sportowym. Czekają nas jeszcze sporo podejść i zjazdów, a między nimi około dziesięciu kilometrów zasypanych duktów. W zupełnej ciszy, w której skrzypiał tylko śnieg i nasze buty, słyszałem stuk mojego serca. Był równomierny i dobrze odmierzony. Sunęliśmy dalej jak dwa pochylone cienie. Co wiedziałem o wuju Henryku?

Właściwie tyle tylko, że w czasie powstania zniszczył trzy niemieckie czołgi i jako jeden z ostatnich wycofał się kanałami ze Starówki; że w tym samym powstaniu spłonął jego dom, a w nim – cała jego rodzina; i że pozostał sam, jak Hiob, na zgliszczach i popiołach, lecz w przeciwieństwie do człowieka z Uz, jego język nigdy nie wypowiedział słowa skargi.

Jakie mogły być jego rachunki z Panem Bogiem? Przecież nie stracił wiary. Był jak mało kto bogobojny. Teraz, gdy sunąłem za nim po śniegu, nagle wzbudziło to we mnie podziw. Bo z mego punktu widzenia modlił się do Boga, który nieodmiennie poniża sprawiedliwych, a nad naszym światem pozwala panować łajdakom – w mundurach i bez mundurów. Więc może Bóg wuja Henryka był Bogiem spraw i wojen przegranych, Bogiem ludzi, którym zabrano wolność i nadzieję? Lecz jeśli tak, to dlaczego nazywano Go Sędzią Sprawiedliwym, Ojcem, Miłością, Niewyczerpaną Łaską?

Takie pytania chodziły mi po głowie, a śnieg unosił się nad nami jak srebrny pył i osiadał na czapkach, ramionach, na rękawiczkach i kurtkach. A potem przyszło mi jeszcze na myśl, że wiele bym dał, aby usłyszeć, jak wuj z Nim rozmawia. Przecież musiał coś do Niego mówić, a może i słyszał coś z tej strasznej, niewyobrażalnej odległości – wtedy gdy modlił się w skupieniu, a potem otwierał usta, wysuwał delikatnie język i przyjmował opłatek. Lecz może było to coś takiego, czego nie pojąłbym w żadnym wypadku? Może wuj Henryk kontaktował się z Bogiem w sposób, o jakim nikt nie miał pojęcia?

Za Doliną Sambora zerwał się nagle wiatr i płatki śniegu wirowały teraz między nami jak gęsta zasłona. Musieliśmy zwolnić i nawoływać co kilkadziesiąt metrów. Postać wuja to pojawiała się, to znów niknęła w białej kurzawie, i wtedy pomyślałem, że podobnie mógł być widziany w czasie powstania, kiedy paliły się domy, asfalt, ziemia i powietrze, a on właśnie niknął w kłębach czarnego dymu albo tumanach gryzącego ceglanego pyłu, to znów się z nich wynurzał lub wyskakiwał nagle, by oddać strzał w kierunku jakiegoś feldfebla

z Monachium lub Ukrainca z dywizji SS; kiedy zaś oni brali go na muszkę i puszczaali serię, na powrót ginął w gęstym obłoku, stawał się znów niewidzialny i wszystkie kule, które miały go zabić, cięły z gwizdem powietrze, bo ściany domów w Warszawie dawno już przecież nie istniały.

– Jeżeli chcesz – usłyszałem nagle głos wuja – możemy zawrócić. Nie spodziewałem się takiej zadymki.

– Trzeba iść do końca! – krzyknąłem pod wiatr. – Jedziemy dalej! Klepnął mnie po ramieniu i nie powiedział ani słowa. Ruszyliśmy przed siebie, lecz coraz trudniej było przecierać szlak. Wiatr pędził między drzewami tabuny białych chmur, zdawało się, że za chwilę runą na nas wszystkie konary, a na dodatek w zupełnych ciemnościach ledwie odnajdywaliśmy drogę do Szwedzkiej Grobli.

– Tędy! – wołał wuj Henryk. – Tu, na tej krzyżówce w lewo!

– Nie w lewo, tylko w prawo! – krzyczałem jeszcze głośniej. – W lewo jest droga do starej skoczni!

– Do jakiej wyroczeni?! Starej?

– Do skoczni, wuju! Do skoczni! – wrzeszczałem mu do ucha. – Skoczni, a nie wyroczeni!

– No tak – odpowiadał – oczywiście! Ale wydaje mi się, chłopcze, że na Szwedzką Groblę powinniśmy jednak skręcić w lewo.

I tak kluczyliśmy dobre pół godziny, spierając się na każdym skrzyżowaniu. Mróz osiągnął dobre dwadzieścia stopni i skutek ostrego wiatru przenikał nas na wylot. A my dalej krążyliśmy wkoło jak potępieńcy, nie mogąc odnaleźć ani Szwedzkiej Grobli, ani drogi powrotnej lub przynajmniej takiej, która wyprowadzałaby z lasów.

– To niemożliwe! – krzyczał wuj Henryk. – To musi być gdzieś blisko, dwa kroki stąd.

Miejsca przypominające do złudzenia Szwedzką Groblę znajdowaliśmy kilkakrotnie, za każdym jednak razem okazywało się, że inny jest tu rozkład dróg. Żadna z nich nie była oznakowana niebieskim szlakiem prowadzącym ku Dolinie Radości ani żółtym – do Sopotu, ani czarnym – do Matemblewa. Wreszcie, gdy wspięliśmy się na wzgórze porośnięte bukami, wuj wydał z siebie okrzyk tryumfu:

– Ależ tak, chłopcze! Przez pomyłkę poszliśmy nie w tę stronę!

– Naturalnie, wuju – powiedziałem – to jasne, że zabłądziliśmy.

– Już nie – odchrząknął. – Wiesz, gdzie jesteśmy? Ta góra nazywa się Głowica. Potrzymaj mi latarkę! – I wydobył z plecaka mapę, którą chciał następnie rozłożyć na moich ramionach, lecz silny podmuch wiatru wyrwał mu ją z rąk i wielka płachta poszybowała gdzieś w ciemność.

– Och, to nic – powiedział wuj, nakładając na nowo plecak i rękawiczki. – Wiem już wszystko. Tędy w dół dojdziemy do drogi, która kończy się koło dworu Schopenhauerów. Natomiast tędy – wuj obrócił się o czterdzieści pięć stopni – możemy dojechać do Oliwy na wysokości opackich młynów. Co wybierasz?

Wolałem drogę do dworu Schopenhauerów. Stamtąd było już dwa kroki do ulicy Polanki i przystanku tramwajowego.

– Więc za mną, chłopcze! – krzyknął wuj i skoczył w dół długim szusem, z zadziwiającą łatwością manewrując między drzewami.

Jechaliśmy dość długo coraz węższym gardłem doliny. Znałem tę drogę. Po lewej stronie rósł gęsty zagajnik, teraz tonący w zaspach, a po prawej, na ostrej stromiźnie zbocza, strzelały w niebo świerki i sosny. Wicher kołysał koronami drzew, ale tu, niżej, było nieco spokoju. Wypatrywałem pierwszych świateł, lecz gdy zbliżyliśmy się do miejsca, skąd powinienem był zobaczyć dach dworu Schopenhauerów, czyli dach więzienia dla nieletnich, bo taką spełniał od wielu lat funkcję, okazało się, że stoimy pod następnym wzgórzem, jeszcze bardziej stromym i nieprzystępnym niż to poprzednie.

– Dziwne – powiedział wuj Henryk – przecież tu powinno być przejście na drugą stronę. Taki wąski jar. I to jest to miejsce – dowodził – tyle że jakby nieco odmienione.

Nie było innego wyjścia: trzeba było znowu piąć się w górę. Kiedy zaś osiągnęliśmy wreszcie szczyt, tym razem naprawdę już zziajani i zmitrężeni, naszym oczom – zamiast domostwa Schopenhauerów otoczonego kolczastym drutem – ukazała się następna dolina, a za nią jeszcze wyższa grzywa lasu.

– Nie do wiary! – wykrzyknął wuj. – Przecież byliśmy tu już godzinę temu! No, całe szczęście – dodał zaraz – że wiatr jakoś ucichł. Inaczej byłoby z nami całkiem źle.

Zgodziłem się z wujem Henrykiem, że ucichł wiatr i że to dobrze, bo inaczej byłoby z nami całkiem źle, nie byłem natomiast przekonany, że miejsce, do któregośmy dotarli, jest tym samym, gdzie staliśmy już godzinę temu, czyli gdzieś między Szwedzką Groblą a Doliną Sambora.

Wiatr, który rzeczywiście uspokoił się na kilka minut, dając nam moment wytchnienia, znów uderzył w las, i to ze zdwojoną siłą. Mocno przygięci do ziemi posuwaliśmy się

niemal po omacku, jak dwaj ślepcy skazani na siebie. Schodziliśmy po oblodzonym stoku gdzieś w dół, a wokół nas nie tylko już nie było narciarzy, świateł wyciągu i skocznych dźwięków muzyki, nie było tu nawet sosen, świerków i buków, a jedynie biała, wirująca chmura, w której na ułamki sekund pojawiały się czarne dziury zięjące absolutną pustką. Stąpaliśmy coraz ostrożniej i wolniej, a żywioł, który nas otaczał, był groźny i obojętny. Poczulem strach. Wystarczył moment nieuwagi, by puścić narciarski kij, trzymany z drugiej strony przez wuja Henryka, i polecieć w tę pustkę jak bezwolny patyk. Miałem wrażenie, że śnieżna burza, niczym powietrzna trąba, przesuwa się razem z nami, jakby ktoś z góry kierował jej ruchem, i że gdzie indziej nad oliwskim lasem panuje cicha noc jak z niemieckiego obrazka, na oświetlonym zaś stoku dalej gra muzyka i weseli narciarze, ignorując reguły stylu klasycznego, jeżdżą w górę i w dół, a tylko my dwaj schodzimy coraz niżej i niżej w ciemność, jak po drabinie bez końca.

Czasami zdawało mi się, że wuj wykrzykuje coś pod wiatr, i byłem prawie pewien, że jest to werset z *Psalmu*, tego, w którym Dawid mówi o białych skrzydłach gołębic i o tym, że chciałby na tych skrzydłach ulecieć daleko i odpocząć. Lecz pewnie było to złudzenie, pewnie to ja sam pragnąłem usłyszeć kojące słowa w szalejącej zamieci i poświstach wiatru.

W pewnym momencie poczułem, że nie idziemy już po stromiźnie, a w chwilę później tuż przed nami wyrósł ciemny kształt szopy zbudowanej z grubych bali.

– Musimy odkopać drzwi! – krzyknął wuj Henryk. – Inaczej znajdą nas tutaj na wiosnę.

Nie było to jednak łatwe. Szałas drwali, porzucony po jesiennych wyrębach, ledwie wystawał z zasy, a drzwi osadzone na ciężkich ćwiekach nie chciały ustąpić. Już bez nart, miarowo napieraliśmy na belki, aż wreszcie razem z podmuchem wiatru, drzwiami i górą śniegu runęliśmy do środka jak dwaj pijani marynarze.

– Jesteś? – zapytał po chwili wuj Henryk.

– Tak – odpowiedziałem.

– Nic ci się nie stało?

– Nie. Tylko strasznie tu ciemno.

– Jak w trumnie, mój chłopcze – rzekł spokojnie wuj Henryk. – Kiedyś trzeba się przyzwyczać.

Nad nami huczał wiatr i walił o krokwie dachu, lecz wewnątrz szałasu, gdy po zaparciu drzwi rozpaliliśmy małe ognisko, było całkiem przytulnie. Zapach płonących gałęzi mieszał się ze stęchlizną starych szmat i rękawic, które leżały w kącie, a ja czułem w tym wszystkim zapach minionego lata i jesieni, ową gorzko-słodką woń kory, skupiającą w sobie smaki rozmaitych zjawisk i miejsc: gliniastej i wilgotnej ziemi mokradel, traw kwitnących na wzgórzu Luizy, i mięty, i koniczyny z Doliny Abrahama. I pomyślałem sobie, że ten właśnie zapach, ten jedyny w swoim rodzaju zapach lasu i bukowych polan, które pamiętały książąt o dziwnych imionach Subisława, Świętopelka i Sambora, które widywały Jana Sobieskiego i Fryderyka Wielkiego, ten zapach drzew i miejsc, które milcząco przyglądały się teraz nam, śmiesznym wędrowcom, co zbłądzili w nieodłągodzinę pod nieszczęśliwą gwiazdą, ten właśnie zapach chciałbym czuć, gdy będę kiedyś leżał w trumnie.

– Która godzina? – zapytał wuj Henryk. – Nie wziąłem ze sobą zegarka.

Spojrzałem na tarczę, gdzie złożone bukwy układały się w pochylony napis MIR, i zobaczyłem, że wszystkie wskazówki są nieruchome. Zatrzymały się na godzinie siódmej, która, na moje wyczucie, dawno już minęła. Ale jak dawno i czy na pewno dawno, nie miałem pojęcia. Było mi to zresztą obojętne. Bo jakie właściwie miało to znaczenie, czy jest dziesiąta, dwunasta czy druga w nocy? Intrygowało mnie natomiast, z jakiego powodu zegarek przestał chodzić. Zamókł? Uderzyłem go o coś bezwiednie? Był przecież nakręcony.

Tymczasem wuj upierał się, żeby przynajmniej – skoro nie znamy godziny – zorientować się w położeniu. Wyjął więc turystyczny ołówek z metalową skuwką i na papierze po kanapkach próbował nakreślić drogę, którąśmy przebyli. Wyliczał na głos wzniesienia, zakręty i krzyżówki, usiłował odtworzyć wszystkie te skomplikowane meandry, jakie musieliśmy wykonać, ale zatłuszczony papier nie chciał przyjmować linii. Ślad grafitu znikał co chwila jak ślady nart na wyjeżdżonej trasie, kreska urywała się, a wówczas wuj ze zniecierpliwieniem ślinił ołówek, lecz kiedy powracał do kartki, by kontynuować swój wykres, gubił się w nim i zaczynał wszystko od początku. Wreszcie, pochylony nad paleniskiem, wydobyl kompas; kiedy jednak zbliżył jego nikielową, połyskującą tarczę do migotliwego światła, z największym zdumieniem wykrzyknął:

– Mój Boże! Chłopcze!

Rzeczywiście, czarno-biała wskazówka jakby zwariowała. Kręciła się raz w lewo, raz w prawo, wykonując po kilka obrotów za jednym zamachem, i to w takim tempie, że nie można było oddzielić bieli od czerni. Kolory zlewały się w jedną barwę przypominającą jesienne błoto naszych ulic.

Po chwili wuj Henryk, monotonnym głosem wykładowcy, zaczął mówić o zjawisku burzy magnetycznej, o pomieszanii kierunków i zmianie biegunów. Jak wówczas, gdy Komety Halleya zbliżała się do naszej planety, powodując trzęsienia ziemi, powodzie, wybuchy wulkanów i burze ogniowe pędzące przez sawanny z prędkością wiatru. Nie było dla mnie jasne, czy wszystkie te kataklizmy mają również i nas spotkać, a jeśli tak, to czy już zaraz, czy raczej w bliżej nieokreślonej przyszłości, lecz nie mogłem się zdobyć, aby przerwać wujowi. Zapalał się coraz bardziej i potrząsając kompasem, mówił jednym tchem, że gdyby morze wystąpiło teraz z brzegów, gdyby zalało Jelitkowo, Sopot, Brzeźno, Stogi, Dolne i Nowe Miasto, nie wspominając już nawet o takich dzielnicach, jak Stare Szkoty, Letniewo czy Nowy Port, gdyby więc woda pochłonęła wszystkie okoliczne domy i ludzi, to wówczas tylko my dwaj z całego miasta uszlibyśmy z życiem!

– Czyż nie byłby to widomy znak Opatrzności? – pytał wuj Henryk i nie czekając na odpowiedź, dalej rozwijał swą myśl: jeśli ten straszliwy kataklizm miałby się wydarzyć właśnie tej nocy i jeśli my znajdowaliśmy się mniej więcej sto – dwieście metrów nad poziomem morza, to o świcie mogłoby się okazać, że przebywamy już na wyspie. Dwaj ludzie z miasta, które w jednej chwili przestało istnieć. Jak Sodomia i Gomora, jak Pompeja, jak Port Royal i Lizbona. – Tylko my dwaj... – dodał po chwili. – Rozumiesz, co to znaczy?

Nie wiem, czy rozumiałem dokładnie, co wuj miał właściwie na myśli, pojąłem natomiast wreszcie, że to, czego pragnął naprawdę, na co oczekiwał w każdej minucie swego życia, było łaknieniem sytuacji ostatecznych; takich, w któ-

rych mógłby zmierzyć się z Losem twarzą w twarz, w otwartej walce. I właśnie teraz, w szałasie drwali, gdzieś w oliwskich lasach między Szwedzką Groblą a domem Joanny Schopenhauer, Los po raz pierwszy od wielu lat zdawał się mu sprzyjać, przychodząc na wyzwanie.

Patrzyłem na wirującą strzałkę. Teraz obracała się nieco wolniej, jakby ktoś z potężnym magnesem krążył na zewnątrz wokół szałasu i przyciągał ją ku sobie, a wuj Henryk pukał w szkiełko kompasu i znów kręcił z niedowierzaniem głową.

– Zwariował. Kompletnie. To niemożliwe, a jednak zwariował. Zatrzyma się wreszcie czy nie?!

– Wuju – zdecydowałem się jednak coś powiedzieć – a może po prostu trafiliśmy na żelazo? Może pod tą górą jest żyła rudy? Bo magnetyczna burza... sam przyznasz... to nie jest zbyt przekonujące...

– Żyła rudy, powiadasz? Nie, nie, mój chłopcze, to niemożliwe! Lodowiec zostawił w tej ziemi granity i bazalty, nic więcej. Nie słyszałem jeszcze o pokładach rudy w morenie czołowej – stwierdził z lekką ironią. – No, chyba że Niemcy zakopali tu jakiś czołg albo armatę – dodał po chwili – i siedzimy właśnie na tym świństwie.

Tak, to właśnie był cały wuj Henryk! Albo burza magnetyczna i zapowiedź kataklizmu, albo niemiecki czołg zakopany czterdzieści parę lat temu! Żadne prozaiczne przyczyny nie mogły tu wchodzić w rachubę, jako coś poniżej jego miary. Przyrządy, którymi się posługiwał – nóż ze szwedzkiej stali, sztabowa mapa, angielski kompas, chiński termos, nawet metalowa skuwka chroniąca wyostrzony grafit – musiały być niezawodne tak jak on sam i nie miały prawa się zepsuć. Jeśli rzeczywistość nagle wymykała się z rąk,

jeśli coś zawodziło, przyczyną nie mogła być lada usterka czy po prostu przypadek. Już raczej wojna, kataklizm albo nawet koniec świata. Cóż mogłem począć w tej sytuacji? Dokładałem do ognia, mając nadzieję, że wiatr przed świątem ucichnie i wreszcie będziemy mogli stąd wyjść.

Tymczasem wuj Henryk, uczepiwszy się niemieckiego czołgu, dosiadł nagle innego konika.

– Oni zakopywali broń nie tylko przed bolszewikami. Oni zamierzali tu wrócić, a prawdę mówiąc, nigdy takiej nadziei nie utracili. Adenauer, Bismarck, Fryderyk, wszyscy oni śnili ten sam sen, sen o niemieckim zjednoczeniu. A kiedy ten sen stawał się rzeczywistością, kiedy Niemcy budzili się we wspólnym domu, zawsze było już za późno. – Bo Niemcy, wstając z łóżek, od razu maszerują, a od tego marszu drży cała ziemia, bo Niemcy nigdy nie maszerują boso, lecz zawsze w dobrych wojskowych butach. – Zobaczysz – wyszeptał wuj Henryk, wykonując zagadkowy ruch głową – oni się jeszcze kiedyś z nimi dogadają.

– Z nimi? – zapytałem. – To znaczy z kim?

A wtedy wuj, w zdaniach szybkich jak z *allegro vivace*, a chwilami nawet *allegro furioso*, w zdaniach, w których porbrzmiewały to trąbki pruskich huzarów, to znów harmonia albo bałajka, w zdaniach kipiących gniewem, obawą i rozpaczą, mówił o pocałunkach na wietrze i o uściskach, które uchwycą nas z obu stron jak chirurgiczne kleszcze do spędzania płodu i wyrwą jak chory ząb. I wirowały w tych zdaniach różne postaci, a wszystkie były mi dobrze znane – ze znaczków pocztowych, ze zdjęć w podręcznikach, z gazet i z telewizji; Stalin tańczył z Hitlerem, Adenauer z Chruszczowem, Willy Brandt z Breżniewem, a Kohl z Gorbaczowem,

wem. I kiedy tak oddalali się od siebie, to znów przybliżali, wymieniając ukłony, wuj mówił o nowej granicy na Wiśle i o mieście swojej młodości, podzielonym na miasto wschodnie i zachodnie, o tym, że na lewym brzegu będzie można kupić piwo i kielbaski, a potem wylosować bilet do gazu, na prawym zaś otrzymać przydział na chleb, sól i wódkę wraz z kartą pracy gdzieś za kołem polarnym.

– I znów trzeba będzie robić konspirację – mówił coraz szybciej – i w obu częściach zony! Bo przecież możemy liczyć tylko na siebie. Francuzi nie będą umierać za Gdańsk, Anglicy za Kraków! Tylko my, mój chłopcze, potrafimy umierać za miasta, których nie widzieliśmy na własne oczy!

Rozkrzyżował ramiona i dalej mówił, jak hipnotyzer, a raczej natchniony jasnowidz, a w miarę jak się rozkręcał, moje oczy stawały się coraz szersze, aż wreszcie nie dałbym głowy, czy za chwilę z wirujących płatków śniegu, zza tej białej i delikatnej zasłony nie wyłonią się znane postaci i nie wejdą zaraz do szafasu, otrzepując buty: Fryderyk w peruce i z harcapem, Adolf z przepaską na ramieniu, Józef z fajeczką w ustach, Helmut w trochę zbyt obszernym garniturze, Michaił z plamą na czole po chorobach trudnego dzieciństwa, i czy nie powiedzą, podając sobie dłonie przy ognisku: „To przecież nasze! Wynocha stąd, polskie świny, bękarty pokraczne Wersalu! Precz z naszych oczu, bastardy Poczdamu, wy, skrofaliczne dzieci Jałty! Bo jak nie...” – lecz dalej bałem się już myśleć, bo i czym moglibyśmy ich przywitać? Narciarskim kijem? Płonącą szczapą? Śmierdzącą i zapleśniałą rękawicą drwala?

– Czy wszystko musi się powtórzyć? – usiłowałem oponować.

Lecz myśli wuja i jego słowa wirowały szybciej od wskazówek kompasu i płatków śniegu, myśli wuja krążyły wokół idei cyklu, zgodnie z którym wielkie narody wciąż powracają do pocałunków na wietrze i do uścisków, a małe i niepotrzebne nikomu płoną lub zamieniają się od tego w szklistą górę zamarzniętych trupów i szmat.

A potem zaległa cisza. Wuj patrzył w ogień i nic już nie mówił, a ja siedziałem naprzeciw niego i też nic nie mówiłem. Nie wiem, o czym myślał. Być może przeprowadzał kolejne powstanie albo błędził wśród białej przestrzeni, zmieniając się powoli w płatek śniegu uniesiony podmuchem lodowatego wiatru. Patrzyłem, jak płoną drwa, i pocieszałem się, że w najgorszym wypadku posiedzimy przy ogniu do rana, a kiedy wstanie słońce i ucichnie wiatr, znajdziemy drogę – zdumieni, że była tak blisko.

Wuj Henryk drzemał, podpierając podbródek pięściami. Drewna mieliśmy dosyć, a w termosie było jeszcze sporo herbaty.

Czy mogłem przypuszczać, że pośród nocy, w niedalekiej wiosce, zapalają się już cicho światła? Że srebrne ostrogi, oczyszczone popiołem i nasmarowane tłuszczem, błyszczą jak muzułmańskie księżycy? Nie byliśmy przecież na Antylach ani nawet w Prowansji. Padał śnieg i do świąt Bożego Narodzenia pozostawało zaledwie kilka dni. W naszym mieście czerwone dachy gotyckich kościołów wyglądały bardzo pięknie, przykryte białym, skrzącym się śniegiem, i gdyby żył jeszcze Tomasz Mann, znalazłby pewnie w tym widoku dowód na nieśmiertelność duchowego piękna, któremu natura wciąż nowych powabów przydaje. Lecz moje myśli nie krążyły długo wokół Tomasza Manna, nie mogły wzlecieć

nad oszronione wieże Świętego Mikołaja, Świętej Katarzyny, Najświętszej Marii Panny czy Piotra i Pawła. Widząc zmęczone powieki wuja Henryka i blask ognia migoczący na jego twarzy, ujrzałem drzewa w jego ogrodzie, obsypane tysiącami białych płatków, które opadały zawsze, ilekroć obok płotu przemknął pociąg pośpieszny. I widziałem tam też siebie, jak krążę między drzewami i próbuję złapać taki płatek w usta. Stoję na palcach z głową zadartą w niebo i kiedy ostatni wagon, dudniąc rytmicznie, znika za wysokim parkanem, rozdziwiam gardło i przechylam się we wszystkie strony, bo chodzi o to, aby jeden z płatków nie dotknął ziemi, lecz wpadł mi do ust lub osiadł na wargach; zbieram go wtedy delikatnie językiem i żuję przez chwilę; i jeśli nie przyklei się do podniebienia, odnajduję w nim w końcu smak przyszłych owoców – jeszcze nie słodki, tylko dziwnie gorzki i cierpki.

Tak, czułem, patrząc na zamknięte powieki wuja, że ten chłopiec pod drzewem obok ceglanego domu to zupełnie ktoś inny ode mnie i nie mogłem obu tych wizerunków ze sobą pogodzić ani złożyć w jeden, bo tak się miały do siebie, jakbym na jednym z nich – w jarzeniowym świetle lamp, trzymając się napiętej liny – jechał powoli do góry, na drugim zaś pędził w ciemności zakosami w dół, podnosząc za sobą chmury białych drobin, niczym pociąg pośpieszny do Krakowa – dziewiętnasta piętnaście z Gdyni, dziewiętnasta dwadzieścia pięć z Sopotu, dziewiętnasta trzydzieści sześć z Wrzeszcza.

Czy miałyby sens zwierzyć się wujowi, że ja to ktoś inny? Obudzony, machnąłby na pewno ręką, mówiąc „eh tam, gadanie!”, bo niby jakim sposobem A może być równocze-

śnie B? Tak, według wuja nasza istota była niezmienna, a niezmiennosc ta – pewna jak nieśmiertelność duszy. Więc nie obudziłem wuja w tej sprawie.

I pomyślałem wtedy o kogutach – tych, które piałły o świcie w ogrodach Wrzeszcza i Oliwy, w krzakach porzeczek i agrestu, wśród tyczek fasoli i owocowych drzew, w nędznych, naprędce skleconych kurnikach, przykrytych dyktą i obitych papą; o kogutach, które dawno już zniknęły z naszego miasta, tak jak gazowe latarnie, konne wozy, tramwaje linii letniej, słupki hydrantów z żeliwnymi łańcuszkami, sklepy z resztkami kolonialnej glazury i suchy piasek podwórek i ulic. A jednak, choć wszystko to odeszło w przeszłość, miasto pozostawało wciąż to samo – jakby posiadało niezmienną formułę; jakby nic nie było w stanie jej naruszyć – pożary, bombardowania i wędrówki ludów, a w ślad za tym zmieniające się języki, obyczaje, nazwy statków, ulic, szepty, miłosne zaklęcia, i jeszcze krój marynarek, sukni, spodni i obcasów. I właśnie gdy zadawałem sobie pytanie, czy jest coś takiego jak esencja mojego miasta, czy istnieje więc jego dusza, wuj Henryk poruszył się niespokojnie, sapnął, westchnął, po czym otworzył oczy i rzekł:

– Czuję zapach gotowanych ziemniaków. Czy podzielasz to wrażenie węchowe, chłopcze?

Nie czułem tego zapachu, lecz zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wuj krążył już po szalasię z głową uniesioną lekko ku górze, rozdymał nozdrza, głębokimi haustami wciągał powietrze i wężąc w półmroku, zastygał co parę sekund w bezruchu, jak wyżeł, który znalazł trop.

– Ależ tak! – sapał podekscytowany. – Nie może być pomyłki, mój chłopcze! To jest woń kartoflanych łupin, cie-

płych, parujących, a to oznacza tylko jedno: że jesteśmy w pobliżu ludzkich siedzib!

Wyęźałem węc, jak tylko mogłem. Bezskutecznie. Wuj tymczasem naciągnął szybko czapkę, zawiązał szalik, zarzucił błyskawicznie plecak i mocnym kopnięciem odwalił drzwi szałas. Tuman śniegu runął do środka, wiatr rozniósł iskry po wnętrzu, a ja, zakładając pośpiesznie narty, chwytając po omacku plecak i kije i widząc, jak wuj znika w białej kurzawie, jak ginie w huczącej wiatrem ciemności, pomyślałem ze zgrozą, że ogarnęło go szaleństwo. To samo, o którym opowiadał czasem ojcu, a więc to, które zabijało wielu – tam, wtedy, przed czterdziestu laty, gdy nagle we śnie poczuli zapach wędzonki, gotowanej kaszy lub, co graniczyło z ekstazą, pierogów nadziewanych grzybami i mięsem i z krzykiem zrywali się z prycz, i wybiegali z baraku, i jeśli przy przekraczaniu zony nie zastrzelił ich skośnooki Kałmuk, biegli dalej przed siebie, w białą i pustą przestrzeń, aż do utraty tchu, do ostatniego uderzenia serca, które wstrzymywał pocałunek mrozu. Ich ciała znajdowano nazajutrz, czasem dopiero na wiosnę, a czasem nie znajdowano ich wcale.

– Wuju, zatrzymaj się! – krzychałem za nim co sił w płucach. – To niemożliwe! Tu nie ma żadnej wioski!

Do niego jednak zupełnie to nie docierało. Owładnięty jednym, biegł na nartach jak zawsze długimi wyrzutami nóg, nie pozostawiając mi innego wyjścia, jak za nim naśladować.

Nie wiem, jak długo trwała ta osobliwa gonitwa, pamiętam tylko, że przemierzyliśmy dobrych kilka wzgórz i że byłem już u kresu sił, gdy wuj zatrzymał się wreszcie u wrót

głębokiej kotlinie. Wtedy dopiero spostrzegłem, że nie pada już śnieg i ustała wichura.

Po naszej lewej stronie widniała ciemna sylwetka wiejskiego kościoła, a po prawej majaczył cmentarny murek.

– Dziwne – powiedział wuj Henryk – wygląda na kompletną ruinę. A przecież wioska jest zamieszkała.

Na razie nie widziałem żadnej wioski, lecz kiedy weszliśmy do kościoła przez rozwalone drzwi i patrzyliśmy na zerwany w połowie strop, na potrzaskane ławki w kącie i resztki witraży, które w świetle gwiazd lśniły niczym dęty na aksamitnej sukni tancerki, poczułem się bardzo dziwnie. Jakby ci, którzy brali tu śluby, chrzcili dzieci i modlili się co niedziela, wyszli stąd dosłownie przed chwilą.

– To ewangelicki kościół – usłyszałem głos wuja. – Tylko dlaczego nie przejęli go katolicy? Czemu nie odbudowali jak gdzie indziej?

Pytanie zostało bez odpowiedzi. A gdy mijaliśmy cmentarz i spoglądałem na półkuliście zakończone nagrobki przykryte czapami śniegu, wuj Henryk przyspieszył raptownie kroku, by w chwilę potem, już za zakrętem, krzyknąć:

– No i co? Czyż nie miałem racji, mój chłopcze? Popatrz tylko!

Rzeczywiście, przed nami, po obu stronach drogi, ciągnęła się wieś. Ceglane i drewniane domki przycupnięte w zaspach, małe okna, z których sączyło się światło, siwy dym umykający z kominów w granatowe niebo – wszystko to robiło jak najlepsze wrażenie.

– Niesłychane! – mamrotał pod nosem wuj Henryk, gdy zbliżyliśmy się do pierwszych zabudowań. – Gdzie myśmy właściwie trafili?

– Wa! – usłyszałem głos dochodzący zza naszych pleców.
– To je tacji Piękni Poole¹.

Za nami stał niewysoki mężczyzna ubrany w roboczą kufajkę, gumowe buty z wołokiem i czapkę-uszanke, taką samą jaką na filmach nosili sowieccy czołgiści.

– Jak?! Jak pan powiedział? – krzyknął wuj Henryk. – Jak się ta wieś nazywa?

– Piękni Poole – powtórzył mężczyzna i uśmiechnął się do nas uprzejmie – a może bec i Szenfeld. Wasta chodzta ze mną – mówił dalej, nie czekając na dalsze pytania – wy są wanogi, jo, po co se dalej trudzyc?²

– Piękne Pole, Piękne Pole... – powtarzał wuj Henryk, zwracając się do mnie. – Słyszałeś o takiej miejscowości w naszej okolicy? Nie przypominam sobie niczego takiego z żadnej mapy.

Mężczyzna, nie przestając się uśmiechać, zaprowadził nas do obejścia, a kiedy weszliśmy do sieni i zdjęwszy czapki, ochraniacze i rękawiczki, zaczęliśmy otrzeptywać buty i spodnie, krzyknął tubalnym głosem:

– Hankaa! Jesc bandzemy!³ – A w kuchni powiedział do nas: – Niech siadają.

Usiedliśmy więc za kuchennym stołem.

– O Jezu! – westchnęła gospodyni, spoglądając na nas ukradkiem znad pieca i garnków. – Toż i panom zachciało badziać się w taka zawierucha! Sobakę wygonić trudno, dopieroż człowieka!⁴

¹ Hej, wy! [...] To jest wioska Piękne Pole (kaszub.).

² Piękne Pole [...] a może być i Szenfeld. Chodźcie ze mną [...] jesteście włóczykijami, tak, nie powinniście dłużej się męczyć.

³ Hanka! Będziemy jeść!

⁴ Że też zachciało się panom wędrować w taką zawieruchę! Psa wygonić trudno, a co dopiero człowieka!

– Pleszcze, aby pleszczec! – mężczyzna splunął na rozżarzoną płytę kuchni, która głośno syknęła. – Jesc daje, prandko!⁵

– A czego ty zbiesił sia, a? – kobieta zamachała mu przed nosem drewnianą łyżką. – Niech nie pluji na podłoga, bo jeszcze trocha, a zgniji! Mówiła ja tobie, durnowaty jeden, że jak przyjść mają, to i przyjdą, choćby w najgorsza pogodą, i kartofli z grzybami na ogniu ja trzymała.

– Nie szpulam ja na podłogę – uciał ostro mężczyzna – a taka głupia gadka to se ucinaj z białkami! Jo!⁶

Gospodyni nie dawała jednak za wygraną.

– Ty durnowaty! A któż zbiesił sia? Kto włosy z głowy rwał i krzyczał: „Nie przyjdą! Nie przyjdą!”. Toż mówiła, że o czasie odpowiednim pojawią się, bo śniła ja o tym w pierwsza niedziela adwentu.

– O, wa! – mężczyzna spojrzał na nas porozumiewawczo. – Francmasońska gadka! – I puknął się w czoło. – Taci bzdzenie muchy!⁷

Wuj Henryk nic nie powiedział. Lecz kiedy zjedliśmy już ziemniaki, skwarki, grzyby i kawałki duszonego mięsa w gęstym sosie przyprawionym pieprzem, liściem bobkowym, majerankiem, miętą, czosnkiem i cząbrem, gdy spałaszowaliśmy kiszone ogórki i marynowane rydze, gdy wypiliśmy już kompot z malin, zapytał wreszcie: – Czy ktoś na nas czekał?

Kobieta upuściła pokrywkę, która z brzękiem potoczyła się po podłodze. A mężczyzna zacisnął pięści i przestał się uśmiechać.

⁵ Gada, aby gadać! [...] Dawaj jeść, prędko!

⁶ Nie pluję wcale na podłogę [...] a tak głupio to możesz sobie gadać z kobietami, ale nie ze mną! Tak!

⁷ Eh tam! [...] Głupie gadanie! [...] ‘Jak brzęczenie muchy!’

– Jo jestem Ignac – powiedział po chwili – a to je moja bielka, Hanka...

– Ignac – przerwała mu – ot spokój byś panom dał. Niech zjedzą zdrowo, bez nerwowania się.

– Jo – zgodził się mężczyzna – niech bandze tam⁸ – po czym wstał, narzucił na siebie kufajkę i wyszedł z domu.

Usłyszeliśmy jego skrzypiące na śniegu kroki, które oddalając się, cichły.

– Kobieto! Co wy z mężem ukrywacie? – zapytał z godnością wuj Henryk. – O co tu chodzi?

– Ot, turbulencję we wsi mamy i na panów czekaliśmy.

– Na nas?! – wykrzyknęliśmy razem.

– Na was, a może i nie na was... Kto wie? Ignac poleciał po gospodarzy, znaczy rozpatrzyć się.

Wuj Henryk pocierał czoło nad opróżnionym talerzem.

– No dobrze, pani gospodyni – rzekł po chwili zastanowienia – niech mi pani w takim razie powie, jak stąd do miasta jeździecie. Którędy? Bo my zbłądziliśmy, widzi pani, zadymka taka była...

– A po cóż tak od razu w powrotna droga zbierać się, a? – zapytała żona Ignaca. – A troszku wywczasować się nie łąska? Wszystko po bożemu bandze, w kolejności swojej.

– No oczywiście! – przytaknął wuj. – A przystanek tu we wsi macie?

– A czegoż by nie mieli mieć? – oburzyła się gospodyni. – Ot, nie dalij jak pobok Depków chazajstwa⁹. My do miasta na awtobusie jeździm, ale teraz żaden już nie przyjedzi. Pora zbyt późna.

⁸ Dobrze [...] niech tak będzie.

⁹ Ot, nie dalej, jak koło gospodarstwa Depków.

– A jaka to linia?

– Jaka, jaka! Toż widać, że zwyczajna, czerwona, znaczy się miastowa.

– Ale numer jaki? – naciskał wuj. – Cyferki jakie?

– Ot, panie szanowny, ja prosta kobieta, przez całą ta wojna bez nauki została! A litery to różne są, duże, małe...

Wuj pokiwał głową.

– No cóż – powiedział – w takim razie będziemy się zbierać. Dziękujemy bardzo za gościnę.

Gdy jednak wstał od stołu, Ignacowa rzuciła się do drzwi zastąpić mu drogę. Jednocześnie na dworze rozległ się hałas: do kuchni, niczym groźny potok, wdarły się głosy kilkunastu mężczyzn, którzy po chwili wparowali do środka.

– To ci! – przekrzykiwali się.

– A skąd oni? Z miasta? Miastowe są?

– Miastowe!

– A nadadzą sia? Czy aby sia nadadzą?

– Ignac, no, Ignac, gadaj z nimi prandko!

Ignac wystąpił do przodu.

– Jo jestem Ignac – skłonił się grzecznie – a to moja białka, Hanka... – głos ugrzązł mu w gardle i nie mógł wykrztusić z siebie nic ponad to, co już powiedział. – Ignac... – powtarzał – Hanka. Hanka... Ignac.

Chłopi zaczęli wyraźnie się niecierpliwić. Wuj Henryk stał z dłonią opartą na stole; jego druga ręka, gotowa w każdej chwili wykonać szybki ruch, zwisała wzdłuż prawego biodra.

– O co wam chodzi, panowie? – zapytał spokojnym głosem.

Do stołu podszedł najstarszy wiekiem gospodarz, przesuwał taboret i usiadł. W geście tym było wyraźne zaproszenie i wuj bez słowa uczynił to samo.

Patrzyłem na skupione twarze mężczyzn. Poorane, zmęczone, zdawały się niczego nie wyrażać, były jakby wyciśnięte z wszelkich uczuć, a jednak w głęboko osadzonych oczach, w spojrzeniach, które nam ukradkiem rzucali, można było dostrzec napięcie i niepokój.

– Sędzia nie może być spośród nas – tłumaczył cierpliwie gospodarz. – A Fritz, co mieszkał pod lasem, zmarł – będzie – niedzielę temu i niech odpoczywa w spokoju.

– Amen – powiedzieli chórem chłopci.

– I uradzili my, że pierwszy, co tu się pojawi, jeżeli tylko nie będzie urzędnikiem magistrackim i krewniaków tu nie ma, sędzią być musi. – Musi! – podchwycili zgodnie chłopci.

– Wasta urzędniki? – zwrócił się do nas gospodarz.

– Nie – odparł wuj.

– A krewniaków tu macie, jo?

– Nie – znowu zaprzeczył wuj.

– To mogą sądzić! – odprężył się uradowany gospodarz. – Sędziami być mogą!

– Czy to jest sprawa honorowa? – zapytał coraz bardziej skonfundowany wuj.

A wtedy chłopci, ruszając z miejsca i zbierając się do wyjścia, jeden przez drugiego krzyczeli, że „honorowa aż strach” i że jeśli, nie daj Boże, odmówimy im tej przysługi, to mogą być z tego okropne kłopoty.

– A zatem idziemy! – zakomenderował wuj. – Szkoda czasu!

Plecaki i narty zostawiliśmy w chałupie. Mężczyźni wzięli nas w środek i gęsty zapach machorki, potu i samogonu otoczył mnie jak chmura. Niektórzy palili skręty, inni pociągali z butelki, zatrzymując się na moment w tyle.

– A może są uzbrojeni... – szepnąłem do wuja.

– Nie – odpowiedział – nie wyglądają na takich.

Niedaleko za wsią stanęliśmy przed ogromną stodołą, położoną blisko lasu.

– Mateusz! – krzyknęli chłopci. – Mateusz! Otwieraj! My są!

Wielkie wrota otworzyły się z jękiem i pośrodku ciemności ujrzelśmy Mateusza, który zapalał właśnie naftową lampę. Z siwą brodą i długimi włosami białymi jak mleko wyglądał na świętego z ikony.

– Chwała Bogu, że przyszli – mamrotał, zapalając następne lampy, które zawieszał wzdłuż belek na żelaznych hakach. – Chwała Najwyższemu!

– Na wieki wieków – powtarzali chłopci. – Na wieki wieków, amen, Mateuszu.

Tymczasem światło zataczało coraz szerszy krąg, coraz więcej lamp płonęło żółtym, chybotliwym płomieniem i w samym środku klepiska ukazała się naszym oczom mała arena wysypana piaskiem. Wokół niej ustawione były drewniane ławy i krzesło wyścielane pluszem.

– Wygląda to na wiejski cyrk – szepnął z kolei wuj Henryk. – W każdym razie, mój chłopcze, zachowaj czujność. Czujność przede wszystkim!

Dłużej nie dane nam było rozmawiać. Mateusz przyniósł z ciemnego kąta drugie krzesło, trzciniowe, i usadzono nas z wujem obok siebie. Wtedy chłopci, rozpinając kozuchy, kufajki i baranice, rozsiedli się na ławach i gwar rozmów przycichł nieco.

– Palić możecie – rzekł do nas Mateusz – nie ma tu siana ani na lekarstwo.

– Chwileczkę, panowie – wuj Henryk poprawił się na krześle – chyba należy się nam najpierw jakieś wyjaśnienie. Co to ma

być? Walka na pięści? Na broń białą? A może na pistolety? Jeżeli mamy być, tak jak chcecie, sędziami, musimy coś wiedzieć o walczących stronach. O co poszło? O kobietę? O miedzę? O dług niespłacony? A poza tym, czy nie za mało tu miejsca?

Po ostatnich słowach wuja chłopci wybuchnęli śmiechem. Bili się dłońmi po udach, klepali wzajemnie po plecach, a ci, co mieli za pazuchą butelki, sięgali po nie i z szybkim przechyłem głowy pociągali łyk gorzałki.

– Łi chi chi! – zaśmiewali się gromko. – Łu chu, chu! A to powiedział! A to wymyślił! Filozof jaki czy co?

Wuja Henryka powstrzymywały od wybuchu jedynie nie-naganne maniery. Czulem jednak, że gotuje się w nim, że jest jak granat, z którego wyciągnięto już zawleczkę, gotowy eksplodować, gdy puści się tylko dźwignię bezpiecznika.

– Chłopy, nie trza, nie trza – uspokajał swoich Ignac. – Jo jestem Ignac, a to są panowie sendziowie. Wasta waszi smiejehy weg! Wasta weg!¹⁰

– A co to, Ignac, śmiać się nie wolno? – odezwał się młody, poczerwieniały na twarzy osiłek i spojrzał na wuja Henryka przekrwionym wzrokiem.

Wuj zderzył się z tym spojrzeniem i nie wiem, co by się stało za chwilę, do czego doszłoby w stodole nieopodal lasu, gdyby w kręgu światła nie pojawił się znów Mateusz – niepostrzeżenie, tak samo jak przed chwilą był zniknął. Na jego widok zapadła zupełna cisza i wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

Mateusz w każdej ręce trzymał wiklinową klatkę. A kiedy postawił je na ziemi i podniósł z nich okrycia, a zwłaszcza gdy wychynęły z nich łebki kogutów, ze wszystkich gardeł wyrwał się krzyk radości.

¹⁰ Przestańcie się śmiać! Przestańcie!

– Oj, Isia, Kasia, Bernatka, oj, handze krwawa jatka – zawołał Ignac, a zresztą może i nie Ignac.

– Ci chłopci chyba poszaleli – usłyszałem szept wuju. – Gdzie my trafiliśmy?! Czy nie lepiej zająć pozycje defensywne?

– Nie wiem, gdzie trafiliśmy, wuju – odpowiedziałem również szeptem – ale coś mówi mi, że teraz nie możemy się już wycofać.

– Tak sądzisz, chłopcze?

– Zdecydowanie, wuju. O, już się zaczyna.

I rzeczywiście, kiedy dwaj mężczyźni otwierali klatki i wyjmowali z nich ptaki, Mateusz zbliżył się do nas, dał znak, abyśmy nie wstawali, uklonił się grzecznie i rzekł:

– Wasze wielmożności! Bitwa, którą zaczynamy, surowe ma kondycje. Ptak, co pada przed czasem bez tchnienia, przegrzywa. Jeśli jednak minie godzina i każdy kur żyw będzie, do panów sąd należy. Który ma piór więcej, który silniejszy, który krwi mniej stracił – ten zwycięzca. Co rzekiecie – święte. Ale sprawiedliwie rzecz macie. Tym oto chronometrem, panowie wielmożni, czas mierzyć będziecie. Aby dokładnie, aby akuratnie.

Przyjmując z rąk Mateusza zegarek w srebrnej kopercie, wuj Henryk uniósł brew i przełknął ślinę. Ruch grdyki był szybki i gwałtowny. Długi łańcuszek zwisał między jego palcami jak wahadło i zauważyłem, że wskazówki cebuli pokazują cztery minuty przed jedenastą. Tymczasem Mateusz szedł wzdłuż belek i podkręcając knoty naftowych lamp, rozjaśniał światło, aż wreszcie stanął na środku wysypanej piaskiem areny, klasnął w dłonie i zadeklamował śpiewnie:

Wuj Henryk

Zamknijcie drzwi od zapola
i stańcie tu, wokół gumna!
Niechaj ta walka rozsądzi,
zanim minie roku pora,
kto ma słuchać, a kto rządzić,
kto tu głupi, a kto mądry,
aż po przyszłe zimą gody,
dla narodu świętej zgody.
W imię boże, zaczynajmy!
W imię boże, nie zwlekajmy!

Na dźwięk prawdziwie ludowej poezji brew wuja Henryka uniosła się jeszcze wyżej, lecz nie zdążyliśmy wymienić uwag na temat rymów i pochodzenia śpiewki. Ptaki,zymane do tej pory po przeciwnych stronach areny, natarły na siebie z taką furią, chłopci zaś wrzasnęli z taką siłą gardel i płuc, że zadrżały deski stodoły, a i – nie będą ukrywał – zadrżało też moje serce.

Nigdy, nawet w najśmielszej fantazji, nie wyobrażałem sobie walki kogutów w ten sposób. Ptaki w niczym nie przypominały bokserów, którzy w pierwszych sekundach starcia tańczą wokół siebie, rozpoznając zręczność przeciwnika. Podobne były raczej do ruskich muzyków, którzy wypiwszy miarkę spirytusu ruszają do boju po śmierć lub zwycięstwo. Szczepiły się ze sobą i tłukły na oślep dziobami, podnosząc na arenie gęsty tuman kurzu.

– Koguciku, zrób mu zyku!¹¹ – wrzeszczeli chłopci z lewa.

– To je kur, a nie knur! – odkrzykiwali gospodarze z prawa.

¹¹ Koguciku, zrób mu krzywdę (staropolskie).

Wuj Henryk, mocno pobladły, spoglądał na srebrną cebulę. A kiedy czarno-czerwony kogut wskoczył na brązowo-czarnego i straszliwy wrzask ptaków zmieszany z rykiem chłopów zdawał się sięgać zenitu, wuj Henryk przechylił się do mnie i powiedział:

– Nie znoszę widoku krwi. Czy wiesz, chłopcze, że tego rodzaju walki zostały zakazane uchwałą parlamentu dokładnie w 1849 roku?

– Ależ wuju! – zaprotestowałem – w tym czasie nie obradował żaden polski parlament!

– Ja mówię o brytyjskim – dodał zniecierpliwiony – a ty myślałeś, że o jakim?

Tymczasem czarno-czerwony kur wpił pazury w brązowo-czarnego i siedząc na nim jak na worku, tłukł z całych sił przeciwnika po łbie, starał się trafić go w oko i zadawał mu szybkie ciosy w kark. W powietrzu fruwały pióra, a na piasku areny pokazały się ciemne plamy krwi. Wyglądało na to, że to ostatnie chwile brązowo-czarnego. Część mężczyzn wiwatowała już z tej okazji, sięgając po butelki z okowitą. Inni zaciskali palce w milczeniu lub ogryzali paznokcie. I nagle stała się rzecz niezwykła: kogut brązowo-czarny wykonał błyskawiczny obrót i oswabadzając się z uścisku przeciwnika, zadał mu kilka ciosów w brzuch. Czarno-czerwony, odrzucony z impetem na brzeg areny, nie bardzo pojmował, co się właściwie zdarzyło. Brocząc krwią, stał jak nieprzytomny, a z jego dzioba wydobywało się żalodne rżęzenie.

– Huż, huż! – krzyczeli mężczyźni. – Teraz go! Teraz! – Ale ptaki były wyczerpane i mimo poszturchiwań swoich opiekunów, mimo wrzawy i bojowych zawołań nie kwapiły się do walki.

– Ostrogi! – krzyknięto z ław. – Czas na ostrogi!

Spojrzałem na wuja Henryka. Jego twarz pobladła jeszcze bardziej. Miał suche, spierzchnięte wargi, co chwila zwilżał je językiem i nerwowo przetykał ślinę. A kiedy założono już kogutom ostrogi i srebrne półksiężycy zaśniły pełnym blaskiem w żółtym kręgu lampy, i gdy ptaki, znów gotowe do walki, pochylając łebki do przodu, przebierały pazurami w piachu, wuj Henryk zasłonił oczy dłonią i zachwiał się na krześle, jakby przez cały ten czas pił z chłopami wódkę i jakby ta wódka podeszła mu do gardła.

– Czy coś nie tak? – zapytałem.

Zaprzeczył ruchem głowy, w dalszym ciągu jednak nie patrzył na arenę, tylko w dół, na cyferblat srebrzystej cebuli, śledząc leniwy ruch sekundnika.

A w ptaki wstąpił nowy duch. Tańczyły wokół siebie coraz prędzej, wymieniały w doskoku błyskawiczne ciosy, padały na piasek, znów się podnosiły i dalej atakowały z impetem. Coraz częściej dochodziło do zwarcia w locie. Ostrogi darły wówczas pióra, wyszarpywały skórę i kawałki mięsa. Na piasek spływało coraz więcej krwi, a ryk mężczyźni przetaczał się pod ciemnym sklepieniem stodoły jak burza.

Usta wuja Henryka drżały, a jego oczy, przykute do zegarka, były nieruchome jak w letargu. Walka trwała już dobrych trzydzieści minut. Kogut czarno-czerwony stracił połowę grzebienia i lewe oko. Czarno-brązowy natomiast silniej broczył krwią i kulał na prawą nogę. Twarze chłopów płonęły. Z ostrym zapachem nafty i oddechów zmieszał się teraz zapach krwi – dziwnie słodki i mdlący. Srebrne ostrogi, oklejone piórami i piachem, nie błyszczały już tak srebrzyście.

Minęło jeszcze kilka, a może kilkanaście minut. Koguty znów ruszyły na siebie, zderzyły się w powietrzu, lecz zamiast spaść zaraz po wymianie ciosów, wzbiły się w górę ku belkom i krokwiom, tam gdzie kończyła się smuga światła i panowała ciemność. Ponad naszymi głowami zazgrzytały cienko ostrogi, zafurkotały pióra, usłyszeliśmy rozdzierające „krik-kikirik”, po czym oba ptaki, tworząc jeden kłęb o dwóch głowach i czterech skrzydłach, runęły w piasek, bryzgając we wszystkie strony krwią.

Ledwie wybrzmiało głucho „klap!”, na arenę wkroczył Mateusz, pochylił się nad kogutami, chwycił ptaki za nogi i uniósł je do góry, na znak, że oba są martwe.

W stodole powiało ciszą jak w czasie podniesienia. Lecz już po chwili chłopci otoczyli Mateusza, dotykali kogucich łbów, pokrwawionych skrzydeł i tułowi, nie dowierzając temu, co się stało.

– Wasz padł pierwszy – mówili – nasz był żyw, jeszcze kiedy spadał.

– Nieprawda! – pokrzykiwali inni. – To wasz był martwy już w powietrzu! Nasz ino zaniósł go w górę i dopiero wyzionął!

Nagle wszystkie oczy zwróciły się na nas.

Wuj Henryk przełknął ślinę i starł z policzka plamkę krwi.

– Panowie – powiedział cicho – one zginęły jednocześnie.

I zanim chłopci zdążyli cokolwiek powiedzieć, zanim zdążyli oprotestować ten werdykt, wuj Henryk podniósł się z krzesła, włożył odruchowo srebrną cebulę do kieszeni spodni, uczynił krok w stronę wyjścia i padł na arenę jak długi.

Kłęknałem przy nim i sprawdziłem puls. Był wyraźnie słabszy; serce jednak, na szczęście, biło równomiernie.

Mateusz, który również przypadł do leżącego wuja, zawołał:

– Trzeba go do chałupy zanieść! Hej, Kuba, Ignac, Walenty, ruszcie się, a żywo!

– Gorzałki mu dać! – zawołano z tłumu – gorzałeczki!

Usłuchano jednak Mateusza. Trzej mężczyźni ułożyli wuja Henryka na wielkim kozuchu i wynieśli go ze stodoły. Podążyłem wraz z nimi. Natomiast hałaśliwa czereda ruszyła za nami, formując żywiołową procesję. Na przedzie niesiono dwa martwe ptaki uwiązane do długiego drąga. Dalej szli chłopcy z zapalonymi pochodniami. Maszerujący zaś z tyłu bili w blachy, pokrywki i drewniane kołatki. W oknach chałup pojawiły się twarze kobiet i dzieci. W obejściach szczekały psy, a na skraju osady odezwała się pożarowa syrena.

Myślałem o lekarzu. Wkrótce jednak wuj Henryk odzyskał przytomność i – ułożony na łóżku w izbie Ignaca – szybko wracał do siebie. Ja tymczasem siedziałem w kuchni, częstowany przez chłopów gorzałką.

Przy pierwszym kieliszku słuchałem, jak zaraz po wojnie przybyły tam zza Buga bose antki i zajęły parę pustych chałup, i jak zaraz wybuchła sprzeczka. O co, nikt dzisiaj już nie pamięta, ale poląła się krew. Karpiuki zabiły Bieszka. A miejscowi z zemsty podpalili chałupę i wszystkie Karpiuki upiekły się nocą jak gołębie.

Przy drugim kieliszku trup słał się już gęsto, po wsi szalał czerwony kur i było bardzo źle.

A gdy wychylałem trzeci kieliszek, do wsi przybył Mateusz. Chociaż ze Wschodu, człek święty: ziołami ludzi i zwierzęta leczył, bez żadnej różnicy, czy kto z Kaszubów był, czy zza Buga.

Czwarty kieliszek wypilem już jednym haustem. Przy tej kolejce wszyscy ze wsi zebrali się na Mateuszowe wezwanie i usłuchali go, bo jakże nie usłuchać świętego człowieka? I odtąd w Pięknym Polu zamiast ludzi walczyły koguty i we wszelkiej zwadzie czy pyskówce ten musiał ustąpić, czyj kur przegrał. Bo przysięgę wcześniej złożyli, że będzie to dla nich jako boży sąd.

Przy piątym kieliszku wspomniano najstynniejsze koguty, lecz po szóstym znowu zapanowała ponurość. Co będzie dalej? Kto komu ma ustępować przez następny rok? Bo nigdy jeszcze tak się nie zdarzyło, aby dwa kury za jednym zamachem padły.

A kiedy piłem kieliszek siódmy, chłopci pograżyli się w zagadkowej zadumie i melancholii, bo, co tu gadać, zwad prawdziwych od dawna już tu nie było, a ta walka, na którą czekali cały rok, na którą chowali najlepsze koguty i na którą przyjmowali zakłady, choć dawała im wiele uciechy i emocji, czy jednak mogła im wystarczyć?

– Bandze trzeba na nowo komu łeb rozbuchać – powiedział Ignac i nalał mi ósmy kieliszek samogonu.

Nie wypilem go jednak. Bo gdy trzymając stopkę w palcach, już miałem go przechylić do gardła, usłyszałem za plecami głos wuja Henryka:

– Panowie! ten młodzieniec jest pod moją opieką. I proszę go więcej nie częstować, bo dziś jeszcze muszę z nim wrócić do domu. – Mnie zaś szepnął do ucha: – Myślałem, że wyzbyłeś się złych skłonności. Zbieramy się, chłopcze!

Zakładaliśmy narty przed chałupą Ignaca, a chłopci pokazywali nam drogę: najpierw dolinę prosto, potem obok wielkiego kamienia w lewo, a potem skręcić za drewnia-

nym mostkiem, którego nie sposób ominąć, jadąc wzdłuż potoku.

Wskazówki piękнопolan okazały się bardzo precyzyjne. Wuj Henryk nie mógł się temu nadziwić.

– Wszystko się zgadza – powtarzał co chwila, gdy mijaliśmy kolejno orientacyjne punkty. – Wszystko idealnie się zgadza.

A potem nie mówił już nic. I dopiero gdy stanęliśmy na oświetlonym wzgórzu, gdzie nie grała już muzyka ani nie było narciarzy ignorujących reguły stylu klasycznego, nieruchomy zaś wyciąg wyglądał jak nieczynna linia tramwajowa, dopiero wówczas wuj Henryk, patrząc na dalekie światła miasta między ośnieżonymi świerkami i dyszel Wielkiej Niedźwiedzicy, powiedział:

– Nigdy nie mogłem znieść widoku krwi. W powstaniu musiałem zamykać oczy. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to znaczy biec pod ogniem z zamkniętymi oczami. Tyle razy...

I ruszyliśmy w dół, podnosząc za sobą cienki jak welon obłok śniegu. Na tym zakończyła się nasza nocna wyprawa. Nie na tym jednak kończy się ta historia.

Pięć miesięcy później, w połowie maja, wuj Henryk zapukał przedpołudniem do naszych drzwi. Miał na sobie bluzę z demobilu, krótkie spodnie safari, solidne buty traktory i wełniane skarpety wywinięte na kostki.

– Czuwaj! – zawołałem. – Czyżby nowa przechadzka?

Wuj jednak nie był usposobiony do żartów.

– Te koguty nie dają mi spać – powiedział. – Pójdiesz ze mną?

Pogoda była piękna. Szliśmy przez bukowe polany, przez zagajniki i sosnowy bór, w powietrzu pachniało ziołami i ży-

wicą, śpiewały ptaki, lecz idylliczny nastrój nie poprawił humoru wuja. Przez cały czas milczał, co chwila spoglądając na mapę.

Drewniany mostek odnaleźliśmy bez trudu. Podobnie, dwa kilometry dalej, narzutowy głąz. I tak samo dolinę, w której leżało Piękne Pole. Ale ani śladu zabudowań. A w miejscu, gdzie powinna była stać stodoła, rosła zdziczała jabłoń – od lat nieszczepiona i nieprzycinana.

– Może to było jednak gdzie indziej... – powiedziałem.

Wówczas wuj Henryk wyciągnął z chlebaka stare mapy i odbitki jeszcze starszych map i pokazał mi wszystkie swoje obliczenia, wszystkie szkice, jakie wykonał przez te pięć miesięcy, wyznając, że był tu już kilkanaście razy i badał całą tę okolicę, ale nie natrafił nigdzie na Piękne Pole ani tym bardziej na Szenfeld.

Wpatrywałem się w mapę z czasów Wolnego Miasta, a potem w mapę z pieczętką pruskiej landantury, a wreszcie obie te mapy porównywałem długo z mapą sztabową Ludowego Wojska Polskiego z pieczętką „ŚCIŚLE TAJNE” i wielokrotnie zaznaczałem miejsce, w którym staliśmy właśnie pod dziką jabłonią, a także trasę naszej narciarskiej wycieczki – i w końcu, zdumiony nie mniej od wuja, musiałem przyznać mu rację.

– Ktoś bawi się z nami w ciuciubabkę – powiedział cicho wuj Henryk. – Albo w naszym mieście przybyło dwóch wariatów: ty i ja.

Nic na to nie powiedziałem. Zeszliśmy do strumienia, usiedliśmy na trawie i wuj wy dostał z chlebaka kanapki, pomidory i obowiązkowe jaja na twardo. Jedliśmy w milczeniu, a kiedy w jakimś momencie chciałem go zapytać, co sądzi o niewyjaśnionych przypadkach w historii lub o historiach

Wuj Henryk

niewyjaśnionych przypadków, ujrzałem w jego dłoni coś jeszcze: kieszonkowy zegarek w srebrnej kopercie.

– Zapomniałem go wówczas zwrócić – powiedział wuj Henryk – i z tego powodu nie czuję się najlepiej. Czy sądzisz, że powinienem dać ogłoszenie do gazety?

– Tak, zawsze można dać ogłoszenie – powiedziałem.

Cud

Ogrodnik nazywał się Ksawery. Mówiono: „Idę do Ksawerego po herbaciane róże”. Albo: „U Ksawerego jest najlepsza rozsada pomidorów”. Tak naprawdę nie było jednak żadnego Ksawerego. Państwowym Zakładem Ogrodniczym nr 17 zarządzał Gruby Handzo. Cuchnął piwem i potem, miał bielmo na lewym oku i mówił z okropnym akcentem, jakby dopiero przed chwilą wyjechał z kopalni na powierzchnię grządek w Górnym Wrzeszczu. Dlaczego więc mówiło się: „Idę do Ksawerego”?

Tego nikt do dzisiaj nie potrafi wyjaśnić. Jest to jedna z tych tajemnic, które tajemnicami pozostaną. Może dawno temu, kiedy nie było jeszcze koszar pruskich huzarów i Górnego Wrzeszcza, mieszkał tu jakiś Ksawery? Tego nie wiem. Słyszałem za to, iż zaraz po wojnie Handzo do tego stopnia wysługiwał się komunistom, że podziemie wydało na niego wyrok śmierci. Dlatego uciekł ze Śląska i szukał szczęścia tu, na Wybrzeżu, gdzie miejscowy komitet partii dał mu posadę dyrektora.

Handzo ciekawił mnie bardzo. Ilekroć widziałem jego brzuch wylewający się z flanelowej koszuli, ilekroć spotykałem go wśród inspektów pokrzykującego dobrotliwie na robotnice, czułem dreszcz, bo nad Handzem unosiła się niejasna, a przecież wyraźna aureola śmierci. Gdyby znaleziono go któregoś ranka podziurawionego kulami (najlepiej w szklarni pełnej kwiatów), moje niejasne marzenia, moje sekretne oczekiwania na pojawienie się w naszym mieście prawdziwych partyzantów, zostałyby spełnione. Czasem we śnie słyszałem wyraźny pisk opon. To przy ulicy Reymonta

hamował czarny citröen, po czym trzej pochmurni mężczyźni w skórzanych kurtkach i wysokich butach schodzili wąską ścieżką między sadzonkami bratków i szli alejkami bukszpanu; wreszcie ciszę poranka przerywał szczęk repetowanej broni i huk wystrzału, którego echo niosło się daleko; Handzo padał w miękką ziemię pośród storczyków i bylin, a czarny citröen odjeżdżał prędko w stronę Brętowa i zniknął za zakrętem szosy. Płynęły jednak lata i Handzo miał się dobrze. Wielu partyzantów rozstrzelali komuniści, wielu musiało oddać broń, a ci, co wychodzili z więzień i powracali z Syberii, nie mieli już ochoty strzelać.

Handzo w każdym razie znał się na ogrodnictwie. A najlepiej na kwiatach. Jego róże, alpejskie fiołki, piwonie, irysy, goździki, jego cynfolie, chryzantemy i astry, a także storczyki hodowane w szklarniach były najpiękniejsze w mieście. Trzy razy w roku kupowałem tam róże i cieszyłem się bardzo na samą myśl, że wejdę przez żeliwną furtkę między długie grządki, że będę krążył między szklarniami, z których bucha tropikalny zapach wilgotnej ziemi i łądyg, że zobaczę piramidy doniczek, a między nimi robotnice w niebieskich kombinezonach. Nigdy potem nie widziałem kobiet tak wesołych przy pracy. Śpiewały piosenki albo opowiadały dowcipy, po których wybuchał dźwięczny śmiech. Pachniały nacią, torfem, tanią machorką i kwiatami, i to niezwykle połączenie, ten osobliwy zapach, który czułem z daleka, patrząc na pochylone sylwetki kobiet, na migające w słońcu kraciaste chustki i błękitne bluzy, wprawiał mnie w stan zachwyty. Żałowałem, że żadna z nich nie jest moją matką. Mógłbym tu przychodzić każdego dnia i być wówczas blisko ich ciepła, które udzielało się także mojemu cia-

łu i krążyło w nim coraz szybciej. Ale mama nie pracowała u Ksawerego. I przychodziłem tu tylko przed jej imieninami, przed imieninami ojca i przed przyjazdem dziadka Antoniego, który odwiedzał nas raz w roku, najczęściej w ostatnich dniach sierpnia.

– Idź do Ksawerego – mówiła wówczas mama – i kup pięć róż. Najlepiej goldstarów. Lecz jeśli – zastanawiała się wolno – Goldstary będą miały plamki na płatkach jak w zeszłym roku, koniecznie proś o odmianę America! Zapamiętasz? Goldstar lub America!

Ojciec lubił swojego teścia, ale wszystkie te przygotowania i atmosfera niezwykłości bardzo go drażniły.

– Po co od razu róże? – pytał każdego roku tak samo. – Czy Antoni jest kobietą? Nie, Antoni nie jest kobietą – odpowiadał sam sobie głośno – i te kwiaty na pewno wydadzą mu się śmieszne.

Ale mama wiedziała, co robi. Bo kiedy pojawiał się dziadek Antoni, musiało być jak przed wojną: biały obrus; zupa nalewana z porcelanowej wazy, a nie, jak co dzień, z garnka; po drugim daniu obowiązkowy kompot i jeszcze deser; a na stole, w kryształowym wazonie, koniecznie bukiet róż – właśnie żeby było jak dawniej, żeby czas na chwilę się cofnął, żeby w niczym nie przypominał tego, co rozciągało się za oknami naszego mieszkania.

– Taka i tam celebra! – mawiał ojciec. Ale i on rozumiał, że kryształowy wazon, róże, porcelanowa waza i srebrne łyżeczki, które czyściłem całe popołudnie, że to wszystko nie jest symbolem przeszłości, lecz wyzwaniem rzuconym czasowi obecnemu. Kiedy więc przynosiłem róże od Ksawerego, mama brała je delikatnie w palce, przykładała płat-

ki do policzka i wkładała kwiaty pojedynczo do wazonu – i moment ten był dla niej niewątpliwie chwilą szczęścia: wszystko miała przygotowane, pokój jaśniał słońcem i zaraz mieliśmy wyjść na dworzec po dziadka Antoniego.

Pojawiał się na peronie ze skórzaną walizką, zawsze w rozpiętym trenczu i lekko przekrzywionym kapeluszu, podchodził do nas owiany zapachem węglowych spalin i pary z lokomotywy, i w nawoływaniu podróżnych, w trzasku zamykanych drzwi i łomocie pocztowych wózków słyszeliśmy jego głos:

– No i jak tam żyjecie, moi mili, w hanzeatyckim grajdołku?

Tamtego jednak lata, gdy wszyscy mówili o chorobie Handzy, o tym, że nie pociągnie już długo, dziadek Antoni przygotował nam niespodziankę, nadsyłając telegram: „PRZY-LATUJĘ Z KRAKOWA STOP CZEKAJCIE NA LOTNISKU W PONIEDZIAŁEK STOP CAŁUJĘ ANTONI STOP”.

– Dlaczego nie przyjeżdża koleją? – dziwiła się mama. – Zawsze przecież podróżuje pociągiem. Co to za dziwny pomysł?

– Na starość każdy staje się trochę ekscentryczny – stwierdził ojciec. – Cóż w tym złego?

Ale ona nie słyszała tych słów. Pochylona nad blankietem, czytała wiadomość kilka razy i w jej spojrzeniu, oprócz niedowierzania, pojawił się niepokój. I nawet róże, które przyniosłem w poniedziałek rano od Ksawerego, nawet ich purpurowe płatki i krople rosy na łodygach nie mogły tego zmienić. Mama nie lubiła nowych sytuacji, zaskakujących zwrotów i nieoczekiwanych telegramów. Nigdy nie przynosiły niczego dobrego; jej zdaniem, zapowiadały zawsze kłopoty. Toteż kiedy jechaliśmy dwójką przez aleję Zwycięstwa, a następnie czwórką, od gmachu filharmonii, przez

aleję Karola Marksa, a wreszcie siódemką, która niemiłosiernie wlokła się ulicą Feliksa Dzierżyńskiego, i gdy dojechalśmy w końcu do tramwajowej pętli niedaleko stadionu „Gedanii”, jej twarz była blada i pełna napięcia. Jakby wierzyła w magię liczb, a sekwencja numerów tramwajowych linii miała w sobie jakieś niepokojące znaczenie. A kiedy staliśmy już przy budynku dworca lotniczego, patrząc na awionetki i stare dwupłatowce obok hangarów, gdy wraz z lekkim powiewem wiatru, który wkradł się w leniwe powietrze i poruszył jej włosy, z głośnika dobiegł nas komunikat o spóźnieniu samolotu z Krakowa, przez twarz mamy przebiegł raptowny skurcz i poczułem dotyk jej ręki na ramieniu. Ale to był dopiero początek.

Po kwadransie w tłumie oczekujących dało się odczuć pewne zdenerwowanie. Na czystym niebie nie pojawiła się srebrna sylwetka IŁ-a, a głośnik milczał.

– Dlaczego nic nie powiedzą?! – złościła się pani w czarnym toczku. – Powinni nam wyjaśnić!

– Sami pewnie nie wiedzą, co się stało! – powiedział pan z jamnikiem na smyczy. – Prawda, Josif?

Josif szczechnął wesoło i pomerdał ogonem, a jego właściciel snuł przed słuchaczami rozmaite hipotezy. Może popsuł się kompas? A może zasłabł pierwszy pilot i nawigator? Może musieli lądować awaryjnie w Toruniu albo w Grudziądzu, bo paliwo wyciekło ze zbiornika?

– Niech pan przestanie! – przerwał młody człowiek w okularach. – Trzeba iść do informacji.

Kilka osób, z okularnikiem na czole, poszło do budynku dworca. Mama jednak nie ruszyła się z miejsca. Stała wsparta rękami o żelazną barierkę pomalowaną w biało-czerwo-

ne pasy jak graniczny szlaban i patrzyła w niebo, jakby tam już za parę sekund pojawić się miał samolot. Ale niebo było puste i wzrok mamy na próżno błędził w błękitnej przestrzeni, szukając jakiegoś znaku. Tymczasem delegacja wróciła z dworca i okazało się, że informacja jest nieczynna.

– To skandal! – powiedziała pani w czarnym toczku. – Jak oni nas traktują!

– W czasie wojny zdarzały się gorsze rzeczy – stwierdził mężczyzna z jamnikiem. – Kiedy zrzuciałem bomby na Hamburg, trafili nas w bebechy i musieliśmy, proszę szanownej pani, skakać do kanału La Manche. Prawda, Josif? – Pies obrócił niespokojnie głowę, ale nie szczeknął tym razem i nawet nie poruszył ogonem. – Na szczęście wyłowiła nas angielska łódź podwodna. I czasem myślę sobie, że w pasażerskich samolotach też powinny być spadochrony. Bo gdyby na przykład pożar... Albo nagła zadyszka obu silników... Co wtedy?

– To oni nie mają spadochronów?! – pani w czarnym toczku przestraszyła się bardzo. – Czy to możliwe?

Mama spojrzała na rozmówców. Jej zielone oczy, które czasami stawały się brązowe, teraz przybrały barwę szarą, jakby odbijał się w nich popiół albo jesienne chmury.

– Mają tylko kamizelki ratunkowe, na wypadek wodowania – odpowiedział właściciel psa. – Ale jakie może być wodowanie nad Warszawą? Albo nad Bydgoszczą?

Jamnik zaszczekał niespokojnie, pani poprawiła sobie na głowie czarny toczek, młody człowiek zdjął okulary i przecierał je chusteczką. I właśnie wtedy, gdzieś daleko, w gorącym powietrzu sierpniowego południa, w powietrzu, które falowało nad rozgrzanyymi płytami lotniska, nad suchą tra-

wą i nad łukami hangarów, dał się słyszeć odległy, ale wyraźny dźwięk silników.

– Tam! – wykrzyknął młody człowiek. – Stamtąd leci!

I rzeczywiście, po chwili sylwetka samolotu stała się widoczna. Srebrne skrzydła i kadłub iliuszyna lśniły w słońcu jak pancerz, a niski tembr silników stawał się coraz głośniejszy.

Maszyna przeleciała nad czerwonymi dachami domów, jej cień sunął już po pasie startowym, lecz nagle, gdy wydawało się, że schodzi właśnie do lądowania, silniki zagrały wyższym tonem, pilot dodał gazu, podciągnął stery i srebrny iliuszyn z dziadkiem Antonim na pokładzie przemknął nad lotniskiem, idąc coraz wyżej, aż minął zieloną kępę drzew cmentarza na Zaspie i zniknął gdzieś nad morzem.

W tłumie oczekujących zawrzało. Kilka osób znów pobiegło do budynku, a ci, co zostali przy barierce, mówili krótkimi zdaniami.

– Awaria sterów...

– Trymetr...

– Hamulce...

– Pęknięte skrzydło...

– Gdyby miał zepsuty trymetr albo pęknięte skrzydło – powiedział właściciel Josifa – już dawno leżałby w kawałkach.

Pani w czarnym toczku zapłakała. Ktoś inny zaczął szepciem modlitwę, ale był to szept sceniczny: każde słowo zdrowaśki brzmiało w rozgrzanym powietrzu wyraźnie i przez chwilę zapanowała cisza jak w kościele.

Nagle znowu zagrały silniki. Iliuszyn powracał od strony zatoki. Gwałtownie obniżył lot, zakołysał parokrotnie kadłubem, po czym znów rezygnując z lądowania, przeleciał nad lotniskiem – jakby uwiązany był do niewidzialnej nitki.

– Ten pilot jest chyba pijany! – wrzasnął młody człowiek.

– Jeszcze sekunda i nie podniósłby maszyny! Co za kretyn!

– Nie, nie – odezwał się pan z jamnikiem – on nie może po prostu wyciągnąć podwozia. Wszystko jest jasne, proszę państwa.

– Jezus Maria! – krzyknęła pani w toczku i otarła łzy. – Jak to nie może wyciągnąć?

– Nie może otworzyć klap podwozia, proszę pani. To się nazywa blokada kół.

– No to co będzie?

– Zobaczymy. W najgorszym razie lądowanie na brzuchu. Bez kół.

– Bez kół?! O Boże!

– To się zdarza. Kiedy lądowałem w Halifaksie, proszę państwa, na ciężkim jak czołg lancasterze, mieliśmy podobny przypadek.

– I co? Jak się to skończyło?

Oczy wszystkich oczekujących zwrócone były na właściciela Josifa.

– Normalnie – odrzekł spokojnie, a nawet jakby z pewnym zadowoleniem. – Nawigator złamał trzy żebra, a strzelec rozbił sobie głowę, o tu, na czole.

– A pan?

– Miałem kilka siniaków. A potem – trzytygodniowy urlop w Szkocji. Prawda, Josif?

Josif szczerknął wesoło, a ludzie wokół roześmiali się głośno. Był to jednak śmiech krótki: nie trwał dłużej niż kilka machnięć psim ogonem.

A kiedy pilot RAF-u wyjaśniał dalej, że pilot iluszyna musi „wylatać do końca” całą benzynę („bo nie ma nic gorszego,

proszę państwa, niż łupnąć brzuchem maszyny w pas, gdy ma się w baku jeszcze trochę paliwa”), kiedy wyjaśniał, w jaki sposób samolot „na ostatnich kroplach” musi podejść do lądowania, tak żeby nie utracić prędkości i nie runąć w ostatniej chwili na ziemię, mama powiedziała:

– Chodźmy stąd. Muszę zadzwonić po ojca.

W budynku panowało zamieszanie. Białe czapki pilotów, ich granatowe uniformy i złote guziki migały tam i z powrotem w promieniach słońca, stewardesy biegały nerwowo z kąta w kąt, stukając obcasami, a milicjanci zgromadzeni przy barze pili wodę sodową, ocierali pot z twarzy i wymieniali uwagi, w których jak monotony refren powtarzały się słowa „trzaśnie”, „rypnie” i „huknie”, a także „pieprznie” i „jebnie”.

Mama nie miała drobnych. Zanim więc zaczęła telefonować, podeszła do kasy, aby rozmiąć pieniądze. Gdy stała tam, czekając na bilon, i później, gdy wykręcała wreszcie z automatu numer ojca, patrzyłem na jej niebieską sukienkę w białe kwiaty, na białą torebkę i nowe sandały, które włożyła tego dnia po raz pierwszy. Cienkie rzemyki delikatnie obejmowały jej kostki, po czym, od srebrnych klamek, spływały w dół aż po palce. Wiedziałem, że wszystko to – niebieska sukienka, biała torba i nowe sandały – było przez nią wybrane z myślą o dziadku Antonim, któremu zawsze chciała się podobać, któremu nigdy nie opowiadała o swoich kłopotach i którego bardzo kochała.

A kiedy uzyskała już połączenie, gdy wykrzykując w słuchawkę, kazała ojcu natychmiast zwolnić się z pracy, wziąć taksówkę i pędzić do Wrzeszcza na lotnisko, gdy zirytowanym głosem powtarzała po kilka razy to samo, bo ojciec nie mógł widocznie zrozumieć, czy samolot już spadł, czy dopie-

ro spadnie, gdy przekładając słuchawkę z jednej ręki do drugiej, odrzucała gwałtownym ruchem głowy opadające jej na czoło włosy, ja myślałem o dziadku Antonim, o nim i o spadochronie, którego, według pilota RAF-u, nie było na pokładzie srebrnego iliuszyna. Ba, gdyby tam był! Gdyby dziadek Antoni miał do dyspozycji spadochron, na pewno kazałby otworzyć drzwi i skoczyłby śmiało w dół, po czym jak ptak poszybowałby nad naszym miastem. Widziałem go, jak nadlatuje coraz większy nad nasz dom przy ulicy świętego Huberta, jak czasa spadochronu zawisa na konarach kasztanów i jak dziadek Antoni przecina wtedy szczyrykiem szelki, i zeskakuje na ziemię. A gdyby wylądował u Ksawerego, w samym środku ogrodu, gdzieś między polem róż a inspektami? Wtedy zaraz otoczyłyby go kobiety i każda ofiarowałaby mu kwiaty. I chociaż Handzo krzyczałyby, że nie wolno, że to na pewno szpieg zrzucony tylko przez pomyłkę za dnia, kobiety śmiałyby się głośno i odprowadziłyby dziadka do żelaznej furtki, a on, z wielkim bukietem róż gatunku America, zastukałby do drzwi i rzekł: „Takiego powitania jeszcze nigdy nie miałem!”. Bo chociaż dziadek Antoni nie był w swoim życiu spadochroniarzem, był jednak żołnierzem i kiedy ścigał carską, a później bolszewicką armię, kiedy maszerował przez wsie i miasteczka, wyrzucając z Polski Budionnego, zawsze otaczały go kobiety i zawsze obsypywały kwiatami, a on oddawał im honory, bo chociaż żadna z nich nie była jego żoną ani narzeczoną, on był kochankiem wszystkich kobiet, był ich kochankiem, gdy szedł umierać za każdą z nich pod Radzyminem, Lwowem czy Warszawą.

Mama odłożyła słuchawkę. Wyszliśmy z budynku dworca lotniczego w gorące powietrze sierpniowego popołudnia.

Samolot zdążył wrócić znad wzgórz i sunął teraz nad dachami Wrzeszcza.

– To jest sowiecka maszyna – powiedział młody człowiek w okularach – i jak się zatnie, to ani rusz.

Ale zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, iluszyń zszedł niżej i gdzieś nad torami kolejowymi wysunął lewą klapę podwozia, a wraz z nią koło.

Ludzie krzyczeli jak opętani. Lecz radość trwała krótko. Prawa klapa nadal pozostawała zamknięta, lewa zaś, wraz z wyciągniętym kołem, tak szczęśliwie dopiero co uruchomiona, mimo widocznych prób pilota nie dawała się z kolei na powrót schować.

Huk silników był coraz większy. Samolot zdawał się znowu podchodzić do lądowania i wśród krzyków: „Co on robi?!”, „Zabije ich! Zabije!” usłyszałem głos mojej mamy:

– Nie! Boże, nie!

I wtedy pilot wykonał coś, co przekraczało prawa fizyki, jak kuglarska sztuczka: zszedł maszyną prawie na sam pas, uderzył tym jednym wystającym kołem w betonową powierzchnię, po czym przy makabrycznym ryku motorów uniósł samolot w powietrze i wyprowadził go, już normalnym lotem, w stronę morza.

– To nie na moje nerwy – powiedziała pani w czarnym toczku – nie mogę na to patrzeć.

Tymczasem oderwana część podwozia sunęła ślizgiem po startowym pasie; spod stalowej łapy szły iskry jak z kowadła, wreszcie grube koło odłączyło się od uchwytów i podskakując jak piłka, wpadło na trawę, a następnie pomknęło dalej aż do ściany hangaru, która przyjęła uderzenie z głuchym jękiem.

Jamnik ujał jak wściekły. Od strony miasta nadjeżdżały wyjące karetki pogotowia, a moja mama z uniesioną głową śledziła sylwetkę samolotu, który osiągnąwszy odpowiednią wysokość, krążył teraz nad lotniskiem jak leniwy żuk.

– Przecież musiał to zrobić! – krzyczał właściciel Josifa. – Musiał! Czy państwo zdają sobie sprawę, co to jest lądowanie na jednym kole?

Pani w czarnym toczku zasłabła. I pierwsza załoga karetki pogotowia miała zajęcie. Sanitariusze ułożyli panią na noszach, szybko zatrzasnęli drzwiczki i na sygnale popędzili do szpitala. Tymczasem nowych karettek stale przybywało, podobnie jak lśniących czerwonym lakierem strażackich wozów, które wjeżdżały na płytę lotniska i ustawiały się w bojowym szyku tuż obok hangaru. Strażacy rozwijali długie płócienne węże, na ich hełmach błyskało słońce, a rozłożone na murawie nosze wyglądały z daleka jak leżaki w uzdrowisku oczekujące na pogodnych kuracjuszy.

Przy barierce przybywało gapiów z miasta. Pojawili się też reporterzy gazet z aparatami fotograficznymi. A ja myślałem o dziadku Antonim i o śmierci. Czy bardzo się jej boi, tam, w górze, widząc przez okrągłe okienko wszystkie te przygotowania? I czy modli się o cud jak inni pasażerowie? I co jest lepsze: śmierć nagła – od kuli lub w katastrofie, czy raczej śmierć powolna, która przychodzi do łóżka chorego i zabiera każdego dnia trochę życia ze sobą, a potem wraca znowu i znowu zabiera trochę, i droczy się tak z człowiekiem długo, i męczy go okropnie, nim zamkną mu powieki i zapalą mu ostatnią świecę. I co jest lepsze: skoro w samolocie nie można pożegnać się właściwie z nikim bliskim, a tam, w szpitalu, pożegnać się trzeba ze wszystkimi?

Samolot krążył nad naszym miastem i nad lotniskiem po spirali, raz w dół, raz w górę, a ja zastanawiałem się, jaka śmierć jest lepsza, a która bardziej okropna. Handzo od kilku tygodni umierał w łóżku i krzyczał po nocach, „z bólu i ze strachu”, jak mówiono, „między zastrzykami morfiny”, ale sama śmierć była dla niego wciąż odległa, jakby poza zasięgiem wzroku; nie, nie wiedział, kiedy to nastąpi, i musiał czuć, że mimo wszystko będzie żył dalej i to uczucie nie opuszczało go pewnie do ostatniej chwili, podczas gdy dziadek Antoni, tam, w górze, nietknięty żadną chorobą czy bólem, był wyprowadzany właśnie na egzekucję.

O czym mógł myśleć? O mnie? O mamie? O podróżach samolotem? O tym, że wszyscy jesteśmy skazani i jeśli jest jakieś honorowe wyjście z tej sytuacji, to takie tylko, w którym sami wybieramy sobie czas i miejsce? A może myślał o różach ściętych dla niego dzisiaj rano u Ksawerego i tych, które uratowały mu już kiedyś życie?

Gdy wrócił z wojny do swojego miasta i znalazł narzeczoną, za ostatnie pieniądze kupił jej skromny bukiet róż i powiedział: „Wyjdiesz za mnie. Ale najpierw zbuduję dom!”. Wkrótce potem spotkał Rozenfelda, założył z nim do spółki skład konsygnacyjny i handel drzewem, i chociaż wszyscy ostrzegali go: „Antoni, nie wyjdiesz na tym dobrze!”, to dziadek Antoni uśmiechał się tylko i co tydzień przynosił swojej narzeczonej bukiet większy o jedną różę. Albowiem interesy szły dobrze, dom był już prawie wykończony, a kiedy wniesiono nowe meble, dziadek Antoni zaniósł swojej narzeczonej bukiet z sześćdziesięciu siedmiu róż, oficjalnie poprosił przyszłych teściów o rękę ich córki, po czym wspólnie zasiędlili do herbaty, wina i wiedeńskich ciasteczek. Nie podejrze-

wał, tańcząc z narzeczoną walca, polkę i mazura, że jego los, jego szczęście i powodzenie, że wszystko to jest jeszcze bardziej kruche niż wiedeńskie ciasteczka. W Nowym Jorku tego samego popołudnia zaczynał się właśnie wielki krach, a po kilkunastu dniach ta sama fala dotarła do giełdy w Londynie, Paryżu, Berlinie, a stamtąd płynęła coraz dalej i coraz szybciej, aż przez Warszawę dotarła w końcu do jego miasteczka i na tydzień przed ślubem dziadek Antoni miał już pięć walizek papierowych pieniędzy. Co gorsza, stale ich przybywało, banknoty mnożyły się z zastraszającą prędkością, w jakimś zawrotnym, owadzim tempie, wkrótce zabrakło już walizek, następnie kufrów, aż wypełniły kantor składu konsygnacyjnego od podłogi do sufitu. Rozenfeld uciekł z rodziną za granicę, podobno do Budapesztu, a dziadek Antoni w dzień swojego ślubu został bez składu konsygnacyjnego, bez domu i bez nowych mebli; miał za to kilkanaście skrzyń wypełnionych polskimi markami, za które kupić mógł kwiaty, ale nie weksle – swoje i Rozenfelda. Wtedy zawiózł pieniądze do ogrodnika, kazał za wszystko zrobić piękny bukiet róż i wraz z listem pożegnalnym, który skreślił naprędce, wysłał go narzeczonej przez posłańca. Sam po raz ostatni poszedł do domu, który nie zdążył być ich domem. Czule dotykał mebli, gładził poręcze, ściany i obicia, a gdy przykładał już łufę do skroni i wodził wskazującym palcem po chłodnym jęczyczku spustu, usłyszał głos: „Bój się Boga, Antoni! Czy twoje życie mniej jest warte od papierowych pieniędzy?”. Była to jego narzeczone. „Jak mnie znalazłaś?”, zapytał, odkładając rewolwer. Wtedy babka Irena, która nie była jeszcze babką ani nawet matką, padła mu w ramiona i łkając powiedziała, że gdyby przysłał sam list, bez bukietu, nie wiedziałyby gdzie go szu-

kać, ale te róże, piękne róże odmiany Goldstar i America, które on kupił za kilkanaście kwadrylionów marek polskich, skierowały ją tutaj, natchnęły jej kobiecą intuicję i kazały biec prędko, jak na skrzydłach, jeśli chciała zdążyć na ślub, nie na pogrzeb. I chociaż nie mieli już nigdy własnego domu ani składu konsygnacyjnego, dziadek Antoni zaś sprzedawał odtąd radia „Elektrid” produkowane w Wilnie, zawsze w rocznicę tamtego dnia, na pamiątkę ślubu i ocalenia, dziadek kupował babce Irenie bukiet róż, wyłącznie odmiany Goldstar i America.

Być może zresztą tam, w górze, dziadek Antoni nie myślał o żadnej z tych rzeczy, bo wierzył w cud, który go ocali?

Ojciec przedzierał się przez gęstniejący tłum. Był zdenerwowany: nie mógł od razu nas znaleźć. Miał skupioną twarz, lekko zmarszczone czoło, a pod pachami, na płóciennej koszuli, plamy potu. Gdy przygarnął mamę i przytulił ją do siebie, wybuchnęła głośnym płaczem.

– To się nie uda! – powtarzała. Samolot się rozbija. A ona nie zdąży nawet porozmawiać z ojcem. – Nigdy nie popłynęliśmy razem na Hel! I nie zrobiliśmy tylu rzeczy – mówiła coraz ciszej.

Ojciec głaskał ją po głowie i w ogóle się nie odzywał, bo w takich sytuacjach lepiej jest nic nie mówić. A samolot dalej krążył nad naszymi głowami po niewidzialnej linii, która przypominała spiralę. Kiedy wspinał się pracowicie w górę, podobny był do srebrnego krzyża, a kiedy opadał w dół lub przechylał się na bok, zmieniając kurs, przypominał błyszczący znak zapytania.

Nie, dziadek Antoni nie myślał chyba wtedy o śmierci. Zastanawiał się raczej, co będzie jadł na obiad albo dokąd pój-

dzie nazajutrz na spacer. Może na molo w Sopocie? Albo do Opery Leśnej? A może na szanice i reduty, z których co roku puszczaliśmy nad fosami latawce? Widział to wszystko z góry jak na dłoni i zazdrościłem mu tej perspektywy. Zobaczyć całe miasto i zatokę jak na mapie! Ujrzyć porty, stocznie, ulice, kościoły, wzgórze i wąski pasek plaży, tak jak nie można ich dostrzec codziennie, nawet z wieży Najświętszej Marii Panny! Nagle dziadek Antoni wydał mi się poetą, kimś w rodzaju artysty, który wsiadł do samolotu tylko po to, żeby zaznać niecodziennych wrażeń związanych z lądowaniem i potem opisać je, wraz z widokami, w swoich pamiętnikach. Nie pisał wprawdzie niczego poza listami, ale nie musiał właściwie tego robić: ja byłem jego żywym pamiętnikiem. Na spacerach w Zielonej Dolinie albo na Bukowej Górze uczył mnie nie tylko nazw ptaków i drzew. Powierzał mi przeszłość, która istniała już tylko w nim i której nikt poza mną nie znał chyba tak dobrze. Tak, życie dziadka Antoniego zapisane było obrazami w mojej pamięci jak na kartach grubej księgi. I wystarczyło wywołać jeden z nich, by puścić w ruch pozostałe.

Teraz widziałem twarz tamtego Niemca, tego, który zatrzymał babkę Irenę, uderzył ją w głowę, zabrał rower i zdołoby na wsi jedzenie i powiedział: „Ty jesteś Żydówka! Ty uciekłaś z getta!”. A zaraz potem – twarz babki, tam, na polnej drodze, wczesnym popołudniem, gdy ów niemiecki żandarm zdejmuje karabin i śmiejąc się, mówi: „A teraz cię zabiję!”. A potem znowu twarz dziadka, gdy ocalona szczęśliwie opowiada mu o tym już w domu. I słyszałem jej głos, gdy kilkakrotnie powtarza: „A gdyby mnie zastrzelił? A gdyby mnie zastrzelił?”.

Samolot zrobił kolejną rundę nad naszymi głowami i blask słońca odbity przez jego skrzydło przypomniał mi inny blask, ten idący od rzeki, gdy dziadek Antoni zaczął łowić ryby. Po to, żeby babka Irena nie musiała jeździć na wieś i żeby żaden już Niemiec nie zaczepiał jej po drodze. Dziadek wpatruje się w spławik, mruży oczy i czuje, że nic dzisiaj z tego nie będzie, ani rybnej zupy, ani smażonej brzany, może tylko parę okoni, i w jego oczach jest zmartwienie i smutek, lecz nie tylko z powodu ryb. Daleko za lasem dudnią długie serie karabinów maszynowych, w wiklinowym gąszczu na piaszczystej łasze słychać ich głuchy łoskot bardzo wyraźnie, bo niesie go woda, a dziadek Antoni wie, co znaczą te serie i nie rozumie tylko, co stało się ze światem, który stracił nagle swój punkt ciężkości, który zatacza się i kuleje jak Jakub nad potokiem Jabbok. I wracając do miasta z pustą siatką na ryby, dziadek wchodzi czasami do pustego kościoła, klęka i próbuje się modlić, ale żadne słowa modlitwy nie przychodzą do głowy, więc patrzy na wizerunek Boga przybitego do krzyża i wraca do domu, do babki Ireny i do mojej mamy, wraca jeszcze smutniejszy i bardziej przybity, i nie tylko z powodu pustej siatki.

Maszyna znów zatoczyła lśniący krąg, a ja przeczuwałem – od tego właśnie momentu – że na lotnisku we Wrzeszczu nie stanie się nic złego, bo tam, w blaszanej puszczy iliuszyna, mój dziadek, siedząc przy okrągłym iluminatorze, myśli dokładnie o tym samym, o czym myślę ja. A skoro myślimy obaj o tym samym, on tam, w górze, a ja tu, na dole, skoro odwracamy tę samą stronicę książki jego życia i przypatrujemy się jej bardzo dokładnie, prawdopodobnie zobaczymy się jeszcze. Nie w górze, w pustej i błękitnej przestrzeni, ale tu, na dole.

I znów zobaczyłem dziadka Antoniego nad tamtą rzeką. Ciągnął o zmroku liny na brzeg, lecz haki były puste. Zarzucił je więc ponownie, po czym rozpałił małe ognisko pod osłoną wikliny i grzał sobie nad nim dłonie. A potem jeszcze parokrotnie wyciągał sznury z wody i ciskał je w nią ponownie, ponieważ nic nie złowił. Od rzeki ciągnął chłód; i wówczas, gdy pomyślał, że to stanowczo za mało jak na zupę rybną i stanowczo za mało jak na czasy, w których nie wolno posiadać radia „Elektrid” ani żadnego innego, wówczas, gdy nad łągami wstawał już świt lipcowy czterdziestego drugiego roku, wówczas dziadek Antoni ujrzał tego człowieka. Mógł mieć trzydzieści parę lat, miał na sobie szare, zniszczone ubranie i wyglądał na kogoś, kto długo ukrywał się w wiklinie albo uciekł z lasu. „Nie masz czegoś do jedzenia?”, zapytał. „Nie”, odpowiedział dziadek. I zaraz pomyślał, że tamten musi być strasznie głodny, że pewnie nie jadł od kilkunastu dni. Sięgnął więc do torby i wyjął czerstwą bułkę, chyba przedwczorajszą, którą miał na przynętę, i zawstydzony powiedział: „Mam tylko to, bierz i jedz”. A wtedy tamten uśmiechnął się łagodnie, pokręcił głową i rzekł cicho: „Zarzuć z prawej strony”. I dopiero po chwili dziadek Antoni zrozumiał, że nieznajomy mówiąc „z prawej strony”, miał na myśli „z prawej strony kamienia”, dużego kamienia, który od wielu lat leżał w tym miejscu, wystając ponad powierzchnię dobre pół metra. Dziwna była to rada, ale usłuchał jej. Przełożył liny z przynętą i wrócił do ogniska. Nieznajomy przypominał trochę pięknego kantora Josele, syna rabina z Monasterzysk, choć nie był właściwie podobny ani do ojca, ani do syna. A może był tylko duchem? Nie, nie mógł nim być. Siedział teraz przy rozżarzonych

węglach i patrzył na wodę. Jego zachowanie, podobnie jak rada, której udzielił dziadkowi, było przedziwne i zastanawiające. Ale dziadek o nic nie pytał. Milczał. I tak obaj milczeli przez dobrą chwilę. A potem tamten wstał i powiedział: „Dziękuję ci”. A kiedy dziadek zapytał, za co mu dziękuje i czemu już odchodzi, tamten rzekł krótko: „Muszę iść” i zniknął cicho w wiklinie, tak samo jak się był zjawił. Dziadek myślał przez chwilę, że był to sen. Ale nie był to sen, bo kiedy wyciągał sznury, te o mało się nie zerwały od ciężaru ryb.

Samolot zatoczył jeszcze jeden krąg i słońce odbiło się od blach kadłuba jak od rybich łusek. Mama płakała w objęciach taty, a on pocieszał ją jak umiał. Młody człowiek w okularach i właściciel psa Josifa zniknęli gdzieś w tłumie. Przez głośniki podawano wreszcie komunikat, że za chwilę nastąpi lądowanie i prosi się wszystkich o zachowanie spokoju. Sanitariusze i strażacy skoczyli do swoich stanowisk, a czerwone i białe samochody włączyły silniki, gotowe w każdej chwili ruszyć na startowy pas. I wtedy przypomniałem sobie coś jeszcze: moja mama nie cierpiała ryb. Do końca wojny jadła prawie codziennie sandacze, szczupaki, płocie i węgorze, których dziadek Antoni przynosił do domu całe mnóstwo.

Tymczasem iliuszyn schodził do lądowania. Stałem na palcach przy barierce i wstrzymywałem oddech. Mama nie chciała patrzeć. Ojciec trzymał jej głowę przy piersiach, jakby była małą dziewczynką. Samolot opadał coraz niżej i niżej, aż wreszcie usłyszeliśmy suchy trzask, potem coś w rodzaju głuchego wizgu, potem znów trzask jakby rozdzierano gigantyczną zasłonę z płótna i wreszcie potężny huk blachy i zgrzyt, który ciągnął się długo, bardzo długo, przez do-

brych kilkanaście sekund. Samolot zszedłszy nieznacznie z betonowego pasa zarył w trawę. Lewe skrzydło, na którym opierał się kadłub, było złamane. A spod brzucha samolotu wydostawał się dym.

Najpierw ruszyły wozy strażackie. Za nimi karetki pogotowia. Potem czekaliśmy – może dwie, trzy minuty, trwające jednak dla nas nieporównanie dłużej – aż z gęstych tumanów białej piany, którą strażacy pokryli cały kadłub, aż z tej białej zasy, przez tylne drzwi, zaczęli wychodzić pasażerowie. Pośród nich ujrzelśmy dziadka Antoniego. W rozpiętym trenczu i, jak zawsze, w przekrzywionym kapeluszu na głowie, szedł trawą na skos, nie zwracając uwagi na krzyki strażaków ani na całe zamieszanie. Zobaczył nas mniej więcej w połowie drogi i szybko podszedł do barierki.

– Mam siedemdziesiąt trzy lata – powiedział spokojnie – i jest mi bardzo przykro, że jeszcze w tym wieku narażam was na kłopoty.

– To był cud – szlochała mama – to był prawdziwy cud.

A kiedy po dwóch tygodniach odprowadzaliśmy dziadka Antoniego na dworzec kolejowy, kiedy żałował, że nie leci znów samolotem iliuszyn 18, tym razem z Gdańska do Krakowa, przypomniałem sobie, że muszę go jeszcze o coś zapytać. Czy tam, nad tą rzeką, łowił już kiedy ryby po prawej stronie kamienia? Nim oczywiście spotkał tego Żyda z lasu.

– Chyba nie – odpowiedział. – Nie, nie przypominam sobie.

– Jakiego Żyda z lasu? – zapytała mama wyraźnie zaniepokojona. Ale nadszedł właśnie pociąg. Dziadek Antoni wsiadł do wagonu sypialnego. Ojciec podał mu przez okno walizkę. Gwiszek konduktora, syk pary i huk parowozu

zagłuszył ostatnie słowa dziadka, który mówił coś jeszcze przez uchyloną szybę.

– O jakim Żydzie rozmawialiście? – zapytała drugi raz mama – Co to za historia?

– Och, daj mu spokój – westchnął ojciec. – Czy oni nie mogą mieć swoich tajemnic?

Kilka dni po wyjeździe dziadka Antoniego Handzo zmarł. „Po wielkich cierpieniach”, jak mówiono, w szpitalu. Nie przyjął księdza i nie chciał ostatnich sakramentów. Ale żona Handza uprosiła proboszcza i ten wysłał po cichu wikarego, który po partyjnym pogrzebie odmówił ukradkiem modlitwę i pokropił ustawiony jej ręką krzyż.

Miesiąc później poszedłem „do Ksawerego” po róże na imieniny mamy, ale nie mieli już ani odmiany Goldstar, ani America. Kupiłem więc herbaciane i kiedy szedłem między szklarniami, kiedy mijałem inspekty i alejki bukszpanu, pomyślałem, że czarny citröen nie przyjedzie już nigdy na ulicę Reymonta. I nigdy nie zapytam Handza, czy rzeczywiście ciążył nad nim ostateczny wyrok.

„In Dublin's pair city...”

– „Święty Michale Archaniele, broń nas w godzinę próby!” – słyszałem już te słowa, kiedyś, gdzieś, ale czy było to w kościele? „Przeciw niegodziwości złego ducha – ciągnął wysoki, młody ksiądz – bądź nam obroną, księżę niebieskiego wojska”.

Ludzie podchodzili do niewielkiego stołu w prawej nawie. Stały tam, w szklanym pudle, cienkie, długie, kilkupensowe świece. Widziałem, jak biorą je delikatnie palcami, wrzucają monety do brązowej puszkę, a potem, jeden za drugim, podchodzą do okrągłego lichtarza z mnóstwem niewielkich dziurek. Świece przypominały mi cerkiew przy Traugutta, tę urządzoną w poniemieckim krematorium miejskim; tam były takie same, tyle że prawosławne, tu zaś płonęły rzymsko-katolickim płomieniem.

Nie, nie zamierzałem myśleć o Bogu ani oddawać się modlitwie, bo trafiłem tu przypadkowo, skręciwszy z Pearse Station w lewo zamiast w prawo. I chociaż pragnąłem dotrzeć do Eden Quay po drugiej stronie rzeki, przeszedłem trzysta, może pięćset kroków w stronę przeciwną, po Westland Row, o zmięczeniu.

Plan miasta, który zostawiłem w wagonie kolejki elektrycznej, pędził gdzieś w nieznane, a ja, patrząc teraz na pusty i nieoświetlony chór, myślałem, jak wrócić do hotelu, a dokładnie – jak trafić nad Liffey, gdzie był przystanek właściwej linii autobusu.

Ksiądz skończył już modlitwę, przyklęknął przed ołtarzem i po chwili zniknął w zakrystii, ale ludzi w kościele nie ubywało. Niektórzy wychodzili, lecz na ich miejsce przybywali

nowi. Tak samo kupowali świecę i zapaliwszy ją, ustawiali na lichtarzu, tak samo klękali potem w ławce i pogrążali się w modlitwie. Ich policzki, ich skronie i czoła oblane żółto-złotym blaskiem przypominały twarze figur woskowych. Gdyby nie przesuwaly się przede mną, mógłbym pomyśleć, że trafiłem do gabinetu pani Tussaud, który udaje kościół. Rzeczywistość miała jednak rzetelny charakter. Prawdziwy był brzęk monet wpadających do brązowej puszki, blask świec, szept modlitw, a nade wszystko woń kadzidła. Ten zapach wprawiał mnie w zakłopotanie, zawsze, od wielu lat, przy każdej takiej inhalacji. Bo zamiast myśleć o świętym Wojciechu zabitym przez pogan w Prusach albo o świętym Stanisławie zarąbanym przez króla Bolesława w Krakowie, zamiast myśleć o innych jeszcze lub wszystkich razem świętych, zamiast prosić ich o wstawiennictwo, ja przy takiej okazji przymykałem powieki i przed oczami pojawiała się oślepiająca biel piaszczystych wydm, dalej zielone oko morza, a między nimi – w słońcu – miodowo-złote, bursztynowe bryły. Także i teraz wykonałem rytualny zabieg, lecz spodziewany efekt nie nastąpił. Czy popełniłem jakiś błąd? A może oni tutaj używają do kadzidła czegoś innego zamiast bursztynu? „To niemożliwe” – pomyślałem – „zapach jest przecież taki sam, zdecydowanie rzymsko-bałycko-katolicki”. Musiała zawieść pamięć, a skoro tak, postanowiłem natychmiast ją przeciwżyć. Telefon? 68 04 83. Adres? 17 Pembroke Park. Właściciele? Pan i Pani Brooks. Autobus? 10, 46 A i 64 A. Wyszepawszy te słowa i cyfry, sięgnąłem do kieszeni po wizytówkę pensjonatu i rzeczywiście, pod jego nazwą, wydrukowaną szarymi literami, „*St. Jude's Guest House*”, znalazłem dokładnie te same informacje. Ale

nie wykonałem już powtórnej próby. Nie zamknąłem drugi raz oczu, aby pod wpływem inhalacji ujrzeć raz jeszcze bursztynowy blask. Kiedy chowałem wizytówkę, spostrzegłem przy stoliku ze świecami mężczyznę, który zrobił dokładnie to samo: włożył do kieszeni (w tej samej sekundzie co ja) kawałek papieru. Jakby naśladował mnie albo ja jego.

Śledziłem go uważnie. Zapalił świecę, ustawił ją w lichtarzu, następnie usiadł w ławce, ale nie przeżegnał się i nie modlił. Wyjął za to z kieszeni białą kartkę, tę samą, którą schował tam przed chwilą, przez jakiś czas medytował nad nią, następnie wyjął długopis i zapisał tam coś, a potem prędko włożył papier do koperty z czarnym krzyżem i wrócił do stolika.

Dopiero w tym momencie zauważyłem w cieniu brązowej puszką niewielką skrzynkę. Mężczyzna wrzucił do niej kopertę jak zwyczajny list i odszedł, a ja zobaczyłem coś jeszcze. Pomiędzy puszką a skrzynką leżał stos takich samych kopert i kartek. Ponieważ ciekawość nie dawała mi spokoju, podszedłem do bocznej nawy, podniosłem ze stołu kopertę i kartkę papieru i wróciłem do ławki. „*Dead List*” – przeczytałem nie bez zdumienia na kopercie z czarnym krzyżem – „*St. Andrew's Westland Row*”, a niżej, mniejszą czcionką: „*Names and Offerings*”. Kartka papieru wyjaśniła mi, o co chodzi. Pod napisem „Lista Zmarłych Ołtarza” biegło motto opatrzone cudzysłowem: „Panie, pamiętaj o naszych bliskich i przyjaciółach, którzy odeszli do Twojej wieczności w nadziei powtórnego przyjścia”. Niżej, pod słowem „Rodzice”, biegły dwie puste linijki. Krewnym i bliskim poświęconych było pięć następnych wersów, a przyjaciołom – dziewięć, tak samo czystych i dziewiczych. Na dole

kartki, pod czarną kreską, należało wpisać swoje nazwisko i adres, a jeszcze niżej widniało zapewnienie, że księża tej parafii ofiarowują jedną mszę dziennie, przez cały miesiąc, za wszystkich zmarłych wymienionych na liście.

Dlaczego pomyślałem natychmiast o dziadku Karolu? Może ci, którzy odeszli, sami w takich chwilach przypominają się dyskretnie? Może mają jakiś sposób, o którym nic nie wiemy? W każdym razie pomyślałem o nim. Oto niezbyt wysoki, w szarym prochowcu, z laską w ręce, przemierza kilometry plaży krokiem spokojnym, równomiernym, jest pogrążony w myślach, nad jego głową pędzą kłębiaste cumulusy, pod jego stopami zgrzyta muszla, a cichy szelest kraba i kaszel kruka toną w łoscocie fal – ciemno-zielonych, białogrzywych.

Tak właśnie go sobie wyobraziłem po wielu latach, siedząc w ławce kościoła przy Westland Row z listą umarłych w dłoni. Poczułem na ustach słony smak zmieszany z gorzką wonią alg i wodorostów i przypomniałem sobie jeszcze, że przecież wtedy, w sezonie meduz i jesiennych wiatrów, widziałem go byłem po raz ostatni. Nie podejrzewałem wtedy, że trawi go szaleństwo, owa podstępna, groźna choroba, o której po wyjeździe dziadka Karola nigdy przy mnie nie mówiono. Tak, przypomniałem sobie teraz ściszony głos ojca, gdy wieczorami, w kuchni, rozmawiał o tym z mamą, a ja wyęczałem słuch, aby usłyszeć pojedyncze zwroty owiane aurą tajemnicy. Na przykład: „Wdowa po pastarze”. Albo: „Ukrywa się specjalnie”. Albo jeszcze: „Tam nie można łatwo trafić”. „Gdzie on jest?” – pytałem. „Czy grozi mu niebezpieczeństwo? Dlaczego nie wróci do Krakowa, gdzie czeka na niego babka Maria?” Po takich pytaniach ojciec

wychodził z pokoju blady i zdenerwowany, a mama tłumaczyła: „Jesteś za mały, żeby to zrozumieć. Kiedyś przyjdzie czas”. Ten czas jednak nie nadchodził, ja zaś w ciągu mijających tygodni i miesięcy rozważałem wszystko, co powiedział, wszystko, co zrobił dziadek Karol w tamtej połowie października.

Kiedy maszerowaliśmy plażą z Sopotu do Jelitkowa albo odwrotnie, najchętniej przystawał nad meduzami wyrzucenymi na brzeg, obracał je delikatnie szpicem laski i patrząc w sieć fioletowych żyłek, mówił: „Wszystko się skończyło, wszystko”. Albo: „Nie ma już domów, które są w upadku”. Nie rozumiałem, o co chodzi, lecz nie śmiałem pytać. Były to zdania wypowiedziane na pewno nie do mnie, raczej do meduz albo w powietrze – do fal i wiatru, do krążących mew. Czasami dziadek Karol zastygwał w bezruchu i patrzył w zatokę na siną linię horyzontu, jakby stamtąd nadejść miał jakiś znak lub jakby widzieć chciał, co jest dalej. A po spacerze, jeśli kończył się w Sopocie, zachodziliśmy parę razy do zakładu pana Lipszyca, mieszczącego się prawie pod samym wiaduktem kolejowym, gdzie z zachwytem oglądałem pozytywki i zegary z kukułkami, a dziadek szedł na zaplecze i tam, w półmroku słabej lampy, pochylał się z zegarmistrzem nad mapami, które pan Lipszyc zdobywał specjalnie dla niego. Były to mapy morskie, nawigacyjne, najczęściej szwedzkie i niemieckie. „Dziękuję – mówił dziadek – bez pana pomocy nie dałbym sobie rady”, a wtedy pan Lipszyc odpowiadał, że gdyby więcej miał takich klientów, którzy piszą książki o latarniach morskich, gdyby miał więcej takich uczonych gości, to otworzyłby antykwariat, choć pewnie nawet wtedy nic by z tego nie wyszło, bo na taką działal-

ność, na taki sklep trzeba mieć pozwolenie aż siedmiu ważnych urzędów. Dziadek chował mapy do kieszeni płaszcza, złożony je starannie, co nie było trudne, gdyż pan Lipszyc podklejał wcześniej papier płótnem. A gdy jechaliśmy już kolejką do domu, mijając perony Wyścigów, Oliwy, Polanek i Lotniska, dziadek, wpatrzony w okno, mówił od niechcienia: „To będzie niespodzianka. Dopóki nie napiszę książki, bardzo cię proszę, nie mów nic nikomu”.

Wierzyłem mu, wierzyłem bez zastrzeżeń. Był co prawda chemikiem, opatentował nawet parę wynalazków, po wojnie jednak nie mógł znaleźć nigdzie stałej pracy i zarabiał dorywczo jako laborant fotografa albo jako wędrowny sprzedawca sztucznych ogni i kapiszonów na jarmarkach, dłaczegóż więc nie miałby zdobyć sławy i pieniędzy nową, wspianą książką o latarniach morskich? Nie, nie uważałem tego za dziwne. Dziwne były wizyty u pana Hamerlinga, na drugim końcu miasta, tam gdzie między kanałami, tuż obok holenderskiej śluzy, stał dom z pruskiego muru, jednopiętrowy, z dwuspadowym dachem.

Na grobli szeleściły pod naszymi butami zeschłe liście, potem dudniły kroki na drewnianym mostku, wreszcie skrzypiały kręte, stare schody, które wiodły na strych, prosto do drzwi mieszkania pana Gustawa Hamerlinga. Wszystko pachniało tu miętą – książki, które pan Hamerling wyciągał z niezliczonych skrzyń i kufrów, tytoń, którym nabijał swoją fajkę, herbata, którą nas częstował, a nawet szalik owinięty zawsze wokół jego szyi, nawet ten szalik pachniał miętą, bo wszędzie, pod belkami stropu i na drewnianych ścianach, dosłownie wszędzie wisiały woreczki z liśćmi tego ziela. „To samo zdrowie – mówił gospodarz, nalewając nam do kub-

ków miętowej herbaty. „Wpływa doskonale na trawienie i nerwy” – dodawał, pykając z fajki miętowym dymem. A kiedy piliśmy już ten napar, częstował mnie i dziadka cukierkami, także – rzecz jasna – miętowymi.

Potem obaj panowie mówili po niemiecku, choć każdy nieco inaczej: dziadek Karol jakoś tak miękko i spokojnie, pan Hamerling gardłowo i dobitnie. „To dla wprawy” – tłumaczył później dziadek, ale ja czułem, że chcą przede mną coś ukryć, coś, co dzieliło ich wyraźnie, choć i zarazem mocno łączyło. Gdy rozmawiali, sięgając często po książki z technicznymi rysunkami, ja wałęsałem się po pokoju albo podchodziłem do okna, skąd widać było stare fony, fosę, kanał Motławy i nieczynną od lat śluzę. „Warum?” – pytał dziadek. „Darum” – odpowiadał mu pan Hamerling. „Möglich” – mówił dziadek. „Unmöglich!” – jak echo odpowiadał mu głos pana Hamerlinga. I tak było przez cały czas rozmowy, której – z wyjątkiem paru wyrazów – nie rozumiałem. Spierali się o coś, co bardzo ich interesowało, a na co książki pana Hamerlinga, tak gorączkowo kartkowane, nie dawały jednoznacznej odpowiedzi. Ukradkiem widziałem tam kolumny cyfr, schematy połączeń i przewodów. „Muss es sein?” – zapytał któregoś razu dziadek. „Es muss sein! – odparł pan Hamerling – *es muss sein, mein liebe doktor Karol! Es muss sein!*”. To była ostatnia ich rozmowa, a kiedy żegnaliśmy się na dole, już po polsku, pan Hamerling powiedział: „Niech pan tylko uważa na ciśnienie!”. „Będę uważał – odpowiedział dziadek – będę pił miętę rano, w południe i wieczorem”.

– Czy coś się stało? Nie czuje się pan dobrze? – ten głos nie należał do dziadka Karola ani do pana Hamerlinga. Świe-

ce dopalały się już w okrągłym lichterzu, wosk kapał na posadzkę, a przede mną stał ksiądz, ten, który odprawiał tu nabożeństwo. Byliśmy w kościele sami, gaszono elektryczne światła.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem cicho. – Wszystko w porządku.

– O, jesteś chyba cudzoziemcem! – ucieszył się wyraźnie. – A może chciałbyś się wypowiedzieć?

Pytanie było tak nagłe i niespodziewane, a jego twarz tak pełna dobrej woli, że zapomniawszy się zupełnie, odpowiedziałem prędko po polsku:

– Nie, dziękuję księdzu bardzo.

– O! – podniósł ręce do góry – jesteś Rosjaninem?

Nie zauważył kartki i koperty; zdążyłem schować je do kieszeni. Wstałem z ławki i ruszyłem w stronę wyjścia, odpowiadając mu, że nie, nie jestem Rosjaninem, co go nieco rozczarowało. Szedł za mną aż do drzwi i pytał, czy może mi w czymś pomóc, a także, skąd pochodzę i czy jestem turystą, czy może emigrantem.

– Dziękuję – powtórzyłem już w drzwiach. – Wszystko w porządku. Zwiedzam miasto i zgubiłem gdzieś plan. Czy może mi ksiądz powiedzieć, jak mam dojść do Eden Quay?

Kiedy mówił, przyglądałem się jego twarzy. Była inteligentna, nietknięta jeszcze grzechem zwątpienia czy rozpacz. Mógłby pracować z narkomanami, nawracać pijaków, głosić Dobrą Nowinę prostytutkom i złodziejom, mógłby rozmawiać ze mną całą noc do rana, taki był silny, energiczny, młody.

– Tak, dziękuję – powiedziałem, gdy podawał mi rękę. – Teraz trafię.

– Ale skąd jesteś? – nie dawał za wygraną. – Myślałem, że to, co powiedziałaś, to zdanie, myślałem, że to po rosyjsku. Kiedy padła nazwa, zakłopotany, stropił się wyraźnie i zapytał:

– Gdzie to jest? Gdzieś na Wschodzie?

– W pewnym sensie – odparłem po chwili wahania. – Ale to całkiem nierealne miasto... A teraz muszę już iść. Proszę wybaczyć. Do widzenia.

– Do widzenia. Bóg z tobą, Bóg z tobą – usłyszałem jego głos nade mną, już oddalony o wysokość kilku kamiennych stopni. Kątem oka ujrzałem, że pobłogosławił mi dyskretnie znakiem krzyża. Kto wie zresztą, może błogosławił wcale nie mnie, lecz mojemu nierealnemu miastu?

Postanowiłem iść do Pearse Station, a stamtąd wziąć tak-sówkę. Nie, nie dlatego, abym zbłądził (znajdowałem się już teraz na właściwej drodze), czułem jednak chłód, w powietrzu unosiła się nieprzyjemna mgła i nie zachęcało to do dalszej włóczęgi. Dręczyła mnie przy tym pewna myśl, a raczej pytanie, czy mianowicie nie powinienem jednak wrócić do kościoła, aby zamówić mszę za duszę dziadka Karola. Czy nie powinienem się za niego pomodlić? Jego dusza, gdziekolwiek była, jeśli była – w Szeolu, na Polach Elizejskich, nad wodami Styksu czy w górzystej Walhalli – na pewno cierpiała tak samo jak wówczas, gdy znajdowała się w jego ciele. Czułem się bezradny i zupełnie zagubiony w tych przypuszczeniach i domysłach, bo jakim słowem, jakim zaklęciem, jaką inkantacją czy pieśnią miałbym ją uspokoić? Jaką modlitwą miałbym wyjednać u Boga jej spokój i zbawienie wieczne? A jeśli rację miał Marcin Luter, jeśli rację miał ów gwałtowny doktor z Wittenbergii, że na nic nie zda-

dzą się uczynki i na nic za zmarłych są modlitwy, skoro istnieje tylko przeznaczenie?

Nie były to myśli dobre na spacer po obcym mieście, zwłaszcza o zmierzchu. Postanowiłem więc przejść na drugą stronę ulicy, już niedaleko Pearse Station, i szukać tam taksówki, gdy nagle, jeszcze po tej stronie Westland Row, zaczepił mnie żebrak.

– Hej, ty! – krzyknął. – Co myślisz o świętym Kolumbanie?

– Nic – odrzekłem – nic nie myślę.

Kloszard nie przejął się zbytmo moją odpowiedzią. Zagrał na skrzypcach dwa takty melodii, po czym ochryplym głosem zaśpiewał:

O, won't we have a merry time
Drinking whisky, beer and wine
On Samhain
Samhain day?

Między jego nogami stała puszka, podobna do kościelnej, tyle że z szerszym wlotem na monety. Grając, trącał ją nogą do rytmu i ten instrument perkusyjny zachęcał jakby, aby wzmocnić jego ton. Wyjąłem sześciokątną monetę z herbem miasta po jednej stronie, a stylizowaną lirą po drugiej. Pieniądz zabrzączał solidnie, najpierw wesoło, potem smutno, a śpiewak powtórzył ostatnie linijki:

On Samhain
Samhain day?

i powiedział:

– Bo ja, bracie, to pieprzę świętego Kolumbana. I wszystkich innych świętych też. Tylko Patryka nie. Ale Patryk to co innego, Patryk to ty i ja, to my wszyscy, bracia i siostry naszej zgniłej, zielonej mamuśki. Co?

Odszedłem, nie załując monety z herbem tej wyspy i herbem tego miasta, a on zaczął jakąś inną piosenkę, której już dokładnie nie słyszałem. Co innego zresztą miałem teraz w głowie. Znowu powróciła do mnie opadła myśl, że powinienem jednak wrócić do kościoła i wpisać imię dziadka na listę zmarłych, i zamówić mszę; znowu dogoniła mnie ta myśl i nie dawała spokoju, jakkolwiek usiłowałem ją oddalić.

Krótkie listy, jakie przysyłała babka Maria do ojca, musiały być dramatyczne, skoro któregoś razu, na wiosnę, wziął dwa dni urlopu i pojechał pociągiem gdzieś za Olsztyn, do Prus Wschodnich. Wrócił z poważną miną, załamany, jakby dźwigał na swoich barkach ciężar losu ponad jego siły. „Nie mogę tego pojąć! Nie mogę zrozumieć!” – powtarzał wiele razy. A kiedy zamykał się w kuchni z mamą, słyszałem, jak mówi do niej, że tu nie chodzi wcale o żadną kobietę, tym bardziej o tę wdowę po pastarze, jak przypuszczała babka Maria, tylko o coś innego, o jakieś szaleństwo, w którym zamknął się jak w wieży bronionej przez duchy, i tkwił tam, milczący i obojętny na wezwania bliskich. „Jest w tym jednak jakaś metoda – mówił ojciec – czy ty wiesz, co on teraz w kółko czyta?” Tu padł jakiś łaciński tytuł, którego nie rozumiałem.

Tak, czy gdybym powiedział wówczas ojcu o naszych wizytach u pana Lipszyca, a zwłaszcza u pana Hamerlinga, czy mogłoby to uratować dziadka? Rozmyślałem o tym, spoglądając z nawyku w lewo i przecinając Westland Row na skos. Pomyślałem, że chyba jednak nie, i właśnie wtedy usłyszałem pisk opon, okropny ryk klaksonu i poczułem dziwnie miękkie uderzenie z prawej strony. Na szczęście furgonetka (był to zielony, starej daty ford) zdążyła wytracić już swój pęd i podno-

sząc się z jezdni, czułem jedynie niezbyt mocny ból w kolanie. Z szoferki wyskoczyła dziewczyna w grubym swetrze. Mogła mieć dwadzieścia pięć, może dwadzieścia osiem lat.

– Chłopie! – krzychała – Chłopie, czy ty jesteś pijany? Nie masz oczu? – Była bardziej zdenerwowana niż ja, nie mogła opanować drżenia rąk. Potrząsała co chwila głową, odrzucając do tyłu kasztanowe włosy, które spadały jej na czoło falującą grzywką. – Wszyscy jesteście tacy sami – mówiła już nieco spokojniej – parę szybkich w pubie, a potem prosto pod koła. Mamy jechać do szpitala? – W ostatnim zdaniu wyraźnie kryła się nadzieja, że jednak nie trzeba będzie tego robić.

Otrzeptywałem spodnie i płaszcz, patrząc w ciemnozielone oczy, które czekały na odpowiedź.

– No, czemu nic nie mówisz? Zatkaną cię?

– Pewnie, że tak – odpowiedziałem. – Stłukłaś mi tyłek, a teraz jeszcze na mnie krzyczysz.

– O, jak on śmiesznie mówi! – krzyknęła. – Stłukłam mu tyłek i na niego krzyczę – przedrzeźniała zabawnie mój akcent.

Roześmialiśmy się równocześnie – ona i ja. Paru gapiów odeszło zrezygnowanych, wypadek okazał się niegroźny. Powiedziałem, że wszystko w porządku i do szpitala jechać nie musimy.

– Jesteś turystą? – zapytała.

Nie zaprzeczyłem i powiedziałem jeszcze, że jutro wyjeżdżam stąd do Galway, autobusem.

Podala mi rękę. Jej palce były długie i lodowato zimne.

– Kiedy przechodzisz przez ulicę, najpierw patrz w prawo – powiedziała, wsiadając do szoferki. – To taki dziwny kraj, gdzie samochody jeżdżą lewą stroną.

– Tak, to dziwny kraj – odpowiedziałem.

Ale ona nie słyszała już tego. Furgonetka z napisem „*Live Cockles and Mussels*”, zgrzytając skrzynią biegów, pojechała przed siebie, a ja ruszyłem w stronę Pearse Station, do której wciąż jakoś nie mogłem dojść.

– Czy musisz mnie prześladować? – powiedziałem po cichu. – Czy za mało modlitw wyszeptaly moje usta w kościele Zmartwychwstańców? Czy nie pamiętasz, jak każdego ranka zrywałem się o świcie i bez śniadania, tylko po szklance czystej wody, biegłem na pierwszą mszę i modliłem się żarliwie, płomiennie, gorąco, o twoje wyzdrowienie, o twój powrót, o twoje szczęście, a potem przyjmowałem z dłoni proboszcza Jego ciało, jadłem je, połykałem, tylko z myślą o tobie, tylko dla ciebie jednego na całym świecie? A potem szedłem do domu po tornister i biegłem do szkoły, lecz nie przestawałem o tobie myśleć, tak jak teraz, ani na chwilę, nawet gdy turkotały chłopskie wozy jadące na oliwski targ, nawet parskanie koni i plask kopyt nie przeszkadzał mi w nieustannej modlitwie, jaką dla ciebie i za ciebie zanosilem, więc? Teraz nie mogę ci już pomóc, w żaden sposób, wybac, nawet jeśli to nie przypadek zwabił mnie do tego kościoła, nawet jeśli zrobiłeś to ty, nie idź już za mną, proszę, to nie jest twoje miasto, nie, ono zostało tylko w snach, zdradzone dawno i sprzedane, być może pozostały drzewa, mury, cmentarze, być może jest ta sama ławka w parku, na której siadywałeś, ten sam uliczny kurz sierpniowy, co mogę ci powiedzieć, co zrobić jeszcze raz dla ciebie? Głośno wymieniać tamte nazwy, które dla mnie nie oznaczały nic więcej oprócz pustych dźwięków? Kopuły Bernardynów w pierwszym śniegu, na Łyczakowie brzęk uprząży, łagodny oddech

Karpat za plecami, ukraińska śpiewka?... Zapomnij o tym, zapomnij! Te wirujące cząstki nie wrócą do poprzedniej formy i próżne wszelkie obietnice... Czy mnie rozumiesz? Czy mnie słyszysz? Nie będę więcej wzywał nadaremno.

Nie wiem, dokąd zaprowadziłby mnie ten strumień słów i kroków coraz szybszy, coraz mocniej rwący, nie wiem dokąd, gdyby nie noga, która zaczęła boleć teraz już wyraźnie. – Gdzież jest ten Pearse Station? – pomyślałem. Stojąc na niezbyt dobrze oświetlonym Lincoln Place, bez planu miasta, nie wiedziałem, co mam robić dalej, w którą iść stronę. Nie miałem przecież kłębka nici, aby zawrócić do poprzedniego miejsca. Znów zbłądziłem, to było oczywiste. Musiałem minąć dworzec, nie spostrzegłszy go, lub – co bardziej prawdopodobne – po zdezeniu z furgonetką pomyliłem kierunek marszu.

Z pomocą przyszedł mi przypadek. Zrobiłem jeszcze parę kroków i po chwili ujrzałem szyld pubu, który wyglądał zachęcająco. Wkroczyłem do niego bez zastanowienia i nie zwlekając, zamówiłem małą whisky, po czym usiadłem przy ciężkim, dębowym blacie, pod którym biegła mosiężna rura.

Zadanie nie było aż tak trudne, jak przypuszczałem. Na serwetce wykreśliłem czworobok Pearse Station, potem Westland Row, potem miejsce, w którym spotkałem śpiewającego żebraka, aż wreszcie punkt, gdzie zielony ford zahamował z piskiem opon. Teraz nie miałem już wątpliwości: musiałem jednak minąć dworzec, skrócić następnie w przylegającą doń Pearse Street i dalej już, niczym po trzecim boku trójkąta, dojść przez Lincoln aż tu, do Kenney's Pub, bo tak nazywał się ten lokal.

Uspokojony, zamówiłem następną szklaneczkę i śledząc litera po literze napis „*Guinness is good for you*”, trafiłem wzro-

kiem na portret właściciela. Była to podobizna z *la belle époque*, w każdym calu, o czym świadczyła kamizelka, sztywny kołnierzyk, wąs i krawat, a wszystko to zdjęte w sepii i zamknięte owalnym kształtem dagerotypu. Mężczyzna miał wyrazisty podbródek, szczupłą, pociągłą twarz i uniesione łuki brwiowe, co wskazywało na lekkie zdumienie okazane światu, gdzieś w okolicach 1905 roku. Portret w ciemnobrązowych ramach wisiał na orzechowej boazerii, ponad rzędami flaszek i elektryczną kasą. Zaraz też wymyśliłem sobie zadanie: obliczyć, ile butelek stało na tej półce od czasu zdobycia Port-Artur, przyjmując dwadzieścia flaszek tygodniowo wlanych w tutejsze gardła. Kasa wskazywała na szczęście tylko 3.26 i już zamierzałem płacić i wychodzić. Nie zapłaciłem jednak, bo kiedy skinąłem na barmana, w drzwiach Kenney’s Pub i w moich uszach zabrzmiał znajomy głos:

– Chłopie! I tutaj cię spotkałam!

A potem drugi głos, już jakby mniej znajomy, powiedział do pierwszego głosu:

– Czy to ten Polak, który dostał w tyłek?

Zasiedli obok mnie bez ceregieli.

On, wieczny student, czasami pracuje w lewicującej prasie, poza tym pisarz, w redakcjach leżą dwa manuskrypty, ciężko się przebić przez narodową mafię. Ona, *frutti di mare*, dostawy małż i mięczaków prosto z portu pod wskazany adres: hotele, bary, restauracje, firma w rejestrze podatkowym.

Potok soczystych zdań płynął z lewa na prawo i z prawa na lewo, a ja siedziałem między nimi, zadowolony, że nie muszę jechać jeszcze do hotelu.

– Czy u was imperium katolickie też jest w odwrocie? – pytał, dopijając whisky, po czym zamówił natychmiast na-

stępną kolejkę. – Papieska tiara ponad narodami, mnóźcie się, mnóźcie jak króliki! *À propos*, czy problem prezerwatyw, tam, na Wschodzie, został już politycznie rozwiązany?

– To raczej problem higieniczny – usiłowałem coś powiedzieć – zwłaszcza wśród marynarzy.

Ale on, co chwila pohukując na nią („czy nie mam racji, powiedz, Molly?”), jak gejzer parą tryskał wciąż słowami.

– Na przykład problem ojców, którzy gwałcą własne córki! Dopiero prasa, nasza prasa, wstrząśnięta wyznaniem małej Cathleen (pamiętasz, Molly, co ci wtedy powiedziałem?), dopiero wtedy prasa biła w dzwony! Wiejska ciemnota, człowieku, tutaj można się wyrzygać, najlepsi wyjeżdżają za Atlantyk, koniecznie napisz tam u siebie, co znaczy kapitalizm w biednym, dzikim i katolickim kraju!

Nie chciał słyszeć, że nie piszę o kapitalizmie. A kiedy Molly przypomniała mu, co powiedziałem przed paroma minutami (dokąd mianowicie się wybieram), nie ukrył wcale swojej irytacji.

– To tylko kupa gruzu, cała ta Thoor Ballylee! Gruzu ze słów poety, co zawsze był ramolem. Bo kimże właściwie był pan Yeats? Otóż na pewno nie był on pisarzem XX wieku! „*Before that ruin came...*” – zadeklamował patetycznie – to przecież jest dla starych ciotek, dla bezzębnych Anglików, jak owsianka, tyle że doprawiona lokalnym, romantycznym sosem.

– Owsianka z sosem? – zapytałem, niezbyt pewien, czy dobrze rozumiem te słowa. – To jest chyba nieco przesadne porównanie.

– Daj mu spokój, Hugh – powiedziały zielone oczy – on nie jest taki głupi, żeby cię brać poważnie, tak jak ja.

Przez jakiś czas sprzeczali się ze sobą. On mówił coraz szybciej, a ona co chwila wtrącała jakieś gaelickie słowa, których nie rozumiałem. Nie wyglądali na parę zakochanych i jeśli coś łączyło wiecznego studenta z dziewczyną sprzedającą małże, na pewno nie były to długie spacerunki po plaży Sandycove, czułe szepty na ławce w Phoenix Park czy chwile upojenia w hotelu na godziny. Łączyło ich coś innego, czego nie umiałem jednak określić.

– Muszę się wysikać – powiedział nagle Hugh. – Trzymajcie wachtę, żeglarze, ja będę trzymał co innego!

Statecznym, pewnym krokiem ruszył do toalety, nucąc pod nosem „*God save the king*”, a jego śpiew mieszał się z inną melodią, bo oto przy sąsiednim stoliku zasiadło muzykujące towarzystwo z gitarą i skrzypcami.

– Dlaczego tam jedziesz? – zapytała Molly. – Interesuje cię poezja?

Obok chłopców grających na instrumentach przysiadły dwie chłopczyce: ostrzyżone na jeża, obie w wojskowych butach, kraciastych koszulach i skórzanych kurtkach. Na jednej z nich, jak na bawełnianej koszulce, biegł napis „*Amnesty International*” wokół rysunku zapalanej świeczki otoczonej kolczastym drutem.

– Interesuje mnie rzeka – powiedziałem.

– Jaka rzeka?

– Nazywa się Cloon. I niedaleko Thoor Ballylee znika.

– Znika?

– Tak, pod ziemią. A potem płynie dalej, ze dwadzieścia mil, aż do Atlantyku wśród ciemności i podziemnych skał.

– Niewidzialna rzeka... Nie słyszałam nigdy o tym. Ale ja mało znam książek.

– Przeczytałem o tym bardzo dawno, w gazecie, „Dziwy Przyrody” czy coś takiego. Wiesz, meteoryty, magnetyczne skały, no i ta rzeka obok normandzkiej wieży.

– I o czym skrzeczą sroki? – Hugh usiadł na swoim miejscu. – Wicie, co przyszło mi do głowy nad żółtym strumieniem? Gogy wydaje dzisiaj przyjęcie. Pojedziemy do jego stajni, zobaczyć co się święci. Bo tu – wskazał na chłopczyce – tu woda wystąpi wkrótce z brzegu i obudzimy się na Lesbos, takie jej imię starożytne. Ponadto, szlachetny cudzoziemcze, nie wiem, jak tobie, ale mnie ta muzyka Aiobhell, ten ryk baranich kiszek działa wybitnie źle na układ gastryczny. Wicie chyba, o czym mówię. Och, Gogy uwielbia takie rzeczy! – Hugh klepnął mnie po ramieniu. – Niespodziewany gość ze Wschodu! Wonności, złoto i olejki! A może ty jest bękart królewskiego rodu? To byłoby dopiero nadzwyczajne!

– Nasz ostatni król zmarł uwięziony w Rosji – powiedziałem. – Bezpomnie. A jeśli zdążył spłodzić dzieci, to tylko z imperatorką Katarzyną, wiele lat wcześniej. Nic o tym nie wiadomo w Moskwie.

– Ha, ha, ha! – zaryczał zachwycony Hugh. – Pieprzona imperatorka! Pieprzony Kreml! Pieprzona Europa! Królestwa już nie z tego świata!

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała Molly. – To tylko taki styl, zabawa.

– Styl to człowiek, niegdyś stworzenie czworonożne i nieco lepiej owłosione – Hugh dopił i odstawił szklanę. – A zatem potomku ostatniego króla i nierządnicę imperatorki, bądź zaproszony na ucztę Baltazara!

Molly zapłaciła rachunek. Hugh oplótnął nas ramionami, prowadził do wyjścia. Niewątpliwie dziwną stanowili

parę. Ale byłem im wdzięczny. Cień białej kartki nie szedł za mną dalej, nie prześladował mnie, przynajmniej teraz.

Zieloną furgonetką, w której grzechotały puste skrzynki, przejechaliśmy Westland Row, Pearse Street i koło budynku Green College skręciliśmy w Grafton Street, tam gdzie mieszkała Molly w czteropiętrowej kamienicy. Chciała się przebrać i zostawiła nas na chwilę samych. Hugh wyjął z kieszeni piersiówkę, tyknął z niej solidnie i podał mi, mówiąc:

– Biedna mała. Czy wiesz, że ciotka Helena, bogata jak szejk, nie zapisała jej prawie nic? Cholerna stara panna, dewotka, sekutnica. Byliśmy tam razem, w dzień pogrzebu. Wchodzimy do hallu i co widzę? Jej lokaj, łysa pała, na stole sprawia pokojówkę, tę ulubioną starej pani służkę, tę, co zgarnęła niezły grosz. A majątek? Majątek – w łapska jezuitów! O, Chryste Panie!, mówię ci, człowieku, ten piękny dom z ogrodem, konta bankowe, nawet stołowe srebro, wszystko to, w s z y s t k o! – na afrykańskie misje! I teraz czarne duszyczki dostępują zbawienia za pieniądze tej starej, skąpej, katolickiej flądry. A Molly? Molly nie starczyło nawet, żeby spłacić gotówką tego gruchota. Musiała brać pożyczkę z Allied Bank. I co byś zrobił z taką ciotką?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Nie wiem. A może ona nie kochała Molly?

– Miłość! – Hugh zapał radośnie. – Miłość! Brzęcząca miedź, a może cymbał brzmiały? Czy to masz na myśli? Nie, to są diabelskie sprawy, cudzoziemcze, odkąd wąż pojawił się w ogrodzie. No, *sursum corda!* – dodał, przechylając piersiówkę. – Grecy mieli do tego racjonalne podejście. Na przykład sąd Parysa: archetyp naszej niewinności.

Przełknął. Schował butelkę i zamilkł.

Po chwili wróciła Molly. W czarnej sukience, czarnych pończochach, takich samych półbutach i z brązową torebką w dłoni. Jeszcze raz minęliśmy Green College, a potem, jadąc wzdłuż rzeki, przecięliśmy kanał i przez dzielnicę Irishtown i Sandymount, mknęliśmy po Mernon Road na zachód. Hugh chrapał z odchyłoną do tyłu głową, Molly za kierownicą była skupiona i milcząca, ja zaś przyglądałem się miastu, które teraz, w blasku latarni, w świetle niezbyt licznych reklam i rozjaśnionych okien domów wyglądało zupełnie inaczej niż za dnia.

W kieszeni płaszcza czułem pod palcami białą kartkę i obracałem nią, jakby była biletem. Po lewej stronie, w granatowej ciemności zatoki, migały dalekie światła, chyba statków, po stronie prawej, zwarta zabudowa ustąpiła miejsca parkom i rezydencjom, a ja, w pędzącym samochodzie z napisem „*Live Cockles and Mussels*”, siedząc pomiędzy dwójgim jako trzeci, przypominałem sobie tamten wieczór, kiedy wysiedliśmy z ojcem z pociągu na starym drewnianym dworcu i w świetle żółtych latarni szukaliśmy taksówki i nie mogliśmy jej znaleźć, a kiedy już znaleźliśmy, kierowca nie chciał za żadne pieniądze, za żadne skarby świata, jechać nocą do miejscowości, która nazywała się Wydrwity. „Musisz być dzielny – mówił ojciec – zaraz coś wymyślimy”. Niczego jednak nie mogliśmy wymyśleć, czas płynął, a my, bezradni, chodziliśmy po pustych uliczkach w okolicy dworca i pewnie wylądowalibyśmy w końcu w jakimś hotelu, gdyby nie furmanka zaprzęzona w dwa ciężkie perszerony. „Hej, gospodarzu, a może wy jedziecie w tamtą stronę?” – było to pytanie rozpaczliwe i całkiem pozbawione nadziei, a jednak chłop zatrzymał zaprzęg przeciągłym „prrr!” i spy-

tał, o którą stronę ojcu chodzi. „Do Wydrwit” – powiedział ojciec. A wtedy woźnica pokazał batem, żebyśmy siadali, bo chociaż jechał do Sowiego Rogu, Wydrwity były już niedaleko stamtąd, po drugiej stronie rzeki i jeziora.

Zasnąłem wkrótce, przykryty marynarką ojca, lecz zanim to nastąpiło, wpatrywałem się w blask naftowej lampy. Zawieszona na drągu i kołysana równomiernym rytmem, niczym świetliste wahadło, zataczała krąg oddzielający nas od ciemności, w którą zanurzaliśmy się coraz głębiej. Potem, kiedy mnie obudzono, ujrzałem gwiazdy, setki gwiazd na niebie. A kiedy ojciec spychał do wody pożyczone czółno, mówiąc: „Nie bój się, nie utoniemy”, dalej patrzyłem na nie zachwycony. Patrzyłem, jak odbijają się w zupełnie czarnym lustrze jeziora, milczące i jasne, pośród tataraku i trzciny, i zapomniałem zupełnie, dokąd jedziemy i po co, zapomniałem o ojcu i o nim, który czekał tam na nas ukryty w domu pastorałowej, gdzieś na końcu świata, jakim był wówczas ten zakątek wschodnich Prus Książęcych.

Teraz jednak, kiedy samochód jechał bardzo blisko morza i skał, a w ciemności zatoki błyskały raz po raz światła morskiej latarni, teraz widziałem nie tylko czółno i gwiazdy, lecz również i to, co czekało nas po drugiej stronie jeziora. Widziałem dziadka Karola, który leży na wznak, już martwy, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, w czarnych spodniach i bez skarpetek, których nie mogła znaleźć wdowa po pastorałowej. Widziałem twarz ojca, kiedy pochyla się nad nim i opuszcza te rękawy; widziałem, jak białe płótno zakrywa wytatuowaną liczbę na przedramieniu dziadka (były to trzy cyfry, niski numer Auschwitz) i widziałem także bliźnię na jego podbródku, którą zostawił mu polski ko-

munista, śledczy, budujący nowy, wspaniały świat. Nie było łez, płaczu, zaklinania. Wdowa po pastorze opowiadała, jak to było, kiedy położył się do łóżka, narzekając na bóle serca. Jej zdania, krótkie, suche i rzeczowe, informowały także o podjętych krokach: świadectwo zgonu leżało na komo-dzie, pozwolenie na przewóz zwłok także było już wysta-wione, a pewien człowiek, jej znajomy z miasteczka, który posiadał samochód, zgodził się przewieźć ciało za niezbyt wysoką opłatą. „Potrzebna będzie trumna – powiedział oj-ciec – jutro pojedę do miasta”. Ale i to pani pastorowa już załatwiła. „Trumna będzie – odrzekła – jutro, skoro świt, przywiozą ją z Sowiego Rogu”. „Dlaczego pani tak nam pomaga – spytał ojciec – czy może...” „Nie – przerwała pastorowa – zwracam panu uwagę, że nie ma czasu”. Tak właśnie powiedziała: „zwracam panu uwagę” i wyszła, oznaj-miając, że spanie mamy przygotowane w pokoju, w którym mieszkał on.

Dojeżdżaliśmy. Hugh otworzył oczy i mamrotał pod no-sem dalszy ciąg monologu o archetypie niewinności, dość bełkotliwie i niewyraźnie.

– To tu – powiedziała Molly. – Wsiadamy.

Szliśmy po kamiennych schodkach, które skręcały łukiem do góry. Gdzieś w dole słychać było łoskot fal, a Hugh, który w ostrym, wilgotnym powietrzu momentalnie wytrzeźwiał, znów zaczął tryskać potokiem słów, tym razem o bukmache-rach na wyścigach. Nie słuchałem go dokładnie i podchodząc do okrągłego budynku, który niewątpliwie był kiedyś częścią jakiejś fortyfikacji, patrzyłem na kamienne bloki, na szare, ociosane głazy, zastanawiając się, cóż za oryginał wydawać może tu przyjęcie. Zwłaszcza, że żaden odgłos nie docho-

dził z wnętrza i nawet kiedy stanęliśmy przed drewnianymi drzwiami okutymi sztabą, nawet wówczas mogło się wydawać, że wieża jest pusta, niezamieszkała i że trafiliśmy pod niewłaściwy adres. Wewnątrz roiło się jednak od gości. Wąskie, kręte schody, które prowadziły na górną kondygnację, a także koliste pomieszczenie, wypełnione były ruchliwym, rozgadany tłumkiem.

Znajomi z Kenney's Pub zapomnieli o mnie przez chwilę.

– Hej, George!

– Hej, Seamus!

– Jak się masz, Arturze! – Witali się krzykliwie z przyjaciółmi.

Nie znałem tu nikogo i byłem trochę onieśmielony. Na szczęście nikt nie zwracał na mnie uwagi i mogłem rozejrzeć się po wnętrzu. Dość surowe, przypominało coś pośredniego między malarskim atelier, a magazynem teatralnym, z którego usunięto większość rekwizytów, pozostawiając tylko niepotrzebne graty. Na przykład stół, na którym stały flaszki, szklanki i kieliszki, przypominał sfatygowany mebel z drugiej połowy ubiegłego wieku. Podobnie krzesło i szeszlony z epoki wiktoriańskiej. Ale było też tu mnóstwo zwyczajnych skrzynek, prostych ław skleconych z desek, a nawet stara beczka, która służyła za dodatkowy stolik. Grube cwięki wbite w kamienną ścianę podtrzymywały obrazy albo spełniały rolę wieszaków na garderobę, po części również chyba teatralną: pomiędzy płaszczami gości dostrzegłem kilka wiszących meloników, cylinder, a także podróży puder-mantel, którego nie powstydziliby się żaden radca dworu z czasu późnego Franciszka Józefa. Nie zauważyłem, żeby było coś do jedzenia; na stole stały tylko wszelkiego rodza-

ju butelki i goście podchodzili tam, i sami nalewali sobie wybrane trunki do szklanek. Uczyniłem to samo i krętymi schodami udałem się na piętro.

Tu też był jeden pokój, jeśli pomieszczenie to można tak określić, ale panował w nim nieco inny klimat. Kilka dam, ubranych w helleńskie stroje, ze szklankami w dłoni, wiodło ożywioną konwersację, zdaje się, że o jakimś Scotcie, który miał przybyć albo już przybył, nieprzyzwoicie przystojny i bogaty. Wyglądały tak, jakby przed chwilą zeszły ze sceny albo trafiły tu z balu kostiumowego. Ich przepaski, ich wzorzyste peplosy, ich fryzury, naszyjniki i bransolety – wszystko to imitowało stroje kobiet z Delf: smukłych, niefrasobliwych i wesołych.

Poszedłem jeszcze wyżej, na drugie piętro. Tu wewnątrz było znacznie gorzej oświetlone, a towarzystwo dyskutowało o jakiejś książce z dziedziny seksu i psychiatrii. Ktoś z nich przed chwilą musiał palić trawkę, wyraźnie czułem jej charakterystyczny zapach. Może ów chudy człowiek w drucianych okularach z wymiętym kapeluszem w dłoni, nerwowy, o szybkiej gestykulacji? Może starszawy pan o wyglądzie przedwojennego profesora? A może stojąca pomiędzy nimi kobieta-wamp, w błyszczącej sukni z brokatową opaską i fantazyjnym piórem we włosach, o której natychmiast pomyślałem, nie wiem dlaczego, że pewnie przyjechała tu z Paryża?

Od parteru po górną kondygnację wieża wypełniona była więc dziwnym towarzystwem. Przypominało rodzaj sekty albo bractwa wtajemniczonych. Przez chwilę żałowałem nawet, że nie jestem jednym z nich, ale tylko przez chwilę, bo kiedy wyobraziłem sobie, jak wyglądałbym w luźnej to-

dze lub – dajmy na to – w meloniku, natychmiast zapragnąłem iść dalej, na najwyższe piętro.

Uchyliłem drewniane drzwi, nieco mniejsze od tych na dole i znalazłem się na okrągłym tarasie otoczonym blankami. Widok był rzeczywiście zachwycający. Oniemiałem, patrząc w ciemnogrnatowy płaszcz zatoki, który rozciągał się od skalistego podnóża budynku, hen, daleko, aż po nieuchwytną linię horyzontu. Co chwila w innym punkcie tej ciemności zapalało się na parę sekund światło, po czym gasło i błyskało znów, jak mrugająca gwiazda. Latarnie rozmawiały ze sobą swoim własnym językiem. Nie potrafiłem ich rozróżnić ani nazwać, na nic zdały się próby odczytania planu z pamięci. Światło z Poolbeg mogłem wziąć równie dobrze za latarnię Baily, położoną na skalistym przylądku, co za latarnię terminalu Dun Loaghair, do którego przypląnąłem z Holyhead dwa dni temu. Być może byłoby mi łatwiej, gdybym zlokalizował swoje własne położenie, ale i to okazało się bezskuteczne. Wiedziałem tyle tylko, że znajduję się na obrzeżu miasta, gdzieś kilka mil od ujścia Liffey, pomiędzy światłami kilku morskich latarni.

Tam, w domu pastorowej, na piętrze, szukałem dzieła właśnie o latarniach, ale nigdzie nie było śladu choćby notatek. Rzeczy dziadka, złożone przez wdowę bardzo starannie, ograniczały się do garderoby, przyborów do golenia, dokumentów i jednej tylko książki – starej, wytartej, oprawionej w skórę. Ojciec wziął tom do ręki i przeczytał półgłosem: „*Titus Lucretius Carus De Rerum Natura*”, a potem odłożył go, umilkł i ukrył twarz w dłoniach. Dlaczego on czytał łacińską książkę? Dlaczego nie pisał do nas listów? Dlaczego mieszkał tu, na odludziu, wynajmując u pani Nemoller pokój na piętrze? Wszystko to było okropnie zawile,

jak łacińska książka w niemieckim wydaniu Brockhousa. Obaj nie mogliśmy spać, obaj milczeliśmy całą noc, przewracając się z boku na bok, obu dręczyło nas to samo pytanie – dlaczego? Czy choroba, która trawiła jego umysł, była aż tak poważna? A może była to choroba duszy i nie miała nic wspólnego ze zwykłym, pospolitym szaleństwem? Przez uchylone okno dobiegało cykanie świerszczy, a z lasu, co pewien czas, odzywał się jękliwy głos obudzonego ptaka.

Wcześniej rano pani pastorowa poprosiła nas na śniadanie, a potem, kiedy wstaliśmy od stołu, wahając się wyrazić i cedząc każde słowo, powiedziała: „Muszę wam to pokazać. On prosił, żebym tego nie robiła, ale muszę. Z tym trzeba będzie coś zrobić, proszę pana, to nie powinno tutaj zostać. A ja nie mam siły sama”.

Ścieżką przez podwórko, a potem za stodołę, w gąszczu chwastów, my troje: pani pastorowa, mój ojciec i ja. Idziemy gęsiego przez olszynę, przez podmokły grunt, wśród ważek i komarów, wśród złotoskrzydłych much, które unoszą się z liści paproci i z wysokich łądyg traw; idziemy coraz niżej, wzdłuż strumyków, gdzie nad samym brzegiem jeziora stoi rybacka szopa z grubych pni, ukryta w cieniu drzew i trzcin. „To tu” – mówi pani pastorowa. „Ja tu nie wejść, nie, pójdę już do domu”. Zawraca prędko, biegnie właściwie, przeskakując z kępy na kępę, znika.

Usłyszałem muzykę. Nie, nie płynęła z wnętrza szopy. Stałem na szczycie wieży, a melodia wypływała spod moich stóp, gdzieś z niższej kondygnacji. Flet? Bębenek? Gitara? Tamburino?

Zaciekawiony, minąłem dwie kondygnacje, teraz puste. Na dole zwarty tłum otaczał tancerki – te, które już widziałem.

Wśród nich zauważyłem jednak nową postać. Był to młodzieniec ubrany w strój tancerza z Knossos: niewieści, z wąską talią, ufryzowany fantazyjnie, w purpurowej, krótkiej tunice, spod której przezierały jego lśniące, gładkie i opalone uda.

– To Gogy – usłyszałem szept Molly. – A gdzieś ty się podziewał?

– A gdzie jest Hugh? – spytałem równie cicho.

– Och, znowu się spił i rzyga gdzieś na plaży. Nie wróci prędko. – W powietrzu szarym od tytoniowego dymu i gęstym od wyziewów whisky sylwetki tańczących zdawały się osiągać nadzwyczajną lekkość. – Podoba ci się? – spytała znów cicho.

– Owszem – odpowiedziałem. – Czy to jest jakiś symbol?

– Nie. To tylko zabawa, zwykła zabawa. Gdy skończą, wszyscy jedziemy na wyspę Meld, jak co roku. Popłyniesz z nami.

– Wyspa Meld?

– Tak, oglądamy tam wschód słońca ze skał. To jest fantastyczne! Fantastyczne! A potem śniadanie w domu Scotta.

– A kto to jest Scott?

– Milioner i wielki przyjaciel Gogy'ego. I płaci za to wszystko.

– To rzeczywiście fantastyczne – powiedziałem.

Dłoń Molly dotknęła moich palców przelotnie i zdawkowo. Ale ja nie miałem ochoty płynąć na Meld ani na żadną inną wyspę. Czulem, jak zmęczenie i senność ogarniają całe moje ciało. Na samą myśl o podróży morskiej, nawet krótkiej, poczułem mdłości. Dlatego, kiedy całe towarzystwo zaczęło schodzić w kierunku plaży do niewielkiego mola, zapytałem ją o drogę powrotną – jak dotrzeć stąd do miasta.

– Jedź z nami – powiedziała. – To jedyna okazja.

– Jak dojść stąd do pociągu? – powtórzyłem.

Ale Molly nie odpowiedziała mi. Śmiejąc się, przeskoczyła trap i jako jedna z ostatnich stanęła na pokładzie motorowej łodzi „Mannan”. Nie zauważyłem nawet, czy był wśród nich Hugh, jej wielosłowny przyjaciel. Rzucono cumy i w salwie radosnych okrzyków łódź odbiła od brzegu.

Ruszyłem plażą, nie oglądając się za siebie.

– Hugh! – zawołałem – Hugh! Gdzie jesteś, chłopie?!

Ale nikt nie odpowiedział na moje wołanie. Minąłem kabinę kąpielową z napisem *Men only* i z dopisanym niżej hasłem *Women Welcome!*, minąłem kilka potężnych głazów i usłyszałem łagodny pluskot fali między nimi. Zaczynał się odpływ.

Szedłem dalej, a gorzki zapach morza szedł za mną nieustannie i chociaż nie było piaszczystych wydmi ani bursztynu, tylko kamienie, żwir i skały, chociaż nie było to Bałtyckie Morze, zwane czasem Wschodnim, pomyślałem, że właśnie tutaj mógłby któregoś dnia postawić swoją stopę dziadek Karol, sprzedawca kapiszonów, pomocnik fotografa, chemik i zwycięzca.

Tak, mogło się to wydarzyć przy odrobinie szczęścia, ale my nigdy nie mieliśmy szczęścia, my wszyscy, przez te wszystkie lata, i zrozumiałem to już wtedy, gdy skrzypnęły drzwi rybackiej szopy, a naszym oczom ukazał się ów niecodzienny widok: pośród pił, pilników i wiertarek, pośród wygiętych blach i kątowników, na żelaznych kobyłkach spoczywał lśniący kadłub podobny do U-Boota, właściwie taki sam, tyle że mniejszy, wyraźnie obliczony na jedną tylko osobę. „To niemożliwe... – szeptał ojciec – to niemożliwe. Jak on to?... Skąd?... Którędy?...” Jego dłoń ostrożnie głaskała nity, pieszczotliwie głaskała kadłub i śrubę, ostrożnie dotykała stępki, prześlizgi-

wała się po spawach. „To niemożliwe...” – szeptał oczarowany tym odkryciem. „Sam musiał zrobić projekt, obliczenia!, sam – zdobyć tyle części! Skąd miał tokarkę, skąd?”

Lecz dziadek Karol leżał w domu wdowy po pastorze i nie mógł odpowiedzieć, nie mógł zwołać konferencji prasowej, a my badaliśmy jego okręt dalej, już wewnątrz, coraz bardziej zachwyceni. O niczym nie zapomniał! Wszystko tu było doskonale pomyślane i zrobione: podwójne grodzie komór balastowych, wejście do kiosku, zbiornik na paliwo, mechanizm nożnego napędzania śruby – podobny do przekładni rowerowej, kieszenie na żywność, lampka nad mapnikiem, rozkładany fotel, deska rozdzielcza, zapasowe akumulatory, wszystko, nawet peryskop z wodoszczelnym rękawem. Pod warstwą piachu i trocin znajdowały się w szopie szyny biegnące aż do wody, głębokiej w tym miejscu zaraz z brzegu. „Spójrz – powiedział ojciec – te kobyłki mają śruby na kółka”. I rzeczywiście, po chwili kółka się znalazły, podobnie jak slip ukryty w krzakach i żelazna lina. „Gdyby ktoś doniósł...” – szepnął ojciec. „Musimy zrobić to prędko, rozumiesz?”

Rozumiałem. Trzeba było najpierw otworzyć zawory komór balastowych, następnie zablokować ster, zepchnąć wózek w wodę, uwolnić łódź z pochylni, uruchomić silnik i wyskoczyć. Trwało to nie dłużej niż kwadrans. Lśniące cygaro, pyrkając na wolnych obrotach silnika, oddaliło się od brzegu ze trzydzieści metrów coraz głębiej i głębiej zanurzone, aż wreszcie cudowne dzieło dziadka Karola, owoc jego geniuszu, w bulgocie i syku, zniknął pod zieloną taflą wody na zawsze. Zniszczyliśmy je, a raczej posłaliśmy na dno jeziora. „Czy sądzisz...” – zapytałem ojca, kiedy wracali-

śmy do domu pastorowej. „Nie wiem” – odpowiedział. „Ta rzeka wpada do Wisły i jest chyba dość głęboka”. To wszystko, co powiedział na ten temat. Nigdy więcej nie mówił o Wydrwitach ani o łodziach podwodnych. Kiedy zaś czasami z radia dobiegał komunikat o norweskim fiordzie, w którym znowu schwytano sowiecką łódź podwodną, nerwowo wyłączał odbiornik i wychodził do kuchni na papierosa.

Skręciłem z pobrzeża w jakąś niewielką ulicę i maszerując na wycucie, dotarłem wreszcie do stacji przy Summerhill Road. Byłem prawie nieprzytomny ze zmęczenia. Kupiłem w automacie bilet i wsiadłem w pierwszy pociąg, jaki jechał do miasta. Natychmiast, ledwie ruszył, zasnąłem i dopiero lekkie szarpnięcie za ramię (nie wiem, po jakim czasie) przywróciło mi poczucie rzeczywistości. Stał przede mną konduktor albo ktoś z obsługi, w każdym razie w uniformie, i mówił coś, czego nie mogłem zrozumieć.

– To pana? – potrząsał niebieskim prostokątem. – Czy to pan zgubił? Leżało na podłodze, o, tutaj. Czy to pana zguba?

Ze zdumieniem rozpoznałem plan miasta. Niewątpliwie był to mój egzemplarz, nieco przedarty na rogu, z głębokim pęknięciem lakieru, które biegło przez całą okładkę jak rysa.

– Tak – powiedziałem – to mój plan. Ale zgubiłem go wczoraj popołudniem. Czy to możliwe?

Człowiek w uniformie podniósł czapkę, podrapał się za uchem i powiedział:

– Zdarzają się takie rzeczy. Ale nie na tej linii, proszę pana.
– I odszedł rozbawiony.

– Jaka stacja? – wołałem za nim. – Jaka następna?

– Pearse Station – odpowiedział. – Już zaraz!

Rzeczywiście. Pociąg hamował i przez okno ujrzałem napis PEARSE STATION. Wysiadłem i w dół schodami zszedłem do wyjścia.

Świtało. W dłoni ściskałem plan miasta, ale nie rozkładałem go. Wiedziałem już, że jeśli pójdę w prawo, trafię przez most na Eden Quay, skąd odchodzi właściwa linia autobusu. A gdy skręcę w lewo, dojdę do kościoła Świętego Andrzeja przy Westland Row, wejdę do środka i ujrzę świece i modlących się ludzi, mężczyznę z listą umarłych w dłoni i znów – na pewno – pomyślę o dziadku Karolu. Potem wezmę kartkę, porozmawiam z księdzem, dam kloszardowi pięćdziesiąt penów i o mały włos nie wpadnę pod zieloną furgonetkę z napisem „*Live Cockles and Mussels*”. Czy wszystko miało się powtórzyć?

Nie skręciłem więc ani w lewo, ani w prawo, tylko poszedłem prosto do budki z napisem „Telefon”, przy której zaczynał się rząd stojących taksówek.

W pensjonacie przespałem ze trzy godziny. Wziąłem prysznic, zjadłem śniadanie i pojechałem na dworzec autobusowy. Kupiłem bilet do Galway. Miałem jeszcze trochę czasu do odjazdu, wypilem więc kawę i chcąc zapalić papierosa, sięgnąłem do kieszeni, lecz zamiast pudełka Silk Cut wyjąłem z niej papier i kopertę. Nie czytałem już kwestionariusza. Spokojnie, bez namysłu, przez wszystkie puste linijki w poprzek napisałem: „Mój dziadek Karol, kapitan zatopionej łodzi.” Włożyłem do koperty banknot, pocałowałem kartkę, złożyłem ją starannie i również wsunąłem do koperty; zakleiliśmy, po czym wrzuciłem do pocztowej skrzynki.

Opowiadania na czas przeprowadzki

A kiedy autobus, pędząc w górę Liffey, mijał już przedmie-
ścia, kiedy przez szyby widziałem już głęboką, ciemną zie-
leń łąk, powiedziałem:

– Teraz zostawiam cię w tym mieście, teraz odjeżdżam
już spokojny, wiem, że nie pojedziesz za mną.

Mina

Od dawna sprawiała wrażenie osoby niezrównoważonej, lecz nagły wybuch choroby, jej gwałtowna ekspansja zaskoczyły mnie całkowicie.

Mina przychodziła coraz częściej i paląc jednego papierosa za drugim, potrafiła mówić dwie, trzy godziny bez przerwy. Tematy monologów krążyły wokół dzieciństwa, niepostrzeżenie wkraczały w dziedzinę życia religijnego, by w końcu z nieuchronną konsekwencją poruszać się w mrocznych korytarzach Erosa.

Mina obawiała się potępienia. Bóg czyhający na każdy błędny krok, na każde jej potknięcie i upadek był Bogiem okrutnym i mściwym. Potrafił karać, ale nie wybaczał. Sądził, ale nie potrafił kochać. Był Stwórcą, lecz zapowiadał zniszczenie i śmierć. Mina bała się takiego Boga i w jej lęku odnajdywałem strach pięcioletniej dziewczynki, która obudzona w środku nocy widzi swego ojca, gdy ten, pijany i ciskający przekleństwa, bije matkę pięściami.

Nie mogłem niczego perswadować ani wyjaśniać. Dzieciństwo Myny, ten odległy czas, w którym monolog zanurzał się często, jakby dla nabrania oddechu, było dla mnie krainą odległą i nieznaną, choć Mina urodziła się i spędziła pierwszych dwadzieścia lat swojego życia w tym samym kraju co ja. Śląskie miasteczko, położone blisko granicy niemieckiej, wyłaniało się z jej opowieści jak egzotyczna wyspa. Mężczyźni umierali tam prędko, z reguły przed sześćdziesiątką, kobiety w przerwach między pracą na trzy zmiany a gotowaniem rodziły dzieci, a młodzi chłopcy wyjeżdżali jak tylko nadarzała się okazja; kiedy zaś brako-

wało okazji, pili wódkę i szli do kopalni, bo taki był tu porządek rzeczy.

Mina opowiadała o swoim ojcu, który jej nie kochał, o matce, która umarła dziesięć lat temu, i o braciach, którzy nie interesowali się losem siostry. Opowiadała też o Rosjanach, których w miasteczku było parę tysięcy, i o zamkniętej dzielnicy, gdzie mieszkali sowieccy żołnierze z rodzinami.

Minę otaczał chłód. Czowała to całym ciałem, od samego właściwie początku, i było to doświadczenie okropne.

– Jakbym zanurzała się w studni – tłumaczyła cierpliwie – jakbym spadała coraz głębiej tam, gdzie woda zamarza i gdzie brak już tchu.

W tym stanie żyła nieraz przez długie miesiące i chociaż za oknem jej pokoju rozwijały się liście albo padał ciepły, czerwcowy deszcz, Mina czuła, jak jej ciało spowija coraz grubsza warstwa śniegu, jak dłonie zmieniają się w sople lodu, a w brzuchu, piersiach i łonie hula zimny wiatr.

– Gdyby dotknął mnie promień światła albo gdybym usłyszała słowo – wyjaśniała Mina – byłabym uratowana.

Ale TEN, NA KTÓREGO CZEKAŁA, nie chciał na nią spojrzeć ani tym bardziej nie zamierzał udzielić jej swojego słowa. Oddawała się wtedy przygodnie napotkanym mężczyznom i długo tłumiony płomień pożądania wybuchał z siłą wulkanu. Szybko jednak spostrzegła, że gdy ciało osiąga zenit rozkoszy, jej dusza wypełnia się lękiem i udręką. Z początku nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć, lecz z czasem ta dziwna dwoistość ukazała Minie swoją przyczynę. Otóż za każdym razem oddawała się temu samemu mężczyźnie. Książę Ciemności zmieniał wprawdzie swój wygląd (mógł być smukłym brunetem, którego poznała w hotelu, albo

blondynem z działu handlowego), lecz w chwili największego uniesienia zawsze rozpoznawała jego rysy, w których piękno i brzydota łączyły się ze sobą w zadziwiający sposób. I wtedy powietrze rozdzierał jej krzyk albo tłukła szkło, jeśli znalazła je pod ręką, albo wybiegała na schody, żeby ostrzegać ludzi. Nadchodził okres chłodu i Mina pogrążała się w nim coraz głębiej, aż do następnego razu. TEN, NA KTÓREGO CZEKAŁA, nie przychodził, a Księżę Ciemności, zaspokoiwszy chwilowo i połowicznie żądze, wypatrywał sposobnego momentu.

Patrzyłem na jej łzy. Mina była bezradna, lecz moja bezradność wobec jej cierpienia wydawała się jeszcze większa. Czy mieliśmy rozmawiać o Bogu, tym, którego Mina tak bardzo się bała i który do złudzenia przypominał jej ojca? Uciekła przed nim z miasteczka nad niemiecką granicą aż tutaj, gdzie skończyła uniwersytet, gdzie – pochylona godzinami nad biblioteczną półką – zarabiała nędzne grosze na życie i gdzie jego spojrzenie ścigało ją nadal jak niewidzialna siła.

Na nic zdały się jej podstępny, jej magiczne zabiegi, aby umknąć przed wzrokiem, w którym zawiera się moc i władza. Mina przekonała się o tym kilka miesięcy temu, klęcząc przy kratkach konfesjonału, kiedy usiłowała wytłumaczyć mężczyźnie w czarnej sukni istotę swego bólu. Opowiadała mu o płomieniu, który wybucha niespodzianie pod kopułą lodu i zmarzliny, mówiła mu o palącym ją wówczas ogniu pożądania, którego nic nie jest w stanie ugasić, i o Księciu Ciemności, któremu musi ulec. Mężczyzna w czarnej sukni wybiegł z konfesjonału i wykrzykiwał do Miny jakieś niezrozumiałe słowa, ale po chwili wszystko stało się oczywiste.

To był on, mściwy i zazdrosny Jehowa we własnej osobie! Biegł za nią przez cały kościół, wymachiwał gwałtownie ramiionami i jak ojciec groził potępieniem. Mina uciekła na plażę i do wieczora leżała na suchym piasku, słuchając, jak wieje wiatr.

– A przecież – powtarzała – wystarczyłby promień światła, wystarczyłoby jedno słowo, a byłabym uratowana!

Usiłowałem coś powiedzieć. Tłumaczyłem, że ten promień albo głos, na który czeka, jest być może bardzo blisko, tuż, tuż, więc nie należy rozpaczać. W takich momentach Mina wybuchała gniewem. Kiedy na górze Armon dwieście aniołów zapałało pożądaniem do córek ziemi, owe nieziemskie istoty przepalały je swoimi spojrzeniami. Żadna z nich nie mogła się oprzeć, a to, co nastąpiło, było początkiem końca. Bezcielesne anioły, czyste inteligencje, łączyły się z prochem ziemi, bo czymże jest ciało kobiety, jeśli nie takim prochem? Łączyły się więc anioły na górze Armon z prochem ziemi, rozpoczynając dzieje upadku.

Ale Minie nie chodziło o takie spojrzenie, o takie światło, które przepala i niszczy. Mina czekała na promień, który dotknie jej ciała delikatnie, przeniknie duszę i przy dźwiękach muzyki (choć może będzie to tylko szum niewidzialnego oddechu) uczyni ją błogosławioną. TEN, NA KTÓREGO CZEKA, ma właśnie takie spojrzenie. Jak mogę tego nie rozumieć? Jak mogę nie wiedzieć, że istnieją tak różne od siebie spojrzenia?

Nie wiedziałem jednak znacznie więcej. Szyby starej kopalni, nieczynne koła wyciągów czy osiedle rosyjskich żołnierzy, skąd dochodziły czasem dźwięki strzałów albo harmonozki i chóralnego śpiewu, były dla mnie tak samo dalekie

jak opowieść o górze Armon i upadłych aniołach. Pośród tego wszystkiego, jakby góra Armon była hałdą w miasteczku Myny, krążyło widmo jej ojca. Ten człowiek o krzaczastych brwiach i dłoniach jak łopaty nienawidził Myny od samego początku, kiedy tylko urodziła się w ich ceglonym domu na przedmieściu.

– Właściwie – tłumaczyła Mina – miałam mieć na imię Helena, ale ojciec wybuchnął śmiechem i krzychał na matkę, że takie brzydkie dziecko nie może się tak nazywać. I dał mi na imię Mina.

Człowiek o krzaczastych brwiach i dłoniach jak łopaty tęsknił za doskonałością. A ponieważ świat, tak samo jak Mina i miasteczko, i tysiące innych ludzi, nie był doskonały, ojciec potępiał wszystko, bo wszędzie mógł odnaleźć pył, brud i pęknięcia. Takie same jak na ścianie ich domu, zanim przeprowadzili się do nowych bloków. Mina zapamiętała widok buldożera, który rozwałił ceglana ścianę i czerwony dach, zapamiętała też drzewo wyrwane z korzeniami, gdy kołysało się długo na tle jasnego nieba, schwytane w żelazne szczęki.

Jakby na przekór ojcu Mina wyrosła na najpiękniejszą dziewczynę w miasteczku. Jej piersi i chód zachwycały mężczyzn, a rosyjscy oficerowie ze złocistymi pagonami, którzy wychodzili czasem ze swojej dzielnicy, żołnierze pachnący wodą kolońską i natłuszczoną skórą butów i pasów, patrzyli za nią wzrokiem pełnym melancholii.

– W każdym z nich mógł się ukryć Księżę Ciemności – tłumaczyła Mina – ale wtedy nie wiedziałam o tym jeszcze. Wiedziałam tylko, że ojciec czeka na mój upadek.

Patrzyłem na jej zmęczoną twarz i palce poślótkie od najtańszych papierosów. Opowieść snuła się dalej, przeskaku-

jąc swobodnie miesiące i lata, a jej wewnętrzna logika przypominała labirynt z zamurowanym wyjściem. Mina wiedziała o tym dobrze i może dlatego w jej oczach czaiło się przerażenie. Czowała, jak zagarnia ją szaleństwo, i chociaż jedną nogą stała jeszcze tutaj, gdzie wiele rzeczy dało się wytłumaczyć niekoniecznie za pomocą upadłych aniołów, drugą tkwiła już tam, po drugiej stronie.

– To jest wir, który mnie wsysa – krzyczała, nie patrząc w moją stronę – za dwa albo trzy dni zaczepię pierwszego lepszego faceta, chwycę go za rękaw marynarki i powiem: „Niech mnie pan zerznie, do jasnej cholery, co pan sobie w ogóle myśli?”. Albo stanę w oknie, tak, stanę w oknie i będę wyrzucać bieliznę, aż zjawi się jakiś gość, który zechce mi ją przynieść.

Pląkała głośno, ukrywając twarz w dłoniach. Nasza znajomość była w gruncie rzeczy przelotna: czasami podawała mi książki w bibliotece, czasami widywałem ją na długich korytarzach uniwersytetu, zamieniając dwa albo trzy zdania o pogodzie albo obiadach w stołówce. Uświadomiłem sobie, że mieszka sama i być może nie ma nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Nikt nie pisze do niej listów ani nie przychodzi na herbatę do pustego pokoju. Wreszcie, po kilku minutach milczenia, Mina podała mi kartkę z numerem telefonu.

– Zadzwoń – wyszeptwała – ja sama nie mogę. Tylko powiedz, żeby trzymali łapy z daleka. Bo zagryzę ich jak wściekła suka, rozumiesz? Powiedz im to!

Zrozumiałem, że nie po raz pierwszy wybiera się do szpitala.

Kiedy mężczyźni w białych kitlach pojawili się w drzwiach, Mina wstała spokojnie z fotela i ruszyła z nimi do samochodu. Jeden z nich wrócił po chwili i pragnął dowiedzieć się

czegoś więcej o pacjentce. Czy miała atak furii? Czy depresja, w jakiej się znajduje, mogła być wynikiem konfliktów rodzinnych? Czy to pierwszy wypadek w rodzinie? Milczałem. A kiedy samochód odjechał spod domu, odetchnąłem głęboko, jakbym uwolnił się od wielkiego ciężaru.

Dwa dni później zadzwoniła ze szpitala. Obciążyła mnie bagażem spraw niezłatwionych. Musiałem zapłacić czynsz, porozmawiać z kierownikiem biblioteki, wziąć z jej mieszkania książki, szczoteczkę do zębów, ręcznik, ranne pantofle i zawieźć jej to wszystko. Straciłem na to co najmniej pół dnia. Kiedy więc zaproponowała mi później, abym zatrzymał klucz i podlewał kwiaty, stanowczo odmówiłem. Obiecałem za to, że raz w tygodniu będę przychodził do szpitala, a jeśli Mina przypomni sobie o czymś nagle, zatelefonuje do mnie, nie czekając na piątek.

Wyglądała na senną, skarżyła się na bóle głowy i zastrzyki, którymi faszerowały ją pielęgniarki. Jej ruchy były powolne, nie mogła do końca zginać krzyża i karku, ponieważ leki usztywniały mięśnie. W sali telewizyjnej, gdzie rozmawialiśmy, krążyły inne postacie w pidżamach. Ich spojrzenia, choć przezroczyste i nieobecne, peszyły mnie bardzo, bo wyglądało na to, że krążą właśnie wokół nas i że łowią nasze słowa, jakbyśmy mieli coś do ukrycia. Tymczasem ja milczałem, a Mina ze wzrokiem utkwionym w oknie opowiadała wciąż o TYM, NA KTÓREGO CZEKA. Dlaczego nie przychodzi? Czy dlatego, że ona, Mina, nie jest godna takich odwiedzin? A może dlatego, że brzydzi się jej ciałem? Powinien wiedzieć, że oprócz ciała Mina ma jeszcze duszę, o, jak bardzo ją ma!, jak mocną ją czuje, tę czystą i nieskalaną duszę, w którą on mógłby wejść jak do kryształowego naczynia. A może odnajdzie ją

tu, w szpitalu, pośród łóżek i białych kitli pielęgniarzy, w całym tym zgiełku i smrodzie? I wypełni ją, jak oliwa wypełnia pusty dzban. – On, który kładzie dłoń do gniazda żmij i który otwiera wszystkie drzwi i zamki.

Gdzieś z głębi oddziału dochodził straszny ryk, słychać było bieganinę i krzyki, a Mina, podchodząc do okna, szepotała coraz ciszej słowa swojej modlitwy, skupiona i doskonale nieobecna.

Jeden z pacjentów, w szlafroku narzuconym na sweter, grabił pod murem szeroki pas ziemi. Mina zdawała się nie dostrzegać pracującego mężczyzny. Nadal mówiła do siebie, a ja obserwowałem jego precyzyjne ruchy, które stąd, z wysokości pierwszego piętra, wyglądały na dziwnie namaszczone. Mężczyzna co chwila przerywał pracę i przyglądał się świeżym śladom na spulchnionej ziemi. Szukał tam czegoś wzrokiem, po czym z niedowierzaniem kręcił głową i zabierał się dalej do roboty. Kiedy pojawiły się pielęgniarki i prowadziły Minę ku drzwiom korytarzem, mężczyzna z grabiami stał pod murem nieruchomo wpatrzony w niebo. Srebrne obłoki przeciągały wolno nad parkiem, w liściach drzew migotało leniwie słońce, a za lasem, od strony lotniska, mruczał silnikami pasażerski samolot.

Jej opuchnięta twarz przywitała mnie po tygodniu jak zwiastun złych wiadomości. Mina miała podkrążone oczy i skaleczoną wargę, której grymas upodabniał ją do wiedźmy z ilustracji dziecięcej książki.

Torba z papierówkami upadła na podłogę. Zbierałem jabłka, przyklękając na śliskim linoleum, a ona, jakby wstąpił w nią zły duch, klęła ochryplym, niskim głosem, wyrzucając potoki ordynarnych zdań. Byłem wszystkiemu winien i cała

furia w niepokromionym gniewie spadła właśnie na mnie. To ja śledziłem ją na korytarzach uniwersytetu, dawałem jej dwuznaczne propozycje, zwracając pożyczone książki, chodziłem za nią po ulicach w nadziei, że wreszcie ulegnie nieczystym pragnieniom, a skoro nie uległa, wysłałem ją do szpitala, gdzie cierpi teraz męki, gdzie aplikują jej zastrzyki, elektrowstrząsy i „całe to gówno, od którego robi się niedobrze”.

Nie dawała mi dojść do słowa. Jeszcze raz cisnęła torbę z jabłkami na podłogę. Wymachiwała rękami jak nakręcona, śmiała się ze mnie, używając genitalnych porównań. Byłem Księciem Ciemności, przywódcą pożądliwych synów Boga z góry Armon, rosyjskim żołnierzem, który zgwałcił ją w parku tuż po zmierzchu, gdy wracała do domu z pierwszej randki; byłem też lekarzem, który zrobił jej skrobanek; przeze mnie wreszcie ojciec bił ją po twarzy, nazywał suką i wyrzucił z domu.

Chciałem odejść, lecz Mina szła za mną i mówiąc coraz szybciej, szarpała mnie za ramię. Strużki śliny w kącikach jej ust rozpryskiwały się gwałtownie, a ja czekałem, aż dobiegną pielęgniarki i przerwą tę scenę, w której stałem się oskarżonym.

Rzeczywiście, wkrótce to nastąpiło, ale Mina z siłą, której nigdy bym w niej nie podejrzewał, walczyła z trzema osiłkami jeszcze dobrą chwilę.

– To on! To on! – krzyczała do swoich oprawców, wskazując na mnie. – On rznął nieletnią Minę! Zamknijcie drzwi! Nie pozwólcie mu wyjść! Gdzie jego mundur? Gdzie ukrył złote epolety?

Nie potrafię opisać, co wówczas czułem. Pacjenci i odwiedzający ich bliscy patrzyli na mnie ukradkiem, przyzwyczajeni

do takich scen, a jednak w spojrzeniach, które mnie oblepiały, odnajdywałem ukryte pytanie. Rozsypane jabłka leżały na podłodze nieruchomo niczym bilardowe kule. Nie podniosłem ich, a kiedy w chwilę potem zmierzałem do wyjścia, zatrzymał mnie lekarz, profesor B., sława miejscowych psychiatrów i szef kliniki w jednej osobie. Chciał mnie zaprosić do gabinetu, wypytać o Minę, lecz ja biegłem już po schodach w dół, jakbym był zwykłym pielęgniarzem albo salowym, i nie zwracałem uwagi na jego słowa. Szedł jednak za mną dalej, poły białego fartucha fruwały na wietrze, a nasza rozmowa przypominała wymianę not dyplomatycznych, powściągliwych w formie i pełnych zatajonych informacji. Wreszcie, kiedy zatrzymaliśmy się przy zarośniętym glicynią murze, gdy wyjaśniłem mu charakter mojej z Miną znajomości, a on informował mnie o cyklach schizofrenii, jej pospolitych objawach i zaskakujących wyjątkach, ujrzałem mężczyznę z grabiami. Patrzył chyba na fioletowe kwiaty glicynii albo na świeżo zagrabiony pas ziemi, który porządkował, tak samo jak wtedy, gdy obserwowałem go z okna.

– Taki stan – ciągnął profesor – może trwać kilka miesięcy, potem kryzys mija albo i nie, czasami ciągnie się latami – wskazał na mężczyznę pochylonego nad grządką – jak w tym przypadku. Czy pan wie, jak długo on tu jest? Przeszło trzydzieści lat!

Szedłem aleją starego parku w dół, między pawilonami. Z zakratowanych okien wyglądały gdzieś twarze pacjentów. Tylko nieliczni pensjonariusze, jak ten z grabiami, chodzili swobodnie po ogrodzie w wypłowiałych szlafrokach ostemplowanych bordowymi trójkątami.

Profesor B. zatrzymał się przed oddziałem psychoterapii otwartej i podał mi dłoń.

– Młody człowieku – powiedział – to ładnie z pana strony... to godne pochwały, że..., zwłaszcza że nasza pacjentka nie ma chyba nikogo...

A gdy na koniec podałem mu swoje nazwisko, po chwili zastanowienia przypomniał sobie mojego ojca.

– Pływaliśmy w yacht-clubie na poniemieckiej łajbie – uśmiechnął się szeroko. – W czterdziestym szóstym roku. Tak, tak, czy wie pan, jak wyglądała wtedy Gdynia? – Odchodząc, usłyszałem jeszcze, że powinienem go odwiedzić, kiedy znów przyjdę do Miny. – Niech się pan nie przejmuję – wołał za mną – w przyszłości powinna być spokojniejsza!

Przez następne dni starałem się nie myśleć o Minie, jej chorobie i szpitalu.

Któregoś jednak razu Mina powróciła do mnie we śnie. Stała na szczycie ceglanej wieży. Wokół rozciągała się równina falujących traw, a ja biegłem do niej – wśród ostów i burzanów. Mina trzymała w dłoni płonącą pochodnię i chociaż, jak się zdaje, był dzień, jej światło oślepiło mój wzrok.

– Nie jestem Miną – krzyczała, gdy byłem już na górze – jestem Heleną!

Obudziłem się w mokrej od potu pościeli.

Od tej pory sen zaczął się powtarzać, a ja czułem w sobie narastający niepokój. Pożądałem jej ciała, ale nie tego, które widywałem w bibliotece, na długich korytarzach uniwersytetu, ani tego, które mogłem sobie wyobrazić w małym miasteczku nad niemiecką granicą. Pragnąłem jej ciała – na szczycie ceglanej wieży. Było piękne i absolutnie doskonałe.

Tymczasem z jej rzeczywistym ciałem działały się rzeczy zatrważające. Z tygodnia na tydzień Mina stawała się coraz grubsza, jej twarz, nalana i spuchnięta, przypominała wize-

runki Boscha, a zupełna apatia i bezruch pogłębiały jeszcze wrażenie obcości i wywoływały obrzydzenie, którego mimo najlepszych chęci nie mogłem w sobie stłumić.

Rozumiała chyba, co do niej mówię, ale sama odpowiadała niechętnie, urywanymi zdaniami. Chciałem zapytać ją o wiele rzeczy. Co robią jej bracia? Czy ojciec jeszcze żyje? I jak to było z tym rosyjskim żołnierzem, wtedy, w jej miasteczku, kiedy wracała o zmroku przez opustoszały park, uskrzydłona randką, w czasie której, być może, wymieniła pierwsze pocałunki ze starszym o rok kolegą z maturalnej klasy.

Wszystko jednak musiało pozostać w sferze domysłów. Wzrok Miny miał w sobie odpychającą siłę i żadne z moich pytań nie zostało nawet wypowiedziane.

Nie potrafiłem wyjaśnić, dlaczego tam chodzę. Nie miałem wobec Miny jakichkolwiek zobowiązań, a jej stan, bliski katatonii, pogłębiał się coraz bardziej, wykluczając porozumienie.

Moje wizyty były coraz krótsze, unikałem w ich czasie spotkań z profesorem B. i tylko mężczyzna z grabiami, którego spotykałem za każdym razem w tym samym miejscu przy murze, intrygował mnie coraz mocniej. Grabił zawsze ten sam pas ziemi, a potem śledził uważnie ślady narzędzia. W wąskich bruzdach szukał najwyraźniej jakiegoś śladu, lecz nie znajdował go i wtedy znowu grabił, pochylony nad grządką. Obserwowałem jego ruchy wielokrotnie, zatrzymując się przy murze na długie minuty, ale on, zajęty swoim dziełem, nie zwracał na mnie uwagi.

Pod koniec lata uświadomiłem sobie, że nie przychodzę tam już dla Miny ani ze względu na mój sen o niej, lecz dla tego właśnie mężczyzny w szlafroku z trójkątnym stemplem „P”,

oznaczającym szpital dla psychicznie chorych. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Ani przez chwilę nie rozjaśniał jej uśmiech czy grymas zwątpienia i tylko kiedy pochylał się nad ziemią, dostrzegałem, jak marszczy brwi, prawdopodobnie zdumiony, że nie znajduje tam tego, co pragnął ujrzeć. Nie odpowiadał też na moje nieśmiałe pytania, które zadawałem mu kilkakrotnie: „Czego pan szuka? Czy mogę pomóc? Czy zginął panu jakiś cenny przedmiot?”. Czasami, na dźwięk słów, odwracał się w moją stronę i wówczas widziałem jego oczy. Były tak samo niebieskie, jak oczy Miny, jakkolwiek ich spojrzenie zdawało się wyrażać odmienny rodzaj szaleństwa. Tak, jego ascetyczna figura i olimpijski spokój stanowiły rodzaj wyzwania. Świat za murem, ten, z którego przychodziłem, jawił się naraz jako chaotyczny i przypadkowy. W ciągłej zmienności, w strumieniu odgłosów i kształtów, przypominał rzekę, której nurt prowadzi w nieznanym kierunku. Tymczasem mężczyzna z grabiami nie podlegał jakby tej sile – odprawiając swoje misterium. Jego wieczność na kilkunastu metrach spulchnionej ziemi, milcząca i niedostępna, tkwiła gdzie indziej.

Któregoś razu, chyba w ostatni piątek września, Miny nie przyprowadzono już do sali odwiedzin. Siedziała nieruchomo na łóżku i kiedy patrzyłem przez szybę izolatki na jej twarz, zrozumiałem, że niewidzialna siła, zapewne ta sama, która dręczyła ją z takim uporem, przecięła ostatnią nić, która łączyła Minę ze światem.

Głos profesora, tuż za moimi plecami, mówił o zmianach somatycznych i hormonalnych, o tkance, chemii i tajemniczych substancjach mózgu, których nazw nie zapamiętałem, i że za sto albo dwieście lat, gdy biochemia rozwiąże tę zagadkę, to, co teraz jest nieuleczalne, stanie się uleczalne.

Milczałem.

Głos profesora brzmiał stanowczo i spokojnie, jakby wygłaszał odczyt w sali wypełnionej ludźmi jego profesji. Po tej stronie szyby, przestrzeń korytarza wypełniały: „struktura białka”, „mutacje genów” i „zwoje mózgowe”; po tamtej – była Mina: gruba, brzydka, zaśliniona, zidiociała do końca. Trzeba ją było karmić, kąpać, przebierać jak dziecko; trzeba ją było oczyszczać z jej własnych nieczystości, czemu poddawała się obojętnie, nie stawiając oporu.

Czy TEN, NA KTÓREGO CZEKAŁA, nie przyszedł? Czy bogowie ciemności, ci sami, którym przewodził anioł z góry Armon, zabrali jej duszę, kładąc na ciele swoją nikczemną pieczęć?

Czy była jakaś inna odpowiedź? Miałem dwadzieścia cztery lata i nigdy nie zajmowałem się teologią. Moje katolickie wychowanie w najmniejszym stopniu nie sprzyjało tego rodzaju rozważaniom, a Mina domagała się przecież odpowiedzi. Zwłaszcza tam, po drugiej stronie szyby, gdzie była bezradna i całkiem opuszczona.

Tymczasem profesor mówił dalej i dopiero po chwili zrozumiałem, że opowiada o człowieku z grabiami. Był strażnikiem granicznym w czasach, kiedy co wieczór przez plażę przejeżdżał traktor z broną. Każdego ranka patrolował swój odcinek i każdego ranka, jak twierdził później w czasie wielogodzinnych przesłuchań, znajdował ślady bosych stóp prowadzące z wydm do morza. Nie meldował o tym przełożonym. Gdyby ślady prowadziły w odwrotnym kierunku, mógłby przypuszczać, zgodnie z instrukcją, że z łodzi podwodnej wyszedł szpieg. Ale dlaczego boso? I zawsze w tym samym miejscu? Na te pytania nie potrafił odpowiedzieć,

podobnie jak nie mógł wyjaśnić, czemu ślady, które znajdował codziennie rano, prowadzą do miejsca, gdzie rozmywają je fale. Wiele nocy spędził na czuwaniu, spodziewając się wyjaśnienia zagadki. Nie widział jednak nikogo, a ślady pojawiały się zawsze, jakby ktoś szydził sobie ze wszystkich strażników razem wziętych. Ten ślad nie dawał mu spokoju, stał się jego obsesją i przekleństwem, cokolwiek bowiem robił poza służbą, nie mógł uwolnić się od myśli, że następnego ranka, kiedy maszerować będzie wzdłuż szerokiego pasa zaoranej plaży, z karabinem przerzuconym przez ramię, w tym samym co zawsze miejscu natknie się na odciski bosych stóp. Chodził za nimi aż na wydmy, ale ślady urywały się, zupełnie tak, jakby ktoś pojawił się w tym miejscu prosto z powietrza i tylko po to, by przejść przez piaszczyste wzgórze, przeciąć zaorany pas i zniknąć następnie w morzu.

Zastanawiałem się, dlaczego profesor opowiada mi tę historię. Stało się to dla mnie jasne, gdy siedząc już w jego gabinecie, popijaliśmy kawę z porcelanowych kubków.

– Te ślady – mówił, poprawiając rogowe okulary – nigdy przecież nie istniały. Już wówczas strażnik graniczny musiał cierpieć na pewne zaburzenia, które, gdyby je w porę wykryto, nie musiałyby doprowadzić do tragedii.

Stało się to w roku pięćdziesiątym pierwszym, nad ranem, kiedy opadała mgła i nad morzem rozbłysły pierwsze promienie słońca. Strażnik, przycajony jak przez wiele nocy, zapadł w drzemkę i kiedy obudziło go nagle światło, poczuł drżenie serca. Od strony wydym nadchodziła jakaś postać. Szła lekko przez zaoraną plażę, ledwie dotykając ziemi, a strażnik, który nie mógł oderwać od niej wzroku, wielokrotnie utrzymywał później, że z jej ramion wyrastały dwa

wielkie skrzydła. „Stój, bo strzelam!”, krzyknął, ale postać (nie widział dobrze z tej odległości, czy to mężczyzna, czy kobieta) nie zwracała na niego uwagi, idąc dalej od brzegu. Wtedy nacisnął spust, raz i drugi, mierząc między skrzydła, trochę powyżej łopatek. Kiedy podbiegł do brzegu, zobaczył młodą dziewczynę. Mogła mieć dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Leżała nieruchomo, patrząc w niebo. Fala obmywała jej bosc stopy, a krew prędko wsiąkała w piasek, pozostawiając na nim ciemne plamy. Była martwa, a on nigdzie nie widział skrzydeł. Tak właśnie znaleziono ich w godzinę później. Ona leżała z nogami w wodzie, a on klęczał przy niej i płakał, głaszcząc jej długie włosy i dotykając dłonią jej policzków.

– Ostatecznie – ciągnął profesor – nie udało się ustalić tożsamości dziewczyny i aby rzecz zakończyć, stwierdzono próbę nielegalnego przekroczenia granicy. Strażnik został przeniesiony do koszar, żeby nie chodził więcej po plaży, ale po paru miesiącach wyszło na jaw, że jest po prostu wariatem. „Zabiłem anioła”, pisał do przełożonych w kolejnych raportach, „i Bóg spuści na mnie karę i na cały ten przeklęty kraj, gdzie możliwe są takie zbrodnie”. Wtedy właśnie skierowano go tutaj – profesor zapalił papierosa – i jeszcze jako asystent byłem obecny przy jego badaniu. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego nikt inny nie widział wcześniej śladów na piasku. Co do skrzydeł zaś twierdził, że musiały same pofrunąć do nieba, bo Bóg nie pozwolił, aby dostały się w ręce śmiertelnych.

Wkrótce potem poprosił o grabie i zaczął porządkować codziennie ten sam kawałek ziemi pod murem.

– Trzydzieści lat – powiedział po chwili profesor. – Tak, dokładnie tyle mija od chwili, kiedy poprosił o grabie. Inte-

resował się jego historią jakiś dziennikarz – ciągnął dalej – wie pan... żeby wygrzebywać tamte sprawy, tamtą epokę. Nie udało mu się jednak odnaleźć grobu dziewczyny, która miała być aniołem; nie dotarł nawet do akt tej sprawy. A on – profesor wskazał ręką na okno – on niczego nie powie. Odkąd zaczął grabić ziemię pod murem, przestał w ogóle mówić, więc reportażu nie będzie, bo kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby w taką historię? – Profesor zaśmiał się krótko, sucho, ironicznie.

A kiedy schodziliśmy parkiem do bramy szpitala i kiedy mówił, że Mina może trwać w stanie otępienia tak samo długo jak strażnik z grabiami albo jeszcze dłużej, kiedy tłumaczył, jak skomplikowane procesy zachodzą w mózgu i całym układzie nerwowym, procesy, których istoty nie jesteśmy w stanie określić ani którymi nie potrafimy tym bardziej kierować, myślałem o trzonku do grabi. Był lśniący i wyszlizgany jak drewno ławek kościelnych, dotykanych zawsze w tych samych miejscach.

– Czasami – kończył profesor – wystarczy niewielka zmiana w składzie chemicznym tkanki albo płynu. I wtedy zaczynamy widzieć anioły i diabły, zaczynamy słyszeć głosy i nigdy nie wiadomo, czym to się skończy. Tak, tak... – mówił – niech pan kiedyś jeszcze zadzwoni, ale przychodzić nie ma na razie po co.

Rzeczywiście, nie było po co. Mina nie wyzdrowiała. Nie zdarzył się żaden cud, który przywróciłby jej zdrowie i dawny wygląd. Nie odkryto też żadnej substancji biochemicznej, która mogłaby ją uleczyć.

Od tamtego czasu upłynęło już osiem lat i wiem, że Mina, zamknięta na oddziale specjalnym, parę razy w roku dosta-

je ataku szału, po którym następuje okres zupełnej apatii i bierności.

Myślę o niej często, podobnie jak często wspominam moją wizytę w szpitalu, podczas której widziałem Minę po raz ostatni. Było to dwa miesiące po rozmowie z profesorem. Drzewa w parku straciły już liście, a na ziemi co krok trzeszczały pod butem cienko zamrożnięte kałuże. Pielęgniarski prowadzący Minę poprawił jej płaszcz zarzucony na szlafrok, a ona zatrzymała się pod murem. Ktoś z budynku zawołał pielęgniarkę przez okno. Pielęgniarski wahał się chwilę, ale widząc, że stoję w pobliżu, zostawił Minę i pobiegł do budynku. Wtedy stała się rzecz niezwykła: mężczyzna z grabiami (miał na sobie wełnianą czapkę i starą, wytartą baranicę) odłożył swoje narzędzia, ukląkł na ziemi i złożonywszy ręce jak do pacierza modlił się szeptem do Miny. Ona stała na świeżo wygrabionej grządce, wiatr zdmuchiwał z muru suche liście, a pierwsze płatki śniegu wirujące w powietrzu opadały na jej włosy, tworząc srebrną siatkę. Patrzyli sobie w oczy. On modlił się do niej, a ona przyjmowała jego słowa w milczeniu. A kiedy przyszedł pielęgniarski i wzięwszy Minę pod rękę, zaprowadził na oddział, pomyślałem, że oboje czekali na to spotkanie pod murem bardzo długo. I oboje byli w tym momencie bardzo szczęśliwi, jeśli przez szczęście rozumieć chwilową ulgę w cierpieniu, ów czas, w którym nie odczuwamy dojmującego bólu.

Spis rzeczy

Stół	5
Winniczki, kałuże, deszcz	31
Przeprowadzka	61
Wuj Henryk	75
Cud	119
„In Dublin’s fair city”	141
Mina	173